

ALISTAIR MACLEAN



AIR FORCE ONE ZAGINAL

Spis treści

Karta tytułowa

Air Force One zaginął

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

**ALISTAIR MACLEAN
JOHN DENIS**

***Air Force One
zaginął***

(Air Force One is Down)

Przełożył: Jacek Manicki

GiG: 1990

Air Force One zaginął powstał na podstawie drugiej noweli filmowej z cyklu, który napisałem w 1977 roku. Pierwszą nowelę przeniesioną na ekran, *Wieżę zakładników*, spisał John Denis, co bardzo mi odpowiadało, ponieważ kończyłem właśnie *Athabaskę* i nie mogłem wywiązać się z terminu narzuconego mi przez wydawcę. Widząc, jak znakomicie sobie poradził, uznałem, że powinien spisać również *Air Force One zaginął*. Nie zmienia się przecież zwycięskiej ekipy...

Alistair MacLean

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Smithowi dawno już odebrano zegarek, w myślach więc odliczał upływające sekundy. Nie wszystkie, na tyle jednak skrupulatnie, by nie utracić kontaktu z rzeczywistością.

Do jego celi nie przenikał ani jeden promień naturalnego światła, bo Smith był więźniem kategorii „A” zakwalifikowanym do odbywania kary w najściśle strzeżonych kazamatach. Poprzez masywne, stare mury więzienia Fresnes do uszu skazańca nie docierał żaden z dźwięków wypełniających świat zewnętrzny.

Od trzech lat, nawet podczas przebieżek odbywanych dwa razy dziennie wokół placu ćwiczeń, Smith nie usłyszał ani silnika samolotu, ani zamierającego w dali pomruku ciężarówki, ani bezcelowego świergotu wróbla.

Jego zmysł słuchu wyostrzył się nadzwyczajnie i z melanzu dźwięków wytwarzanych przez człowieka potrafił już selektywnie wyłowić ten jeden nie pasujący do utartego schematu, ten zakłócający sztywną strukturę normalności. Ale takich dysonansów, rozsianych niczym ozdobniki po prozaicznej skądinąd partyturze, nie było wiele. Mimo to wciąż, obsesyjnie, nasłuchiwał – to potknięcia w miarowym rytmie kroków strażnika, świadczącego o nastąpieniu na wyszczerbiony stopień, to brzęku upuszczonych kluczy kwitowanego przekleństwem, to znów trzasku pocieranej o draskę zapałki, kiedy klawisz nieświadomie składał Smithowi bezcenny podarunek z zapalenia papierosa pod jego celą.

Z czasem odgłosy te zapadły podświadomie w mózg Smitha i podsycaly determinację, z jaką opierał się umysłowej stagnacji. Posiadał jeden z naprawdę niezwykłych, kryminalnych umysłów

stulecia i nie miał zamiaru dopuścić do tego, by stępiła go bezczynność.

Bezlitośnie ćwiczył ciało, by zachować idealną sprawność mięśni i nie mniej fanatycznie gimnastykował mózg przechowywanymi w pamięci, zawiłymi problemami szachowymi i brydżowymi. Po ich rozwikłaniu zamierzał odtworzyć w najdrobniejszych szczegółach największe dokonania swej długoletniej kariery i przejść do planowania tych, które dopiero nastąpią.

W to, że nastąpią, nigdy nie wątpił. Już w dniu, kiedy siły UNACO – Organizacji do spraw Zwalczenia Przystępczości przy ONZ – zadały klęskę jego terrorystycznej grupie na wieży Eiffla, wiedział z chłodną pewnością, że po przekroczeniu pewnej granicy tolerancji, którą sam sobie wyznaczył, nie zdołają go powstrzymać mury żadnego więzienia.

Izolację w Fresnes tolerował już dostatecznie długo. Podczas pobytu tutaj rzadko się odzywał, jeszcze rzadziej uśmiechał. Ale teraz, kiedy siedział tak na pryczy, wpatrując się spod przymrużonych powiek w nagą żarówkę, którą zaczął z czasem uważać za zaufanego przyjaciela, wargi wykrzywił mu upiorny uśmiech.

Jego mózg snuł w gorączkowym tempie scenariusz nowej intrygi, a on spuścił oczy i machinalnie nakreślił paznokciem na poduszce dłoni niezgrabną sylwetkę samolotu. I wyszeptał nazwisko – Dunkels.

Dunkels był tworem Smitha wyłowionym z rynsztoków Berlina. Smith uczynił go bogatym, a strach przed protektorem był gwarancją lojalności Niemca. Nadszedł czas, by Dunkels spłacił dług swemu panu, by stał się katalizatorem jego wolności oraz zbrodni, którą przygotowuje i która wstrząśnie zachodnim światem.

– Dunkels – wyszeptał jeszcze raz Smith, czerpiąc z tego dźwięku ukojenie, bo cenił sobie dźwięki. Dunkels nie opuści w potrzebie

pana Smitha. Nikt tego dotąd nie uczynił.

DC-9 linii Swissair, zbliżający się do portu lotniczego w Zurychu, wszedł w fazę leniwego wytracania wysokości. W przedziale pierwszej klasy zapalił się napis „NIE PALIĆ” i Siegfried Dunkels posłusznie zdusił papierosa.

Strzepnął płatek popiołu z kantu niebieskich moherowych spodni i zerknął przez okno kabiny. Białe kłęбки cumulusów tańczyły po przykrytych czapami śniegu szczytach Alp, pławiąc się w kiczowatym samozadowoleniu pod nieboskłonem barwy chińskiego błękitu. Dunkels wykrzywił cienkie wargi. Nie znosił schludnych Szwajcarów, a jednocześnie zazdrościł im i darzył respektem za osiągnięty bez wysiłku sukces i ugrzeczniomy finansowy bandytyzm. W przeszłości sam padał ofiarą szachrajstw szwajcarskiej finansjery i poprzysiągł sobie, że już do tego nie dopuści.

Żaden zurychski karzeł nie wywiódł nigdy w pole pana Smitha, pomyślał. A teraz przybywa do Szwajcarii właśnie w jego sprawach. Nie może być nawet najmniejszej wpadki. Na życie Dunkelsa, nie może być żadnej wpadki.

Przy fotelu Niemca przystanąła rezolutna, wyzywająco ładna stewardesa i spod spuszczonej powieki spojrzała znacząco na jego biodra. Sprawdzała tylko, czy ma zapięty pas bezpieczeństwa, jednak sposób, w jaki to robiła, sprawiał wrażenie zachęty.

– Mam nadzieję – odezwał się po niemiecku Dunkels – że wasi szwajcarscy lekarze są bardziej godni zaufania od swoich kolegów bankierów.

– Nie rozumiem – bąknęła dziewczyna.

– Nie szkodzi – zareplikował Dunkels rozciągając usta w uśmiechu.

Pilot położył maszynę na skrzydło, wchodząc w końcową fazę podejścia do lądowania, i wewnątrz kabiny pasażerskiej zalała złotawa powódź słonecznego światła. Ksiądz zajmujący fotel przy oknie

mocował się bezskutecznie z miniżaluzją. Dunkels sięgnął, opuścił ją wprawnym szarpnięciem i przeciął dopływ oślepiającego blasku. Kapłan podziękował skinieniem głowy. Słudzy boży, pomyślał Niemiec, nie powinni podróżować pierwszą klasą. Nie licowało to z deklarowaną pokorą, chociaż śmiał wątpić, czy osobnik w rodzaju jego sąsiada, najwyraźniej biskup, kiedykolwiek przejmował się okazywaniem pokory.

W kabinie narastało napięcie przed lądowaniem i tylko wytrawni podróżnicy, tacy jak Dunkels, zachowywali zimną krew, oczekując z godnością momentu przyziemienia. Kiedy koła DC-9 potoczyły się bezpiecznie po betonie, z piersi biskupa wyrwało się westchnienie ulgi. Duchowny przeżegnał się i zaczął coś trajkotać do Dunkelsa, ale ten, uciekając się do przesadnej gestykulacji, dał mu do zrozumienia, że jest głuchy.

Wkrótce potem Niemiec podźwignął z transportera walizę ze skóry aligatora i mijając zdecydowanym krokiem przesadnie uprzejmych szwajcarskich *douaniers*, skierował się do automatycznych drzwi wyjściowych. Szofer w liberii stojący przy czarnym mercedesie dał mu znak dłonią w rękawicze i zaprosił gestem do zajęcia miejsca na przednim siedzeniu, obok siebie, ale Dunkels czekał ostentacyjnie na otwarcie tylnych drzwiczek. Tak samo ostentacyjnie wyeliminował możliwość nawiązania pogawędki w czasie jazdy, pozostawiając zamkniętą szybę działową limuzyny.

Dunkels nie patrzył na zapierającą dech w piersiach scenerię przesuwaną się za oknem samochodu, ale na swoje odbicie w przydymionej szybie. Widział w niej, i podziwiał, pociągłą twarz o kwadratowej szczęce i z lekko skrzywionym nosem, wystającym agresywnie spomiędzy zwodniczo łagodnych brązowych oczu. Idealny zarys podbródka z dołkiem pośrodku, czoło wysokie i gładkie. Brwi, podobnie jak włosy, popielate. Włosy przystrzyżone

krótko i wymodelowane przez włoskiego fryzjera, artystę brzytwy. Dunkels wyciągnął z kieszeni grzebień i przejechał nim po fryzurze. Poszczególne kępkę włosów powracały na swoje miejsce sprężyste niczym pruscy gwardziści.

Z tego stanu samouwielbienia wyrwał go przesuwający się cień. Dunkels skrzywił się z dezaprobatą i wracając do rzeczywistości, spojrzał przytomniej. Twarz rozjaśnił mu uśmiech. To był samolot. Boeing 707. Jego falująca sylwetka przypominała kształt, który w więzieniu Fresnes nakreślił na dłoni Smith.

„Edelweiss Clinic” – głosił w języku angielskim napis wykaligrafowany elegancką kursywą na drogowskazie i Dunkels przestawił się psychicznie na angielski, na czas przez jaki tu pozostanie; miał nadzieję, że nie potrwa to długo. Podobnie jak Smith, był znakomitym lingwistą – chociaż, w odróżnieniu od niego, nie posiadał encyklopedycznej wiedzy z zakresu języków egzotycznych. Miał świadomość, że Smith leniwie przepowiada sobie w myślach alfabety od albańskiego do ksoza gwoli tylko pubudzenia umysłu.

Pod kołami mercedesa skręcającego z głównej szosy w długą aleję dojazdową kliniki zachręścił żwir. Edelweiss, alpejska szarotka, skojarzyło się Dunkelsowi, byłaby niemile widzianym intruzem w prawdopodobnie surowo przestrzeganej sterylności kliniki, którą ujrzał wreszcie przed sobą. Był to nowoczesny kompleks budynków stylizowanych na szwajcarskie szałas góralskie, wtłoczony w górski fałd i wystający stamtąd ponad przyprawiające o zawrót głowy urwisko opadające w usianą głazami dolinę. Pacjenci doktora Richarda Steina, nie będący w stanie znieść jego metod terapeutycznych lub niezadowoleni z ich rezultatów, mogą rozwiązywać swe problemy schodząc po prostu z jego kosztownej terasy, pomyślał Dunkels. Rozparł długie, szczupłe ciało na tylnym

siedzeniu mercedesa i czekał, aż szofer otworzy mu drzwiczki. W wahadłowych drzwiach kliniki pojawiła się postać w białym fartuchu i zaczęła zstępować po schodach.

Doktor Richard Stein wyglądał staro jak na swój wiek. Był uznanym, wybitnym specjalistą w leczeniu schorzeń reumatyczno-artretycznych u ludzi w podeszłym wieku i bogatych, jak również utalentowanym psychiatrą. Był też chyba najznakomitszym (choć mniej od tej strony uznanym) chirurgiem plastycznym w Szwajcarii. Posiadanie takiej umiejętności w kraju, gdzie konsekwencją nie wyjaśnionego przypływu gotówki była często konieczność zmiany powierzchowności, stanowiło istną żyłę złota.

Richard Stein z tą samą beznamietną fachowością oliwił zardzewiałe stawy, oczyszczał zasnute pajęczynami mózgi i przerabiał niewygodne twarze. Był niski, śniady, wątlej budowy i miał wydatny orli nos. Garbił się i kiedy wyciągnął na powitanie kościstą rękę, znacznie go przerastający Dunkels zauważył, jak trwale skrzywiona górna połowa ciała doktora obraca się przegubowo w talii.

– Lekarzu, lecz się sam – mruknął nietaktownie Niemiec.

– Pan Dunkels, jak mniemam – zagaił Stein po niemiecku.

Przybysz przesunął językiem po silnych, kwadratowych zębach i uśmiechnął się.

– Wydaje mi się, że jest na to jakaś odpowiedź – odparł po angielsku – tylko że za nic nie wiem jaka. Doktorze Stein, cieszę się, że wreszcie pana poznałem. – Uścisnął dłoń Steina z nie zamierzoną siłą, ale puścił ją zaraz, widząc grymas bólu na twarzy Szwajcara. – Przepraszam – powiedział. – Nie uszkodziłbym pańskich dłoni za wszystkie pieniądze Zurychu.

– Wątpię, czy nawet za wszystkie pieniądze Zurychu zdołałby pan kupić im równe – zauważył Stein świetną, ale akcentowaną

angielszczyzną. Z ponurą miną zatarł sprofanowane palce i odwracając się na tyle zgrabnie, na ile zgrabnie obrócić się może człowiek dotknięty skrzywieniem kręgosłupa na tle artretycznym, dodał: – A zatem proszę za mną.

Mercedes odjechał cicho, a Dunkels podążył za małym szwajcarskim doktorem, by po przemierzeniu dwóch jednakowo schludnych korytarzy zatrzymać się wreszcie przed wyłożonymi dębowym fornirem drzwiami z napisem „Dyrektor”. Gabinet Steina miał funkcjonalny kształt litery G, a dolina i góry skadrowane w wielkim panoramicznym oknie wyglądały jak podretuszowana świąteczna pocztówka. Doktor usadowił się za biurkiem, a świadomość przewagi wynikającej ze znalezienia się na własnym terytorium jakby przydała mu wzrostu. Wskazał gościowi wygodny, głęboki fotel.

– Ma pan fotografie i szczegółowe opisy anatomiczne? – spytał Stein, przerywając milczenie. Dunkels skinął głową.

– A pan ma kandydata?

Stein także przytaknął. Dunkels czekał na prezentację, ale ta nie następowała. W końcu pociągnął głośno nosem i warknął:

– Nazwisko?

Stein splótł dłonie, położył je na biurku i pochylając się do przodu, wwiercił się w swego gościa tak przejętym spojrzeniem, jakby za chwilę miał mu wyjawić tajemnicę państwową.

– Jagger. Cody Jagger – wycedził.

Dunkels zacisnął usta.

– Ma jakiś teatralny wydźwięk – skomentował w zamyśleniu.

– To jego prawdziwe nazwisko – pośpieszył z zapewnieniem Stein.

Niemiec wyprostował się w fotelu i pochylił do chirurga.

– Jest tu teraz?

Stein przekrzywił imponującą głowę.

– Chciałby pan zobaczyć jego zdjęcie? – Dunkels przytaknął.

Z pierwszej strony obłożonego w szary papier folderu, który Stein popchnął w jego kierunku po błyszczącym blacie mahoniowego biurka, patrzyła nań dosyć pospolita twarz. Pospolitość była plusem i Dunkels to wiedział. Była to również dziwnie nijako wyglądająca twarz... żadnych uwydatnień ani wklęsłości, żadnych znaków szczególnych ani przyciągających oko znamion; z taką wyrazistością mogła równie dobrze zostać ulepiona z plasteliny. Kolejny plus. Dunkels wpatrywał się intensywnie w tę twarz, potem przymknął oczy i usiłował odtworzyć z pamięci jej zarysy; bez powodzenia. Uśmiechnął się i cmoknął z aprobatą.

Stein też się uśmiechnął.

– Wiedziałem, że się panu spodoba. Znakomity materiał wyjściowy. Ponadto występują już pewne podobieństwa pomiędzy Jaggerem a obiektem i do przeprowadzenia pełnej konwersji... krótko mówiąc, przynajmniej fizjonomia Jaggera, jak pan widzi, nie stwarza żadnych przeszkód. Karnacja skóry, tak się szczęśliwie składa, jest identyczna, podobnie wzrost i waga są niemal dokładnie takie same, jak obiektu.

– Niemal?

– Obaj mężczyźni mają po sześć stóp i dwa cale wzrostu, ale Jagger jest o osiem funtów cięższy od obiektu. To żaden problem, ponieważ moja klinika specjalizuje się w diecie odchudzającej.

– Między innymi.

– W rzeczy samej – przyznał Stein. – Między innymi.

Dunkels przekartkował resztę stron akt Jaggera i chrząknął rozbawiony. Stein spojrział nań pytająco. Dunkels zamknął z trzaskiem folder.

– Wzorowym obywatelem to ten nasz Cody nie jest, prawda? – zauważył.

– Nic mi pan nie mówił, że chodzi mu o wędrownego kaznodzieję – odparował Stein. Dunkels uśmiechnął się.

– Nieważne, jaki jest – ustąpił – byleby rzeczywiście był tym, za kogo się podaje. Sprawdzimy go i jeśli wszystko się zgadza, to się nada.

– Zgadza się.

– Musi – stwierdził Dunkels, nie dopowiadając ostrzeżenia.

Stein rozplótł dłonie i rozczapierzył je z widoczną konsternacją.

– Nigdy dotąd nie zawiodłem Smitha, prawda? – zapytał.

– Pana Smitha – upomniał go lodowatym tonem Dunkels.

– Pana Smitha, przepraszam – poprawił się Stein. – Ale wszystko jedno, nigdy go nie zawiodłem. Nawet kiedy chodziło o jego własną twarz. Zrobiłem z niego Jawajczyka, jeśli pan pamięta. I Szweda, i Peruwiańczyka. Były jakieś zastrzeżenia? Nie było.

Czubki palców Steina podrygiwały niczym dłonie matrony suszącej garnitur pomalowanych paznokci.

– To ja dałem mu jego obecną twarz – kontynuował – ten arystokratyczny wygląd, dokładnie to, czego chciał: Anglik z wyższych sfer. Mógłby uchodzić za księcia z Pałacu Buckingham.

– Zrobił użytek z tego wcielenia – wtrącił oschle Dunkels.

– No i sam pan widzi! – wykrzyknął Stein. – Chociaż, oczywiście, twarz pana Smitha jest cudowna... eee... podatna. No i niemożliwa do zapamiętania. Zawsze mi powtarza, że zupełnie zapomniał, jak pierwotnie wyglądał.

Dźwigając się z głębokiego fotela, Dunkels przyznał mu rację.

– W porządku, Stein – powiedział obcesowo.

– Przepuszczę tego Jaggera przez maszynkę do mięsa i jeśli wyjdzie z tego koszerny, to go bierzemy. – Niemiec szczyił się swoją idiomatyczną angielszczyzną.

Spożyli wspólnie obfity lunch w apartamencie Steina,

mieszczącym się w przybudówce na dachu kliniki, skąd roztaczała się jeszcze bardziej oszałamiająca panorama na największe bogactwo naturalne Szwajcarii. Gdy skończyli jeść, Stein zapytał ostrożnie Dunkelsa, czy naprawdę sądzi, że uda im się ta podmiana ról.

– No, a jakie jest pańskie zdanie? – odbił piłeczkę Niemiec. – Wiele zależy tu od pana.

Stein wyjaśnił, że podrobienie wyglądu obiektu nie jest trudne. W swojej karierze zawodowej upodabniał już ludzi do kogoś całkiem innego.

– Naturalnie – ciągnął – będę mógł przedstawić bardziej konkretną opinię na temat szans Jaggera, kiedy opowie mi pan trochę więcej o obiekcie. Na razie dostarczył mi pan tylko jego twarz w sześciu ujęciach, za co jestem wdzięczny, oraz informację, że jest powiązany z siłami zbrojnymi Stanów Zjednoczonych, chociaż nie wiem jeszcze, jakiego rodzaju.

Dunkels z trzaskiem stawów rozprostował splecione palce i podchwycił chytre spojrzenie Steina.

– Nazywa się Joe McCafferty – powiedział powoli, jakby ważąc każde słowo. – Jest oddelegowany przez UNACO – Organizację do spraw Zwalczania Przystępności przy ONZ – do pracy w elitarnym Korpusie Służb Specjalnych, wystawiającym gwardię przyboczną amerykańskiego prezydenta. Obecnie McCafferty'emu przydzielono funkcję kierowania grupą ochrony na pokładzie Air Force One, czyli, jak panu zapewne wiadomo...

– Tak – przerwał mu Stein – wiem, co to jest Air Force One. To Boeing – 707, nieprawdaż? – wykorzystywany przez prezydenta w charakterze swego rodzaju latającego Białego Domu. Tak więc... – skojarzył sobie i gwizdnął z zachwytu.

– Tak więc McCafferty to ważna figura.

– Tak, to figura.

– A zatem chodźmy go obejrzyć – zapalił się Stein. – Mam oczywiście na myśli jego potencjalnego *doppelgängera*, sobowtóra, jego drugie, ja. – Zawiesił głos i po chwili dodał na wpół sam do siebie: – Wyobrażam już sobie minę McCafferty’ego odkrywającego, że się ni stąd, ni zowąd rozdziwił.

Komputerowa „maszynka do mięsa” Smitha, zainstalowana trzydzieści mil na północ od brazylijskiego miasta So Paulo, odznaczała się nadzwyczajną szybkością i sprawnością działania. Udzieliła aprobaty dla kandydatury Jaggera, zanim Dunkels doczekał się swojej kawy. Uprzejmy służący wręczył mu teleks i Niemiec osobiście zaniósł tę dobrą wiadomość Jaggerowi, który kwaterował w ustronnym, nawet jak na odosobniony charakter Kliniki Edelweiss, pokoju mieszczącym się w samym końcu skrzydła budynku.

Przedstawił się Jaggerowi i powiedział:

– Od tej chwili będzie mnie pan często widywał.

Dubler wstał i podał Dunkelsowi rękę z takim rozmachem, że aż klasnęły ich spotykające się dłonie. Uśmiechnął się szelmowsko i przedstawił:

– Cody Jagger. Prawdopodobnie po raz ostatni w tym wcieleniu.

Cztery godziny później Dunkels opuścił klinikę tym samym mercedesem, który go tu przywiózł. Dokładne prześwietlenie Jaggera przyniosło komputerowy werdykt: Cody Jagger jest naprawdę Cody Jaggerem. Jakkolwiek Dunkels, podobnie jak Smith, należał do ludzi bardzo wymagających, zadowolony był zarówno z psychologicznej, jak i fizycznej przydatności Jaggera do wcielenia się w rolę niejakiego Josepha Eamonna Pearse’a McCafferty’ego, pułkownika sił powietrznych Stanów Zjednoczonych (USAF), aktualnie szefa ochrony prezydenckiego samolotu Air Force One, oddelegowanego do 89 Skrzydła Transportowego Lotnictwa Wojskowego, stacjonującego w bazie sił powietrznych Andrews w stanie Maryland

w USA.

Alpejskie szczyty były już niemal purpurowe w gasnącym świetle dnia, kiedy Stein zapukał do drzwi Jaggera i wszedł do pokoju nie czekając na zaproszenie.

– Połknął haczyk – stwierdził zwięźle dubler stojący przed podświetlanym lustrem toaletowym i żegnający się ze swą twarzą.

– Wspaniale – rozpromienił się Stein. – A więc Smith też go połknie. Moskwa powinna być bardzo, ale to bardzo rada.

– Fakt – przyznał Jagger. – To może być coś większego, niż spodziewamy się zarówno my, jak i oni. – I po chwili milczenia dodał: – Jest pan pewien, że Smith to kupi?

– No, no, no.

– Stein pogroził mu palcem.

– Pan Smith, jeśli łaska. To twoja pierwsza lekcja, Jagger.

Smith wsłuchiwał się w upływające dni. Ostatni meldunek Dunkelsa tchnął optymizmem. Dubler był idealny. Przygotowania do akcji trwały. Od wolności dzielił go zaledwie tydzień; wtedy świat dźwięku, obrazu i zapachu powróci znowu do swych normalnych proporcji.

Ale, co dziwne, wraz z powolnym upływem godzin znaczyło to dla Smitha coraz mniej i mniej. Liczyła się tylko zbrodnia, którą zaplanował na uczczenie swego powrotu do życia – wielka zbrodnia, zbrodnia, która zniszczy wiarygodność UNACO i stojącego na jej czele Malcolma Philpotta. Smith z całego serca nienawidził tego człowieka. To Philpott skazał go na koszmarną katalepsję uwięzienia – ale tym razem tryumfować będzie on, Smith, a UNACO przestanie istnieć.

Dunkels go nie zawiedzie. Nie zawiodą go ani Jagger, ani Stein. Fiasko, jak zawsze, kiedy do akcji wkraczał pan Smith, było nie do pomyślenia. Miał już kiedyś w garści wijącego się jak piskorz

prezydenta Warrena G. Wheelera... i będzie go miał znowu.

Umysł Smitha ponownie wywołał przed oczy obraz zmodyfikowanego Boeinga 707 służącego Warrenowi G. Wheelerowi w charakterze Air Force One.

– Och, skarbie – mruknął pod nosem – ten okropny człowiek odebrał ci twoją zabaweczkę?

I po raz pierwszy od trzech lat, czterech miesięcy i osiemnastu dni szczery, niewymuszony śmiech wypełnił samotną więzienną celę położoną tak blisko jego ukochanego Paryża, że skazaniec odnosił wrażenie, iż czuje smród zalatujący z miejskich rynsztoków.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przez następne cztery dni Cody Jagger przeżywał fizyczne i psychiczne katusze utraty dotychczasowej osobowości.

Nie mógł się jednak znaleźć w bardziej fachowych i cierpliwych rękach. Sala operacyjna Steina, w której asystowało mu tylko dwóch członków jego personelu, całkowicie od niego uzależnionych, jeśli chodzi o pieniądze i narkotyki, urządzona była jak salon ekskluzywnego fotografa. Każdy cal ściany pokrywały ogromne powiększenia twarzy McCafferty'ego sfotografowanej z sześciu różnych ujęć, włączając w to zdjęcie karku, precyzyjnie dokumentujące układ kształtnych, przylegających do czaszki uszu. Stół operacyjny otaczał las trójnogów podpierających osadzone na przegubowych wspornikach reflektory iluminacyjne, wyposażone w regulację zarówno położenia w pionie, jak również kąta skupiania wiązki świetlnej. Stein, krzątający się przy stole skąpanym w świetle baterii lamp łukowych, co chwila warczał na asystentów, żeby wyostrzyli obraz albo lepiej naświetlili określone cechy obiektu.

Potem, rzucając raz po raz błyskawiczne spojrzenia na fotografie dokumentujące rysy McCafferty'ego z precyzją wojskowej mapy topograficznej, pochylił się ze skalpelem nad nieprzytomnym Jaggerem, by zastąpić policzek policzkiem, szczękę, szczęką, nos nosem.

Z doskonałą obojętnością, centymetr kwadratowy po centymetrze, wycinał Stein płaty ciała Cody Jaggera i niczym z żywych klocków Lego, ze wspólnych mianowników człowieka, którego chirurg przeobraża po prostu w innego człowieka, formował z nich elementy układanki, której rozwiązaniem miał być Joe McCafferty.

Piątego dnia o 3.30 rano operacja dobiegła wreszcie końca; szwy zostały zdjęte, różowiały świeże blizny. Wyczerpany Stein, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, studiował swoje rękodzieło w powiększającym lustrze wpuszczonym w sufit. Skonstatował ironicznie, że stworzenie całego świata zajęło Bogu Abrahama i Izaaka zaledwie półtora dnia więcej. – Prawdopodobnie miał lepszych asystentów – zachichotał niechętnie. Nigdy jeszcze nie czuł się tak osłabiony, tak śmiertelnie skonany.

Przyglądał się oblepionej plastrami, obandażowanej głowie. Jeśli nie wda się zakażenie tkanki, większość ciężkiej pracy miał za sobą. Ale z napięcia narastającego w głosie – telefonującego Dunkelsa wyczuwał, że chwila wprowadzenia w czyn planów Smitha jest już bliska.

Doktor wiedział, że nie może dłużej zwlekać ze skontaktowaniem się z Karilianem.

Tego samego dnia, wczesnym wieczorem, przed Klinikę Edelweiss znowu zajechał mercedes. Kiedy Stein, który wykorzystał dzielące go od tego spotkania godziny na odsypianie zaległości, schodził niezdarnie po schodach, by powitać zwalistego mężczyznę o grubo ciosanej twarzy, ten niecierpliwie odepchnął łokciem nadskakującego mu szofera. Kierowca, człowiek z natury towarzyski, natychmiast zniechęcił się do dowożenia swemu pracodawcy nieokrzesanych i niekomunikatywnych obcokrajowców.

Axel Karilian, szef siatki wywiadowczej KGB na Szwajcarię, zignorował wyciągniętą rękę Steina i schwyciwszy go obcesowo za łokieć, obrócił jednym szarpnięciem o sto osiemdziesiąt stopni, twarzą do schodów.

– Pokaż – zakomenderował, przepychając małego szwajcarskiego doktora przed sobą przez drzwi wejściowe.

Jako niepospolity i z definicji niebezpieczny kryminalista, Smith,

zgodnie z regulaminem, dostawał posiłki do celi, co miało mu uniemożliwić kontakt z innymi skazanymi. Kiedy więc zbierano tace po wieczornym posiłku od niego i od innych więźniów siedzących w tym samym bloku (Smith policzył ich podświadomie, identyfikując poszczególne cele tylko na podstawie łoskotu zamykanych drzwi i liczby dzielących je kroków) wiedział, że za pół godziny strażnik odbędzie ostatnią w tym dniu rundę, potem upłynie jeszcze dwadzieścia minut do końca obchodu i dodatkowe piętnaście minut do „gasić światła”. Nigdy nie zdarzyło się odstępstwo od tego harmonogramu. Smith byłby niepokieszony, gdyby do czegoś takiego doszło.

Tego samego wieczora, kiedy doktor Richard Stein gościł Axela Kariliana w apartamencie na dachu Kliniki Edelweiss, w izolowanym skrzydle więzienia Smith, z większym niż zazwyczaj apetytem, spożywał kolację.

Wiedział, że to jego ostatni posiłek w tym miejscu. Wyciągnął się potem na pryczy i rozmyślał o najbliższej i bardziej odległej przyszłości, a w tym samym czasie jego umysł weryfikował automatycznie zgrzytliwą więzienną procedurę – cęła za cęłą, taca za taca, drzwi po drzwiach, krok po kroku, skrzypiący but (skrzypiący but! Nie dwa, a jeden! Radujący ucho paradoks, który trzeba zabrać ze sobą).

Smith zachichotał z zachwytu, a w mózgu tykał mu niestrudzenie metronom odmierzający natrętnie czas. Zasnął, ale kiedy obudził się po kilku godzinach, pierwszym wrażeniem, jakie przyniosła jawa, było to, że ten naturalny czasomierz ponownie podjął pracę, dzięki czemu do więzienia dotarł niezaprzeczalny fakt, iż ta godzina nadchodzi.

Więzienny „wazelina”, który za łapówkę podjął się roli inicjatora akcji odbicia Smitha z pudła, oblizał usta i usiłował powstrzymać

oczy od ustawicznego zerkania na ścienny zegar w dyżurce. Wskazówka sekundnika przeskoczyła z ryknięciem z 3.59 na 4.00 i więzień grzotną otwartą dłoń w grzybek przeszmurowanego z zewnątrz detonatora.

W odległym o dwieście jardów skrzydle izolowanym, ze skrzynki przyłączowej wystrzeliła iskra, padając na czarną ścieżkę prochu strzelniczego. Proch trysnął płomieniem i po jedenastu sekundach, w magazynie pościeli mieszczącym się w końcu korytarza za celą Smitha, wybuchł kanister z benzyną. Wkrótce w ogniu stał już cały magazyn, wraz z przylegającymi doń pomieszczeniami, i na miejsce wypadku zbiegał się więzienny personel, a wśród nich skrzypiący but. W tym samym momencie w celi Smitha zapaliło się światło.

O powstaniu na terenie więzienia wszelkich nie kontrolowanych źródeł ognia miejscowa jednostka straży pożarnej alarmowana była automatycznie, ale strażacy woleli zawsze poczekać na telefon potwierdzający wybuch pożaru. Gdy się go teraz doczekali, sześć wozów bojowych na syrenach z szaleńczą szybkością wypadło w noc – dwa samochody gaśnicze z drabinami na obrotowych platformach, wóz dowodzenia oraz trzy beczkowsy wodno-pianowe.

Pożar rozprzestrzenił się gwałtownie, jednak przed wydaniem rozkazu ewakuacji zagrożonych rejonów trzeba było obudzić i ściągnąć na teren zakładu karnego naczelnika więzienia, jego zastępcę oraz komendanta straży więziennej. Strażnicy pobierali w pośpiechu karabiny i pistolety gazowe z arsenału, a zdenerwowany komisarz policji stawiał na nogi kadrę miejscowego oddziału CRS, czyli policyjnych sił porządkowych.

Lampy łukowe i reflektory wyławiały z mroku każdy zakamarek posepnej budowli i kiedy drzwi jego celi stanęły gwałtownie otworem, Smith poderwał się na pryczy, a potem opadł z powrotem na posłanie, wspierając się na łokciach.

– Wychodzić! – ryknął uzbrojony strażnik. – Pali się. Ewakuujemy blok. Wychodzić!

– Dokąd? – spytał więzień, przywołując na twarz wyraz zaskoczenia i rodzącej się paniki.

– Na dziedziniec główny. Do szeregu. Ruszać się!

Smith, nie oglądając się nawet za siebie, opuścił miejsce, które było mu domem przez ponad trzy lata.

Kawalkada wozów strażackich, gnająca z wyciem syren i łomotem ciemnymi ulicami, spotkała się na skrzyżowaniu z policyjnymi sukami pilotowanymi przez radiowozy, co jeszcze bardziej spotęgowało i tak już obłądną kakofonię.

Za więziennym murem rozwrzeszczani strażnicy poganiali sznury więźniów napływające z pięciu stron jednocześnie na wielki dziedziniec centralny, formując z nich nieskore do współpracy ludzkie łańcuchy do podawania wody i piasku w kierunku buchających płomieni. Zawodzenie syren i pisk opon oznajmiły o przybyciu policji, która aż do pojawienia się strażaków, poza wchodzeniem sobie nawzajem w drogę, niewiele robiła.

Ogień przeniósł się teraz na zespół budynków sąsiadujący bezpośrednio z wysokim murem zewnętrznym, ponad który wysunęły się zaraz osadzone na obrotowych podstawach drabiny dwóch strażackich wozów bojowych. Strażacy wspięli się po nich ze zwinnością górskich kozic i nakierowali wciągnięte ze sobą węże na morze płomieni.

Trzeci wóz z drabiną na obrotowej platformie, który nie zauważony przez strażaków nadjechał z kierunku przeciwnego niż siły główne i podprowadzony został sprawnie przez policję pod samą ścianę, również wystawił swoją drabinę ponad mur. Oficer nadzorujący przebieg całej akcji krzyknął do uwijających się jak w ukropie ludzi, by skoncentrowali strumienie wody i piany gaśniczej.

Polecenie przekazano człowiekowi zajmującemu stanowisko na szczycie drabiny, starszemu strażakowi Siegfriedowi Dunkelsowi, który w odpowiedzi machnął ręką. Po chwili zamachał ponownie, tym razem oburącz. I teraz Smith go dojrzał.

Na zasnutym kłębam dymu dziedzińcu panował nieopisany rwetes i zamieszanie, nikt więc nie okazał zdziwienia, kiedy Smith chwycił się za gardło, zacharczał głośno i zatoczył, opuszczając swe miejsce w szeregu, który automatycznie zwarł się, zasklepiając powstałą lukę.

Wyraźnie się dusząc, Smith opadł na kolana, by po chwili podźwignąć się i chwiejnym krokiem poczłapać w kierunku nieco mniej zadymionego skrawka placu. Snop światła z reflektora zalewał to miejsce jaskrawym blaskiem, tak więc funkcjonariusz straży więziennej, na którego wpadł po drodze, nie zadał sobie trudu, by zawrócić go ze strefy, do której w normalnych warunkach więźniowie nie mieli wstępu.

Dunkels i jego ludzie na pozór gasili pożar. Nagle drabina Niemca zaczęła się stopniowo odsuwać od ognistej pożogi i zbliżać do dziedzińca, aż w końcu znieruchomiła dokładnie nad skuloną sylwetką Smitha. Dunkels zrzucił drabinkę sznurową z przytwierdzonymi na końcu obciążnikami, trafiając nią w nogi Smitha. Ten pochwycił ją i zaczął się wspinać po murze.

Strażnik, podobnie jak jego koledzy po fachu wyczulony na wszelkie próby ucieczki, dostrzegł kątem oka nienaturalną szamotaninę człowieka-muchy i krzyknął ostrzegawczo. Dopadając wirującej w powietrzu postaci, zauważył sznurową drabinkę i podskoczył, by pochwycić jej koniec. Dunkels oderwał już jednak strumień wody z węża od płomieni i skierował go w dół. Bacząc, by nie trafić przypadkiem w Smitha, naprowadził końcówkę węża na cel i tryskająca z niej pod wysokim ciśnieniem struga wody uderzyła

strażnika prosto w piersi, ścinając go z nóg i przyszpilając do ziemi jak motyla w gablotce.

Tymczasem Smith dotarł do szczytu muru i przywarł do drabiny, która opuściła się, zmniejszyła kąt nachylenia i postawiła go na ziemi obok wozu strażackiego. Głównodowodzący akcją gaśniczą również miał nieszczęście zauważyć ucieczkę więźnia. Puścił się biegiem w kierunku trzeciego wozu bojowego, którego obecność zastanawiała go już od kilku chwil.

Stojący wciąż jeszcze na składającej się drabinie Dunkels zgotował mu na powitanie zimny prysznic, powalając na ziemię jak kręgiel i nękając bezlitośnie wodnym biczem, dopóki nieszczęśnik nie odczołgał się pod osłonę wozu dowodzenia, skąd wciągnęły go do środka życzliwe ręce.

Smith wskoczył do szoferki wozu strażackiego, a kierowca zapuścił silnik i odjechał na pełnym gazie przy akompaniamencie wyjących syren. Dunkels, usadowiony na końcu spoczywającej teraz poziomo drabiny, siał spustoszenie niczym strzelec ogonowy bombowca, rozpraszając strumieniem wody oniemiałych strażaków i osiłków z CRS, którzy nadaremnie próbowali zatrzymać uciekających.

Pięć minut później pędzący po wariacku wóz strażacki opuścił granice miasta i zatrzymał się na opustoszałej wiejskiej drodze. Wszyscy wysiedli, zdjęli mundury, pod którymi mieli kombinezony robotników budowlanych, po czym sześciu z nich wskoczyło do furgonetki z wymalowaną po bokach nazwą firmy – tą samą, co na kombinezonach.

Smith, Dunkels i pozostali trzej zajęli miejsca w dwóch osobowych citroënach, gdzie czekała na nich zmiana garderoby. Limuzyny ruszyły jednocześnie i z piersi Smitha wyrwało się ciężkie westchnienie niewypowiedzianej ulgi.

– Wspaniale, Dunkels – powiedział. – Naprawdę wspaniale. A teraz

wyszukaj mi bezpieczny lokal i kobietę, w wyżej wymienionej kolejności.

Dunkels uśmiechnął się.

– Gdyby życzył pan sobie zmienić kolejność, – odparł – to kobietę znajdzie pan na tylnym siedzeniu tego drugiego samochodu.

Karilian niechętnie podporządkował się Steinowi, który kazał mu włożyć rękawiczki, maskę oraz fartuch, a potem zademonstrował ponad wszelką wątpliwość, że Jaggera nie ma już na sali operacyjnej.

Następnie udali się do ustronnego apartamentu, w którym przebywał Jagger. Stein odwlekał podzielenie się ze swym gościem niepomyślnymi wieściami aż do chwili, kiedy podeszli na palcach do łóżka rekonwalescenta.

– A to co, u diabła? – wybuchnął Karilian, wskazując serdelkowatym palcem obandażowaną głowę. – Chcę zobaczyć jego twarz. Po to tu przecież przyjechałem, nie pamiętasz?

– Cii – uciszył go Stein. – Błagam, nie hałasuj. Nie chcę, żeby się raptownie przebudził. Znajduje się jeszcze pod działaniem narkozy i nie może wykonywać gwałtownych ruchów.

Nie zniżając głosu, Karilian zażądał sprecyzowania terminu, w którym będzie mógł sobie obejrzeć dublera. Doktor zapewnił go, że Jagger sam się obudzi wczesnym rankiem, kiedy przestaną działać środki znieczulające i antybiotyki. Ale dopóki istnieje jeszcze niebezpieczeństwo infekcji, a nawet odrzucenia przeszczepów, musi pozostawać w stanie nieświadomości.

– Proszę mnie posłuchać – błagał Kariliana. – Chodźmy teraz do mnie na górę na kolację. Mam trochę wyśmienitej wódki i kawioru z białugi.

Karilian spiorunował go wzrokiem spod krzaczastych brwi. W jego twardych, patrzących bez zmrużenia powiek, kamiennoszarych oczach malowała się pogarda. Po chwili ni to chrząknął, ni prychnął i

burknął udobruchany:

– Jak będzie Glenfiddich, Dom Perignon i antrykot, to się zastanowię. Ale Jaggera chcę zobaczyć jeszcze tego wieczora – zastrzegł na koniec.

– Zobaczysz, na pewno zobaczysz – zapewnił go Stein. – Odprężył się, opadło napięcie zniekształcające mu ciało i znowu postawą przypominał znak zapytania.

Mały doktor niezmiennie odnosił zwycięstwa w drobnych utarczkach, jakie czasem staczali. Richard Stein, który rozpoczął życie w Szwajcarii pod mniej wówczas poważanym nazwiskiem Scholomo Ashera Silbersteina, znał Axela Kariliana od trzydziestu pięciu lat. Zaraz po wybuchu wojny, jeszcze jako utalentowany student medycyny, Stein został pojmany w Polsce przez hitlerowców i wraz z innymi Żydami wysłany do najbliższego obozu koncentracyjnego. Na szczęście był to niewielki obóz, prowadzony niesumiennie przez mało stanowczego, za to zdeprawowanego komendanta. Steinowi udało się załatwić sobie pracę w obozowym lazarecie i wkraść w łaski samego komendanta, po czym przystąpił do umacniania swojej pozycji, wykorzystując umiejętnie kolejne etapy na drodze do Ostatecznego Rozwiązania Himmlera.

Przyczyniał się w wielkiej mierze do realizacji szalonych pomysłów lęgnących się w zboczonym umyśle komendanta (i doskonalił wiedzę z zakresu technik chirurgicznych) przeprowadzając upiorne i odrażające eksperymenty na swoich ziomkach. Jego największym sukcesem medycznym było przeszczepienie narządów płciowych dorosłego mężczyzny siedmioletniej dziewczynce. Dziecko żyło sześć tygodni, zanim nie nastąpiła dosłowna erupcja uwięzionych w jego ciele jadów.

Armia Czerwona parła szybko przez Polskę w zwycięskim marszu na Niemcy, a komendant i jego załoga nie byli przygotowani do

natychmiastowej likwidacji więźniów obozu. Major dowodzący wojskami sowieckimi ustawił Niemców pod ścianą i rozstrzelał na miejscu. Tak samo postąpił z najsłabszymi i najbardziej schorowanymi Żydami. Ale Steina, który nie był ani chory, ani wycieńczony, przekazano w ręce młodego ukraińskiego kapitana wywiadu, przydzielonego właśnie do służby w nacierających wojskach. I tak rozpoczęła się długa przyjaźń Axela Kariliana z człowiekiem, który niebawem miał się stać Richardem Steinem.

Dowiedziawszy się o szczególnych umiejętnościach Steina, Ukraińiec otoczył go troskliwą opieką i chroniąc przed żydowską zemstą, wywiózł do Odessy, gdzie szwajcarski Żyd zdradził miejscowym lekarzom wystarczająco wiele ze swego nabytego w odrażający sposób doświadczenia z zakresu chirurgii plastycznej i przeszczepów skóry, by ci mogli zmienić mu twarz.

Stein jednak na tym nie poprzestał; pragnął również zmienić swą sylwetkę. Poinstruował więc chirurgów ortopedów, jak tego dokonać. Była to operacja, którą przeprowadzał wielokrotnie bez znieczulenia na żydowskich dzieciach, mających kości bardziej podatne niż jego, przekształcając je z istot ludzkich w groteskowe potwory. Opisał Rosjanom szczegółowo każdy etap operacji, zniósł wszystkie cierpienia i, podobnie jak Jagger, przeżył ją.

Richard Stein nie był nieszczęsną ofiarą artretyzmu reumatoidalnego. Był znakiem zapytania własnej produkcji.

Po wojnie KGB umieścił go na stanowisku dyrektora Kliniki Edelweiss, a Karilian dołączył do niego w Szwajcarii jako szef siatki wywiadowczej rezydujący w Genewie. Steina, zbijającego fortunę na powodzeniu swej kliniki, bawiło często, że teraz wielu jego najlepszych klientów, to jeszcze bogatsi od niego Żydzi. Tych operował oczywiście z najdalej posuniętą dbałością i wprawą. I nigdy nie zapominał o znieczuleniu.

Droga, która zaprowadziła Cody Jaggera w objęcia KGB, była równie ciernista i również nie obeszło się na niej bez Axela Kariliana.

Po przejściu przez żłobek drobnej przestępczości w wieku chłopięcym i czyściec więziennych rygorów, który nie dość, że nie zawrócił go ze złej drogi, to jeszcze umożliwił mu ukończenie poważniejszej szkoły zbrodni, Jagger dosłużył się stopnia starszego szeregowca w wojsku i wysłano go do Wietnamu. Tam szybko dostał się do niewoli, biorąc udział w krwawej kontrofensywie na północ od Hué, gdzie wyróżnił się szczególnym okrucieństwem, zaskakującym nawet dla towarzyszy broni.

Był urodzonym zbirem, twardym i okrutnym, znajdującym przyjemność w znęcaniu się nad słabszymi i nie przysporzył żadnych problemów torturującym go partyzantom Vietcongu, którzy złamali go w przeciągu miesiąca.

Został wybrany do przeszkolenia przez oficera KGB, ale ten nowy status nie dość, że nie oznaczał złagodzenia jego doli, to wręcz zmienił życie Cody'ego w istne piekło na ziemi. Program surowej obróbki, polegający na dręczeniu fizycznym i praniu mózgu na przemian, doprowadził go na skraj szaleństwa. Dopiero potem przyznał niechętnie w duchu, że renegat, jakim był początkowo, nie przedstawiał dla sowieckiej maszyny wywiadowczej żadnej wartości. Zbyt łatwo dał się złamać Vietcongowi; należało więc podejrzewać, że równie łatwo może przejść z powrotem na stronę Amerykanów. W KGB nie mogli podejmować tego rodzaju ryzyka, przekazali więc Jaggera w ręce Axela Kariliana, który po latach owocnej współpracy z Richardem Steinem dysponował sporym zasobem użytecznych recept na każdą okazję.

Program, jaki Karilian opracował dla Jaggera, był typowy w swej nieskomplikowanej logice: Amerykanina należy zastraszyć i nie przebierając w środkach doprowadzić do takiego upodlenia, takiej

niekwestionowanej uległości, żeby na przyszłość nie stanowił żadnego zagrożenia.

Trzeba było trzech lat, żeby Jagger zorientował się, co jest grane. Kiedy to wreszcie do niego dotarło, poddał się – i to poddał naprawdę. Moskwa wysłała go z powrotem do Hanoi, gdzie codziennie, przez dwa miesiące, nasilano stopniowo represje doprowadzając w końcu Jaggera do takiego stanu, że każda chwila na jawie upływała mu w nieustannym, rozdygotanym przerażeniu.

Dopiero wtedy Karilian poczuł się usatysfakcjonowany. Od tej pory KGB sterował Jaggerem za pomocą strachu i tylko strachu.

Sprawował się niezłe jako ich agent w Stanach, ale na zupełnie podstawowym poziomie, kiedy więc Smith polecił Steinowi wyszukanie materiału na dublera, a Stein przekazał tę informację Karilianowi, nawet Ukrainiec nie był skory do zaproponowania kandydatury Jaggera. Rozważywszy jednak spokojnie wszystkie za i przeciw, doszedł do przekonania, że Cody jest idealnym kandydatem, chociaż Stein nadal miał pewne zastrzeżenia.

Stein i Karilian weszli po raz drugi do sypialni wiercącego się teraz niespokojnie na łóżku mężczyzny. Oczy Jaggera otworzyły się i spojrzały na nich poprzez szczeliny w spowijających głowę bandażach.

– Jak się czuje? – zapytał Stein pielęgniarkę siedzącą przy łóżku.

– O wiele lepiej – odparła. – Przed chwilą zaglądał do niego doktor Grühner. Powiedział, że przeszczepy się przyjęły i że nie ma śladu infekcji. Blizny dobrze się goją.

– Oglądaliście jego twarz? – spytał ją obcesowo Karilian. Pielęgniarka pokręciła głową. Karilian wskazał ruchem głowy na drzwi. – Wyjść – rozkazał.

Stein ostrożnie zdjął bandaże i układał je właśnie na metalowym wózku szpitalnym, kiedy zadzwonił telefon. Proszono Kariliana.

Ukrainiec podał tylko swoje nazwisko i stał przez chwilę ze słuchawką przy uchu, po czym chrząknął dwa razy i cisnął ją z powrotem na widełki.

– To był Paryż – powiedział. – W więzieniu Fresnes wybuchł pożar. Jednemu z pensjonariuszy powiodła się brawurowa ucieczka. Zgadnij komu.

Oczy Steina zabłyśły.

– A więc lada chwila się zacznie?

Karilian skinął głową.

– Ta twoja woskowa kukła będzie potrzebna szybciej, niż przewidywaliśmy. No nic, rzućmy na niego okiem.

Kiedy nad łóżkiem zamajaczyła groźna sylwetka Kariliana, Jagger wydał zboląły pomruk. Po tym, co przeszedł, Cody reagował dreszczem na sam widok Rosjan, a zwłaszcza Kariliana. Ukrainiec wziął ze szpitalnego wózka folder Steina i nachylił się nad pacjentem przybliżając zdjęcie 12x10 cm do nowego, różowego ucha Jaggera. Wyprostował się po chwili i odwrócił do doktora.

– Nieźle – zawyrokował.

– Nieźle? – zachnął się Stein. – Zwiódłby rodzoną matkę McCafferty'ego.

Znowu zadzwonił telefon. Doktor podniósł słuchawkę, przedstawił się i podobnie, jak wcześniej Karilian, słuchał przez chwilę w milczeniu. Potem powiedział:

– Nie ma obawy, będzie gotów. Tak. A więc do przyszłego tygodnia. *Au revoir*. Dunkels – wyjaśnił widząc pytająco uniesioną brew Kariliana i powtórzył mu treść rozmowy, z której wynikało, że Smith wpadnie za tydzień do kliniki i chce, aby w przeciągu kolejnych pięciu tygodni dubler był w dobrej formie, bez jednej blizny i doskonale przygotowany do swej roli. W uśmiechu Kariliana nie było śladu wesołości.

– Ja też tego pragnę, mój drogi Richardzie. Już ty się o to postarasz, prawda?

Stein zapewnił go, że wywiąże się z zadania. Mieli taśmy z nagrany głosem McCafferty’ego i eksperta od wymowy do pomocy oraz niemy i udźwiękowiony film rejestrujący sposób chodzenia, gesty i manieryzmy pułkownika. Stein posiadał również zebrane przez Smitha wyczerpujące dossier tego człowieka UNACO. Obejmowało jego przeszłość, wykształcenie, sprawy sercowe, bliskie przyjaźnie, upodobania i awersje... wszystko szczegółowo udokumentowane. Znajdowały się tam też załączniki z charakterystyką psychiatryczną i opisem aktualnego stanu zdrowia oraz historie przebytych chorób i wyciąg z karty leczenia stomatologicznego. Akta zawierały ponadto wyszczególnienie związków McCafferty’ego z towarzyszami broni oraz odciski kciuków i minidossier ludzi z kręgu jego najbliższych współpracowników, których McCafferty powinien rozpoznawać bezbłędnie na pierwszy rzut oka.

Na korzyść Jaggera przemawiał jeden czynnik: McCafferty dowodził własnym oddziałem, a więc nie musiał być na zażyłej stopie z kimkolwiek, ani z przełożonymi, ani z podwładnymi. Usprawiedliwioną tym rezerwą można było wykorzystać do pokrywania chwilowych potknięć. Niemniej jednak dubler musi zapamiętać nie tylko twarze, ale i życiorysy wszystkich mężczyzn i kobiet z rodziny i z najbliższego otoczenia McCafferty’ego, a zwłaszcza oficerów, z którymi służył w trakcie wojskowej kariery. Każdy z nich może sypać jak z rękawa podobnymi epizodami z przeszłości, na które dubler musi bez wahania reagować – i ewentualnie dopowiadać szczegóły. Główny problem, rozumował Stein, stanowić mogą kobiety w życiu McCafferty’ego. Dysponowali pełną dokumentacją znanych im romansów, na którą składały się

podobizny jego partnerek, ich życiorysy, wykazy ulubionych potraw, gatunków muzyki, autorów. Tam, gdzie to było możliwe, uwzględniono również skłonności i ewentualne odchylenia seksualne, ale jeśli nie gdzie indziej, to właśnie w łóżku mógł się zdradzić dubler. Kilka autorytetów oceniało McCafferty'ego jako wrażliwego i wytrawnego kochanka, podczas gdy Jagger był w najlepszym wypadku pozbawionym uczuć gwałcicielem z dowodzącym tego wyrokiem na koncie.

Na szczęście Stein rozwiązał częściowo ten problem, obrzezując Jaggera na podobieństwo McCafferty'ego. Upłynie więc trochę czasu, zanim dubler będzie się mógł bezboleśnie sprawdzić. Poza tym przykaże mu się, aby z zasady unikał kontaktów seksualnych, zasłaniając się nawrotem zapalenia wątroby, łagodnym przypadkiem choroby wenerycznej albo inną trafiającą do przekonania wymówką.

Gdy tak przyglądali się pokrytemu bliznami dublerowi, Stein znowu zapytał Kariliana, jakie są szanse powodzenia całej maskarady.

– Czy Jagger naprawdę potrafi stanąć na wysokości zadania? Czy jest na tyle inteligentny, i potrafi się przystosować do okoliczności? Zdajesz sobie chyba sprawę, Axelu, że do odegrania tej roli potrzebny jest niezły aktor.

– Niech cię o to głowa nie boli – uspokoił go Karilian. – Spisze się, jak należy – zapewnił ponuro – i zrobi to dobrze. Nie wiem, do czego jest potrzebny Smithowi na pokładzie Air Force One, ale to musi być coś bardzo ważnego, skoro taki jak on profesjonalista zdecydował się tyle zainwestować. A to, że jego człowiek jest jednocześnie naszym człowiekiem, o czym nie wie ani Smith, ani ludzie z UNACO, którzy teraz, kiedy Smith znalazł się na wolności, na pewno pojawią się na scenie, uważam za mistrzowskie posunięcie. Moskwa jest zachwycona rysującymi się perspektywami.

Stein skwitował uśmiechem wyraźne upojenie Kariliana i wyraził obawę, że im dłużej Jagger występować będzie jako McCafferty, tym bardziej zwiększać się może ryzyko zdemaskowania całej mistyfikacji. Ukraińiec potrząsnął ogromną głową.

– Mylisz się – odparł – im dłużej będzie grał tę rolę, tym będzie w niej lepszy... to bez wątpienia nastąpi.

– No, nie wiem – mruknął Stein. – Skąd u ciebie ta pewność?

– Skąd? To proste, znam Jaggera. Przeraza go to, co się z nim stanie, jeśli nawali. To byłoby coś sto – tysięcy – razy gorszego od śmierci. Potrafisz sobie wyobrazić rozmiary tego strachu, doktorze, ten potworny los, jaki w przekonaniu Jaggera może przypaść mu w udziale? Ale co też ja tu wygaduję; oczywiście, że potrafisz. Mimo wszystko jesteś uznanym ekspertem, jeśli chodzi o zadawanie bólu i sianie terroru. Wystarczyłoby, na przykład, gdybyś zagroził mu ponowną „przeróbką”, tym razem bez znieczulenia. Nie byłoby to po raz pierwszy, prawda?

Stein poczerwieniał ze złości, ale nie potrafił spojrzeć Karilianowi w oczy.

– A co z prawdziwym McCaffertym – wymruczał. – Co się z nim stanie?

Karilian roześmiał się.

– Jeżeli Smith go nie zgładzi – powiedział – to, oczywiście, zrobię to ja.

ROZDZIAŁ TRZECI

Basil Swann, pryszczaty młodzieniec w okularach w rogowej oprawie, legitymujący się imponującą kolekcją stopni naukowych z trzech uniwersytetów, wpadł do gabinetu Malcolma G. Philpotta, dyrektora Organizacji do spraw Zwalczania Przystępczości przy ONZ. Biuro organizacji mieściło się w gmachu ONZ w Nowym Jorku i Basil był dumny jak dziecko, że tam pracuje, chociaż nawet nie marzył, aby dane mu było pochwalić się tym w gronie znajomych. Praca w UNACO zapewniała mu świetlaną przyszłość – o ile sama UNACO taką przed sobą miała.

Biuro nigdy nie było – i, czego obawiał się Philpott, nigdy nie będzie – całkowicie bezpiecznym miejscem pracy, wolnym od nacisków politycznych i finansowej presji. Utworzenie ściśle tajnej grupy zaproponował on sam, kiedy był jeszcze profesorem na uczelni w Nowej Anglii. Specjalizował się w behawioryzmie, ale najbardziej interesowało go funkcjonowanie umysłu o skłonnościach kryminalnych. Zabiegał niestrudzenie o poparcie ONZ, które uzyskał tylko dzięki temu, że ówczesny rząd Stanów Zjednoczonych pokrył wstępne koszty badań. Philpott zdecydowanie odrzuciwszy patronat amerykański, z powodzeniem walczył z administracją o niezależność UNACO od USA, czy jakiegokolwiek innego państwa. Obstawał przy tym, że biuro musi być do dyspozycji wszystkich krajów członkowskich ONZ, bez względu na to, do jakiego bloku należą. Światły sekretariat ONZ w końcu to zrozumiał.

Innym problemem, przed którym stał Philpott – problemem łatwym do przewidzenia, ale trudnym do rozwiązania – była infiltracja ze strony wywiadów państw należących do ONZ. Philpott

umiejętnie udaremniał oczywiste próby penetracji ze strony CIA i KGB, ale wykrycie wtyczek francuskich, izraelskich, brytyjskich i południowoafrykańskich sprawiało niekiedy więcej kłopotów. Z czasem dyrektor wprowadził swoisty *cordon sanitaire*, będący w jego przekonaniu jedynym skutecznym sposobem zagwarantowanie neutralności i bezstronności UNACO. Potrafił sobie poradzić z naturalnym rozdarciem emocjonalnym funkcjonariuszy rodem z Ameryki, którzy musieli toczyć nieustanną walkę z silnie zakorzenionymi nakazami patriotyzmu lokalnego, i zdawał się całkowicie na swoją asystentkę Sonię Kolchinsky, narodowości czeskiej, tam gdzie chodziło o pohamowanie zapędów Układu Warszawskiego.

Na koniec Philpott musiał wyperswadować swoim klientom, że powołaniem UNACO nie jest zabawa w politykę, że amerykańskie działania destabilizujące w Chile i na Jamajce czy bezwzględne represje stosowane przez Związek Radziecki w Czechosłowacji i w Polsce nie stanowią zbrodni międzynarodowych. Owszem są godne ubolewania, ale nie podlegają zaskarżeniu. Wrogowie UNACO to kryminaliści zagrażający bezpieczeństwu narodów i stabilności porządku publicznego. Na liście znanych Philpottowi osób tego pokroju Smith plasował się w czołówce.

Niepożądaną komplikację stanowiła dla dyrektora UNACO przyjaźń z prezydentem Stanów Zjednoczonych, Warrenem G. Wheelerem, datująca się jeszcze z czasów szkolnych. Wheelera trzeba było traktować bezstronnie, jak głowę każdego innego państwa wchodzącego w skład ONZ. Tymczasem Philpott musiał umiejętnie balansować. Gdyby wychylił się zbyt daleko w którymkolwiek kierunku, spadłby, a wraz z nim UNACO. Ale przecież ryzyko było chlebem powszednim Malcolma Gregory'ego Philpotta. Poza tym życie stawało się przez to bardziej interesujące.

Dobiegający właśnie pięćdziesięciu pięciu lat Philpott był nadal szczupłym, wysportowanym i przystojnym mężczyzną, chociaż siwizna zaczynała mu już przyprószać bujną czuprynę, a wyrazistą, inteligentną twarz żłobiły zmarszczki, świadczące nie tyle o podeszłym wieku, co o dźwiganym brzemieniu odpowiedzialności. Głównymi emocjami, jakie się na niej pojawiły, gdy Swann wkroczył do gabinetu, były napięcie i niepokój, nie potwierdzające raczej reputacji dobrego gracza, jaką cieszył się dyrektor.

W wielkiej sali, którą przemierzał Swann zdążając na spotkanie z szefem, mieścił się główny komputer UNACO oraz sterowana elektronicznie ścienna mapa świata. Pracował tutaj wielojęzyczny personel nasłuchowy, ślęcząc dzień i noc przy monitorach rejestrujących dane ze stu trzydziestu krajów.

Stacja, z którą w danej chwili nawiązywano kontakt, lokalizowana była przez przyporządkowaną jej lampkę zaczynającą migotać na ściennej mapie. Dokładna miniatura tej mapy, naniesiona na przezroczystą folię, spoczywała na pedantycznie utrzymanym blacie biurka Philpotta. Basil Swann podszedł do szefa, zakaszał dyskretnie i wręczył mu wydruk. Była to krótka lista, nie zawierająca więcej niż pięć wierszy.

ZSRR: Przesyłka złota w sztabach – z Kłwostu do Moskwy.

EWG: Bruksela. Cokwartalna konferencja NATO.

BLISKI WSCHÓD: Bahrajn. Odlot ministrów krajów OPEC do Waszyngtonu.

Kair. Izraelsko-egipskie rozmowy na temat doktryny obronnej.

PÓŁKULA POŁUDNIOWA: Cape Town. Tranzytowa przesyłka diamentów do Amsterdamu.

Philpott przebiegł szybko wzrokiem poszczególne pozycje i towarzyszące im orientacyjne daty, po czym wolno przeczytał całość.

– To wszystko? – zapytał.

– To kompletny wykaz najważniejszych wydarzeń na najbliższe trzy miesiące, wytypowanych przez komputer jako najbardziej godne zainteresowania naszego przyjaciela – odparł niepewnie Swann.

– Jakiego przyjaciela?– rozległ się donośny głos od wejścia. – A poza tym, co to za alarm, że wywołujesz mnie od fryzjera? Wiesz przecież, jaki nerwowy jest Pepito. Lepiej, żeby było to coś ważnego.

– I jest, Soniu – odparł Philpott, gdy jego szałowo uczesana asystentka, wpłynęła do sali i zagłębiła się w fotelu podsunętym jej przez Swanna.

Sonia Kolchinsky nosiła się modnie, była więcej niż średniego wzrostu, miała pełną twarz, jasnoszare oczy i krótkie, rude włosy przylegające do kształtnej głowy. Była o dobre dziesięć lat młodsza od Philpotta, ale nie widziała żadnych powodów, by tak mało znaczące fakty, jak różnica wieku czy ich pozycje w UNACO, stanowiły przeszkodę w romansie, który oboje bez zobowiązań i radośnie podtrzymywali, od kiedy ona stała się częścią UNACO i życia Philpotta.

– To bardzo ważne – dodał ponuro Philpott. – Smith zbiegł z więzienia.

– O rany – westchnęła – a więc o tego przyjaciela chodzi.

– Właśnie o tego.

Sonia była wyraźnie poruszona wiadomością.

– Nie zostało mu już dużo do odsiadki, prawda? – powiedziała. – Pamiętam, że po wpadce na wieży Eiffla załatwił sobie łagodny wyrok w zamian za łapówkę. Za kilka miesięcy i tak wyszedłby na wolność. – Philpott skinął głową. – Czy nie postąpił głupio, uciekając teraz?

– Może tak – przyznał Philpott – a może nie.

– Dlaczego „może nie”?

– Bo niewykluczone, mój aniołku, że planuje coś tak ważnego, że

tylko osobiście może zająć się sprawami organizacyjnymi. *Ergo*, miał już dosyć Fresnes.

Sonia zmarszczyła czoło.

– A więc... szukamy czegoś na jego miarę, tak?

Philpott skinął głową i wręczył jej wydruk.

– To wytypował komputer – wyjaśnił z troską w głosie. – W grę może wchodzić każda z tych pozycji. Wszystkie są w jego stylu, chociaż dwie mają charakter zbyt polityczny, jak na upodobania Smitha.

Soni wystarczył jeden rzut oka, by przekonać się o trafności tego komentarza. Wstępnie wyeliminowała konferencję w Brukseli oraz rozmowy w Kairze. Podobnie jak Malcolm Philpott, dostała obsesji na punkcie pana Smitha, odkąd UNACO wzięło się wreszcie z nim za bary i chwilowo unieszkodliwiło. Smith był bezsprzecznie najbardziej enigmatyczną postacią w świecie przestępczym, rzadkim okazem zaprzędanym anarchii i całkowicie amoralnym. I może nawet, co gorsza, hołdował abstrakcyjnej zasadzie zbrodni dla samej zbrodni, uważając ją za czynnik oczyszczający w świecie, którym pogardzał.

Korzyści finansowe zdawały się go nie interesować. Łaknął jedynie władzy i wpływów, umożliwiających mu dokonywanie coraz bardziej zdumiewających i okrutnych zamachów na ludzi, rządy, instytucje i systemy społeczne.

Smith nie pragnął zostać Napoleonem, Aleksandrem Wielkim czy Tamerlanem zbrodni. W swoim spaczonym umyśle już kimś takim był. Nikt – nawet jego najbliższe otoczenie – nie wiedział, skąd przyszedł, jak początkowo wyglądał (zmieniał swój wygląd tak, jak inni ludzie zmieniają ubrania), nikt nie znał rzeczywistej natury obsesyjnej paranoi, która nim powodowała. Był bajecznie bogatym, dobrze ustosunkowanym młodzieńcem o niemal nieograniczonych uzdolnieniach, który wszędzie mógłby się wybić. Jednak Smith

wybrał jedną z najnikczemniejszych form działalności i na nieszczęście dla świata, podniósł ją do rangi sztuki.

Philpott jako dyrektor UNACO, zwerbował do walki ze Smithem międzynarodowych przestępców, z kłusowników zrobił gajowych. Już raz odnieśli sukces, więc był przekonany, że tylko UNACO potrafi ponownie przeszkodzić Smithowi.

Gdyby im się jednak nie udało, to miał nieprzyjemne przeczucie, że bez względu na wybrane pole bitwy UNACO znalazłoby się, bezpośrednio lub pośrednio, na samej linii ognia. Razem ze swoim dyrektorem i jego asystentką.

– No dobrze – powiedział Philpott, oddając wydruk Swannowi – rozmieścisz agentów w tych rejonach, które zaznaczyłem. W Kairze i Brukseli też.

– A w Bahrajnie nie? – zdziwił się Basil.

Philpott podparł się pod brodę i zacisnął usta.

– Nie – potwierdził swoją decyzję – w Bahrajnie nie. Ministrowie krajów OPEC lecą do Waszyngtonu pod koniec przyszłego miesiąca, na pokładzie Air Force One, a tam mamy już Joe McCafferty'ego, oddelegowanego w charakterze szefa ochrony. Nie moglibyśmy sobie wymarzyć kogoś pewniejszego w tak czułym miejscu.

– Tak jest, sir – powiedział Swann i był już w pół drogi do drzwi, kiedy Sonia zawołała, żeby wrócił. Philpott podniósł na nią pytający wzrok.

– Nie jestem taka pewna... – powiedziała z zastanowieniem. Philpott uniósł brew w niemym znaku zapytania.

Chodziło, wyjaśniła, o ich wspólne podejrzenie, że Smith może planować jakiś sposób odegrania się na UNACO, choćby miało to stanowić produkt uboczny większej operacji. Jeśli tak, to czy nie wybrałby czasem spotkania w Bahrajnie i lotu Air Force One właśnie dlatego, że funkcję szefa ochrony pełni na pokładzie człowiek

oddelegowany przez UNACO?

– Chodzi ci o to, że rozmyślnie wybierze taki cel, by za jednym zamachem porachować się z nami – mruknął w zadumie Philpott.

– Tak, rozmyślnie. Mimo wszystko, co skuteczniej zniszczyłoby naszą wiarygodność, jeśli nie jakaś paskudna historia z prywatnym samolotem prezydenta Stanów Zjednoczonych, na którego pokładzie pełnią w tym czasie służbę wyżsi rangą pracownicy UNACO?

Philpott potarł nasadę nosa, potem zdjął okulary i zaczął w zadumie ssać zausznik. Postawiliby się w idiotycznej sytuacji, myślał, gdyby zostali zmuszeni do skompromitowania jednego ze swoich najlepszych funkcjonariuszy poprzez wprowadzenie kontrolującego go agenta; ale Sonia wysunęła dalsze przekonujące argumenty.

– On jest taki nieobliczalny – naciskała. – Celem zamachu może być zarówno każdy z tych przypadków, jak i żaden z nich.

– W porządku, Basil – zdecydował Philpott – bierzemy pod uwagę wszystkie możliwości z Bahrajnem włącznie. Skontaktuję się nieoficjalnie z McCaffertym i uprzedzę go, że powinien zachować szczególną czujność podczas tej wycieczki OPEC, a ty przydziel jakiegoś funkcjonariusza na Air Force One.

– Za wiedzą i zgodą McCafferty’ego? – upewnił się Swann. Philpott uśmiechnął się.

– Dla każdego przychodzi kiedyś ten pierwszy raz – powiedział. – Tam, gdzie chodzi o Smitha, nie możemy ryzykować.

Basil wyszedł, a Sonia spojrzała przenikliwie na Philpotta.

– Dlaczego to ubezpieczenie ma być anonimowe? – zapytała. Nie widziała uzasadnienia. Jej chodziło tylko o wsparcie McCafferty’ego.

Philpott popatrzył na nią spokojnie i spodobało mu się to, co zobaczył. Jej sposób rozumowania również mu się podobał; nie raz już grali w łóżku w siedmiokartowego, dobieranego pokera i zawsze zenująco przegrywał.

– To się nazywa uwzględnieniem wszelkich ewentualności – odparł.

Uśmiechnęła się.

– Albo grą w dwa ognie?

Philpott mrugnął do niej.

– No tak – powiedział – ty i Smith nie jesteście jedynymi spryciarzami w tej małej rozgrywce.

Powietrze było tak czyste i rześkie, jak to utrzymywał turystyczny przewodnik Steina, i pogoda znowu robiła wspaniałą reklamę Szwajcarii. Kierowca mercedesa też był w wyśmienitym humorze; nareszcie wiozł komunikatywnego pasażera. Ku zdumieniu Dunkelsa, przez całą drogę do Kliniki Edelweiss Smith z własnej inicjatywy podtrzymywał ożywioną konwersację. Dunkels podejrzewał, że szef sprawdza po prostu swój nowy akcent i osobowość – arystokratyczną bostońską angielszczyznę z irlandzkimi naleciałościami, przejawiającymi się w przeciąganiu samogłosek, sugerującym harwardzkie wykształcenie. Ten akcent i osobowość idealnie pasowały do jego eleganckiego garnituru. Szofer był pod wrażeniem, w czym niepoślednią rolę odgrywała kurtuazja Smitha, który swoje mniej zrozumiałe dowcipy objaśniał w nienagannej szwajcarskiej gwarze.

Stein powitał ich w drzwiach i poprowadził od razu na tyły kliniki, do krajobrazowych ogrodów ciągnących się aż pod strome zbocze góry. Jagger siedział w fotelu na kółkach w samym rogu i rozmawiał z blond pielęgniarką, zatrudnioną niedawno na miejsce poprzedniej, zwolnionej na polecenie Kariliana, który uważał, że im mniej ludzi wie, iż Jagger i pacjent z prywatnego skrzydła poddany operacji plastycznej to jedna i ta sama osoba, tym lepiej.

Zanim Stein zdążył zawołać Jaggera, Smith krzyknął:

– Pułkowniku McCafferty. Goście!

Fotel na kółkach obrócił się gwałtownie w ich stronę i Jagger głosem, który nawet w tym wczesnym stadium mógł już uchodzić za należący do McCafferty'ego, powiedział: – Czyżbyśmy się już kiedyś spotkali, bo mnie się wydaje, że nie?

– Znakomicie, Jagger, znakomicie – zachwył Smitha był nieco egzaltowany. – Nie miałem dotąd przyjemności poznać pana McCafferty'ego i wolałbym, żeby już tak zostało. Świetnie się zachowałeś. Już przeszedłeś moje oczekiwania.

Odwrócił się do Steina i jemu też złożył gratulacje, które mały doktor był zmuszony w swej skromności przyjąć. Obiektywnie rzecz biorąc, transformacja ta była majstersztykiem chirurgii plastycznej.

Potem Stein napomknął, że Jagger jest bardzo ciekaw zadania, jakie ma wykonać w imieniu McCafferty'ego, ale Smith poradził dublerowi, żeby na razie nie zawracaj sobie tym głowy; dowie się wszystkiego za kilka tygodni. Do tego czasu musi wczuwać się w rolę, bo będzie okresowo egzaminowany przez Dunkelsa.

– Nie muszę chyba wyjaśniać – mruzczał Smith – że byłbym w najwyższym stopniu niepokieszony, gdyby ciężka praca i wydatki, jakie poniosłem, poszły na marne. Zapewniam cię, że gdyby okazało się, iż nie nadajesz się zupełnie do wykonania tego zadania, twoje godziny będą policzone i nie zdążysz się nawet zastanowić nad błędem, jaki popełniłeś.

Jagger poczerwieniał na tyle, na ile pozwalała na to rozciągnięta, różowa tkanka twarzy McCafferty'ego, i wykonał taki ruch, jakby chciał zerwać się ze swojego fotela na kółkach, ale Stein z pielęgniarką przytrzymali go i usadzili łagodnie z powrotem. Doktor zaprotestował przeciwko obcesowości Smitha, która mogła zachwiać psychologiczną akceptację trwałąj utraty tożsamości Jagera.

Smith zbył jego obiekcje lekceważącym machnięciem ręki i zapewnił dublera o swym przeświadczeniu co do jego zdolności

aktorskich. Powtórzył jeszcze raz, że Jagger nauczy się niedługo wszystkiego, czego trzeba.

– Co zaś do pana, mój drogi doktorze – zwrócił się do Steina – nie dowie się pan o szczegółach planu. Gdy stanie się on *un fait accompli*, pozna go cały świat. A tymczasem płacę zarówno za pana milczenie, jak i za pańskie niewątpliwe kwalifikacje medyczne.

Stein uśmiechnął się i przekrzywił głowę. Zapewnił Smitha, że nie musi się obawiać o jego dyskrecję, ani o to, że będzie się interesował dalszymi losami Jaggera, gdy dubler wejdzie już do akcji.

– A zatem rozumiemy się, doktorze – podsumował Smith uśmiechając się z zadowoleniem.

Stein odwzajemnił mu się uśmiechem. Pomyślał przy tym, że prawdopodobnie żaden z żyjących ludzi nigdy nie przechytrzył Smitha, inkasując jednocześnie z jego rąk sute honorarium.

Jeśli chodzi o mężczyzn, miał rację. Była jednak pewna kobieta, której się to udało...

...a nazywała się Sabrina Carver.

Wchodziła w skład terrorystycznej grupy Smitha na wieży Eiffla, ale w rzeczywistości (czego wówczas Smith nie wiedział) przyczyniła się tam do jego klęski, ponieważ była jednocześnie cenionym agentem UNACO. Sabrina знаła tylko jednego, poza sobą, funkcjonariusza UNACO – a nie był nim Joe McCafferty.

Tworząc UNACO, Philpott przyjął jako podstawową zasadę anonimowość i separację agentów. Zapewniało im to bezpieczeństwo i chroniło UNACO, ponieważ ujęty funkcjonariusz mógł zadenuncjować jedynie siebie lub osoby z biura głównego. A personel biura głównego był powszechnie znany; ich nazwiska publikowano w oficjalnych dokumentach ONZ. Jedyną prawdziwie tajną broń Philpotta stanowili agenci, których zatrudniał w każdym kraju członkowskim ONZ. Pełny wykaz ich nazwisk byłby dla

wywiadu bezcennym materiałem i zaskakującą lekturą, zwłaszcza dla samych agentów.

Tam, gdzie okoliczności bezwzględnie tego wymagały, Philpott łączył agentów w dwuosobowe zespoły działające na zasadzie „ja znam tylko ciebie, ty tylko mnie”. Czasami pary te wiązały się ze sobą na dłużej, jeśli tylko obaj członkowie zespołu wychodzili z operacji żywi. Niektórych funkcjonariuszy nigdy nie łączono w takie dwójki, mając na względzie ich wzajemną antypatię, zapatrywania polityczne lub strategiczne. McCafferty był czuły na punkcie strategii.

Philpott rekrutował swój personel spośród wszystkich klas społecznych, kolorów skóry i wyznań, a kiedy musiał dokooptować jakiegoś agenta do pary, przejawiał coś, co Soni Kolchinsky wydawało się perwersyjnym upodobaniem do łączenia ze sobą skrajnych przeciwieństw.

Joe McCafferty, na przykład, któremu trzeba było teraz przydzielić partnera, był prawym i prostoliniowym zawodowym lotnikiem, gorącym amerykańskim patriotą i wysokiej rangi oficerem cieszącym się nieposzlakowaną opinią zarówno w Pentagonie, jak i w Amerykańskiej Secret Service.

Natomiast Sabrina Carver, którą Philpott wybrał na partnerkę McCafferty'ego, była międzynarodową złodziejką klejnotów.

Jej honorarium za akcję na wieży Eiffla (na co Philpott, choć niechętnie, przystał) stanowiły łupy z zuchwałego napadu na Amsterdamską Giełdę Diamentową, którego dokonała po to, by zwrócić na siebie uwagę Smitha i skłonić do zwerbowania jej do formowanej przez niego grupy terrorystycznej. Niepodważalna skuteczność Philpotta i niezaprzeczalny sukces stworzonej przezeń UNACO często zderzały się czołowo z jego sumieniem, kiedy wypływała delikatna kwestia opieki i poparcia, jakich pełniąc funkcję dowódcy tej antyprzestępczej organizacji udzielał w istocie

hołubionym przez siebie przestępcom. Na szczęście, jego sumienie dawało niezmiennie za wygraną już na pierwszej przeszkodzie.

Fundusze UNACO, nigdy nie przekraczające skąpo wydzielanych sum pochodzących ze składek członkowskich państw należących do ONZ, zależały od wyników i niewiele było sposobów, do jakich nie uciekłyby się Malcolm Philpott, by te wyniki osiągać. Zwłaszcza kiedy bywał zmuszony do zajęcia się takimi kryminalnymi potworami, jak Smith.

Philpott wydał Swannowi instrukcje dotyczące roli cienia Joe McCafferty'ego, do której wyznaczona została Sabrina.

– Tym razem zasadę „ja znam tylko ciebie, ty tylko mnie” zastosować trzeba tylko jednostronnie – podkreślił. – Sabrina musi wiedzieć o McCaffertym, ale on nie może wiedzieć o niej, przynajmniej, dopóki nie wydam innego polecenia. Jasne?

Gdy Swann wyszedł, żeby odszukać Sabrinę i ściągnąć ją na odprawę, Sonia poskarżyła się, że cała sytuacja nadal pozostaje dla niej wielce niejasna, nawet jeśli Swann ją rozumie.

– Nie rozumie – zapewnił Philpott – ale robi, co mu każe. Chodzi o to, że Joe jako nasz cel nie będzie skory do zwracania sobie głowy oglądaniem się na partnera. Poza tym podejrzenie, że przydzieliliśmy mu takiego kogoś po to, żeby miał go na oku, nie wpłynęłoby na niego korzystnie. Przypuszczam jednak, że jeśli Smith rzeczywiście zagiął parol na Air Force One, to Joe potrafi wyzyskać wszystkie atuty, które ma do dyspozycji, a jego urażoną męskością zajmę się, kiedy będzie po wszystkim.

Spojrzał ponuro na Sonię i zdobył się na znużony uśmiech.

– Może być źle – powiedział powoli. – Tak źle, jak jeszcze nigdy dotąd. Nie muszę ci chyba uświadamiać, że jeśli Smith planuje zamach na Air Force One i tuzin naftowych szejków, to nikt, oprócz naszych ludzi na pokładzie tego boeinga, absolutnie nic nie może na

to poradzić.

Axel Karilian, długoletni zasłużony korespondent radzieckiej gazety *Izwestia* w Europie Środkowej, zajmował apartament w luksusowej kamienicy nie opodal centrum Genewy, gdzie wiódł życie na wysokim, pozazdroszczenia godnym poziomie. Oparł się wszelkim próbom, do jakich uciekali się Szwajcarzy, by umieścić w jego mieszkaniu służbę domową, która by go szpiegowała, tak więc osobiście zareagował na natarczywy dzwonek do drzwi, jaki rozległ się we wczesnych godzinach porannych. Rozpoznał w gościu pracownika KGB średniego szczebla.

– Nie uprzedzili mnie o pańskim przyjeździe – powiedział Karilian na powitanie.

– Bo nie powiedziałem im, że jadę – odparł chłodno gość.

Karilian zrewidował swoją ocenę statusu przybysza; na Prospekcje Gorkiego przeprowadzono najwyraźniej czystkę, w wyniku której jego gość, kryptonim Myszkin, bezspornie awansował. Karilian wyjął whisky i cygara – wódka i papierosy zarezerwowane były wyłącznie dla gości niższej rangi.

– Interesuje nas Smith – zagaił aparatczyk z KGB. – I jego inicjatywa, bez względu na to, czym może się ona okazać. Będziemy o niej mówić ogólnikowo, jeśli łaska, bo... – na migi dał do zrozumienia, że obawia się urządzeń podsłuchowych -...ostrożności nigdy za wiele.

Gospodarz zaprotestował w stosownie stonowanej formie, zapewniając, że apartament jest „czysty”, ale Myszkin uciszył go machnięciem ręki.

– Będzie, jak powiedziałem – uciął tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Karilian wzruszył ramionami i skinął głową.

– Jesteśmy zdania – ciągnął Myszkin – że ta inicjatywa ma dla nas

najważniejsze znaczenie.

Karilian poczuł dreszcz niepokoju. Środki ostrożności powzięte przez Smitha najwyraźniej nie przeszkodziły Moskwie w rozpracowaniu jego zamiarów. Wiedzieli, co planuje.

– Realizacja projektu Smitha stworzyć może precedens o zasięgu międzynarodowym i najdalej posuniętych konsekwencjach – mówił Myszkin – precedens, który postawi w kłopotliwej sytuacji pewną osobę, której nie można raczej uznać za naszego najbliższego przyjaciela.

Karilian przekrzywił głowę udając, że intensywnie się zastanawia, gdy tymczasem żołądek kurczył mu się z podniecenia. To musiało się odnosić do Warrena G. Wheelera, prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zapoznał się z rozkładem lotów Air Force One dostatecznie szczegółowo, by nabrać teraz pewności, że celem Smitha są ministrowie krajów OPEC. Nic poza tym nie pasowało do faktów. Tylko rozdmuchanie incydentu, w którym poszkodowani zostaliby szejkowie naftowi, mogło dać Moskwie realną podstawę do stworzenia sytuacji międzynarodowej o „najdalej posuniętych konsekwencjach” dla USA i UNACO oraz postawić amerykańskiego prezydenta w wielce kłopotliwym położeniu.

– Pan mnie rozumie? – zapytał Myszkin.

Karilian skinął ponuro głową.

– To dobrze. Plan się powiedzie. Nie dopuści się do tego, by spalił na panewce. Dubler spełni wszystkie pokładane w nim nadzieje. Czy wyrażam się jasno?

Nie czekając na odpowiedź, Myszkin nadmienił, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, Moskwa będzie wielce zobowiązana Karilianowi za wciągnięcie KGB do przedsięwzięcia Smitha. Karilian z trudem przełknął ślinę. Żeby tylko nie byli ze mnie zbyt zadowoleni, pomyślał, na tyle zadowoleni, żeby ściągnąć mnie z powrotem do

Moskwy.

Jakby czytając w jego myślach, Myszkin uśmiechnął się chytrze i pochylił w fotelu. Światło biurowej lampy rozjaśniło ostre rysy jego przebiegłej twarzy, od refleksu na czarnych, wybrylantowanych włosach po czubek natartego kremem po goleniu podbródka.

Karilian odniósł wrażenie, że został przejrany na wylot. Przestraszył się.

– Chciałem przez to powiedzieć, że mógłby pan otrzymać przywilej wyboru najbardziej odpowiadającej panu placówki... poza granicami Związku Radzieckiego.

Karilian desperacko usiłował nie okazać ulgi.

– Ale ma się rozumieć, że nawet gdyby ta mała awanturka pana Smitha skończyła się niepowodzeniem, to też zgotujemy panu w Moskwie serdeczne powitanie. W sumie jednak radziłbym panu, żeby do takiej porażki nie doszło – zakończył życzliwie Myszkin. – Orientuje się pan chyba, jak... hm... ciepłe bywają czasem nasze powitania, nieprawdaż, mój drogi Axielu?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Hawley Hemmingsway III wyciągnął swe wielkie, dobrze umięśnione ciało w wannie szejka Bahrajnu i pacnął otwartą dłońią w spienioną wodę, by wyzwolić z niej aromatyczne wonie. Kąpiel przygotowywała służąca, ale Hemmingsway podejrzewał, że aby uatrakcyjnić mu ablucje zapachem, użyto co najmniej trzech egzotycznych olejków, w tym różanego.

– No i czyż jest we mnie coś, co wzniesiłoby podejrzliwość nawet moich najbliższych arabskich przyjaciół? – mruknął pod nosem.

Hemmingsway zaniósł się basowym, melodyjnym chichotem. Właściwie tylko jeden aspekt dotyczący amerykańskiego sekretarza do spraw energetyki mógłby podrażnić nos Araba, a akurat pod tym względem Hemmingsway nie żywił żadnych obaw. Znowu zarechotał, przypominając sobie osobliwe zakłopotanie Warrena Wheelera na oficjalnym przyjęciu w Białym Domu, podczas którego Hemmingswayowi zaproponowano to stanowisko.

– Ale jesteś tego absolutnie pewien, Hawleyu? – dopytywał prezydent, a zmarszczki u nasady nosa świadczyły o autentycznym zaniepokojeniu. – Nawet trzy, cztery pokolenia wstecz? – Naprawdę jesteś pewien? Nigdzie ani jednej kropelki hebrajskiej krwi? Bóg mi świadkiem, że nie jestem rasistą – dorzucił pośpiesznie – ale po prostu nie mogę sobie pozwolić na rozdrażnianie gości z OPEC, a najpewniejszym sposobem doprowadzenia ich do tego, że zaczną toczyć pianę z ust i gryźć te swoje perskie kobierce, jest podstawienie im choćby ćwierćydowskiego sekretarza do spraw energetyki.

Hemmingsway zapewnił prezydenta, że jest Amerykaninem z dziada pradziada, od Ojców Pielgrzymów poczynając.

- Prawdę mówiąc - dodał z chytrym uśmieszkiem - Hemmingswayowie grali już w krykieta z Cabotami, Adamsami i Lodgesami, kiedy Wheelerowie obdzierali ze skór bobry i szopy na przydziewki dla Pocahontów.

Żart przebrzmiał bez echa, ale wywołał lekkie uniesienie brwi prezydenta; Hemmingsway znał jednak dobrze tego człowieka i opuścił Zachodnie Skrzydło z nominacją na sekretarza do spraw energetyki - w kieszeni. Jego listy uwierzytelniające przeszły gładko przez drobiazgową kontrolę Arabów i kiedy ministrowie krajów OPEC zebrali się w Bahrajnie, by przedyskutować ewentualne porozumienie Wschód-Zachód, Hemmingswaya zaproszono do udziału w rozmowach jako nadwornego gościa Władcy. Do jego dyspozycji oddano jednego z cadillaców szejka i Hemmingsway czerpał satysfakcję z bezkarnego rozbijania się nim po wyspie z pochłaniającą morze benzyny szybkością, surowo zakazaną w Stanach na mocy opracowanego przezeń osobiście programu oszczędności energii.

Rozmowy przyjmowały korzystny obrót, co usprawiedliwiało nie tylko decyzję prezydenta Wheelera o wysłaniu Hemmingswaya do Bahrajnu, ale i o udostępnieniu swego osobistego samolotu, Air Force One, na podróż przez Genewę do Waszyngtonu, gdzie miała się odbyć druga runda negocjacji.

Hemmingsway wygramolił się z ogromnej, okrągłej wanny, poczłapał pod prysznic, spłukał z siebie oleistą wodę, po czym dał nura w rozpostarty kąpielowy szlafrok trzymany przez dziewczynę o połyskujących pod jaszlakiem zębach, która skromnie odwracała wzrok od nagości ministra. Hawley uśmiechnął się i podziękował jej po arabsku. Był nadzwyczaj obytyym sekretarzem do spraw energetyki.

Ściśle rzecz biorąc, Air Force One nie jest wcale Air Force One, jeśli

na jego pokładzie nie przebywa prezydent Stanów Zjednoczonych. Przewożąc, na przykład, sekretarza stanu, staje się automatycznie Air Force Two, chociaż to nadal ten sam samolot – maszyna określana przez siły powietrzne Stanów Zjednoczonych (USAF) jako stratoliniowiec VC-137C, co w ich nomenklaturze oznacza komercyjny, pasażerski odrzutowiec dalekiego zasięgu boeing 707 i jeśli prezydent postanawia udostępnić go komuś jako Air Force One, to jest to jego osobista sprawa. Samolot, wraz z nazwą, stanowi własność prezydenta od 1962 roku, ale dopiero teraz powszechnie o tym wiadomo.

Boeing poddany został modyfikacjom polegającym na wkomponowaniu gabinetu i saloniku dla prezydenta pomiędzy przedni i środkowy przedział pasażerski. Gości do tego „apartamentu” nie zaprasza się, ale w trzech przedziałach pasażerskich, zamykanych od przodu i od tyłu kuchenkami i toaletami, pozostaje mnóstwo wygodnych i przestronnych miejsc siedzących. Kadłub Air Force One zdobi napis „United States of America”, a jego nos godło prezydenckie. Załogę maszyny stanowi zawsze personel 89 Eskadry Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych stacjonującej w wojskowej bazie lotniczej Andrews pod Waszyngtonem.

Słońce połyskiwało oślepiająco na kadłubie i błyszczących skrzydłach samolotu podchodzącego do lądowania w porcie lotniczym Muharrak w Bahrajnie. Major Patrick Latimer sprowadził wielką maszynę w dół, prześlizgując się nad progiem pasa startowego, po czym poprowadził ją drogą kołowania wiodącą do stanowiska postojowego. Latimer, chociaż oficjalnie pełnił obowiązki pierwszego pilota, siedział w fotelu drugiego pilota po prawej stronie tablicy przyrządów. Fotel pierwszego pilota zajmował dowódca Air Force One, pułkownik Tom Fairman. Za nimi siedział nawigator, podpułkownik Paul Kowalski, a obok niego jeden z dwóch

mechaników pokładowych, starszy sierżant Chuck Allen. Doprowadzili do końca procedurę przyziemienia i sierżant Allen otworzył włącz boeinga.

Jeszcze jeden człowiek – też członek załogi, ale nie biorący bezpośredniego udziału w pilotowaniu samolotu – czekał, aż obsługa naziemna lotniska podstawi schodki. Zawsze opuszczał samolot pierwszy, a na jego pokład wchodził ostatni. Stał w otwartym włącz z gotowym do strzału rewolwerem, rozglądał się bacznie po płycie lotniska, zalanej ostrym światłem słonecznym.

Tak jak do obowiązków pułkownika Thomasa D. Fairmana należał nadzór nad lotem Air Force One od strony nawigacyjnej, tak odpowiedzialność za zagwarantowanie bezpieczeństwa boeingowi, jego załodze i pasażerom spoczywała wyłącznie na jednym człowieku – szefie ochrony, pułkowniku Joe McCaffertym.

Załoga stłoczyła się przy włącz i czekała cierpliwie, aż McCafferty zakończy rutynowe oględziny terenu. Po chwili Mac wsunął broń do kabury i zszedł po schodkach; w ślad za nim ruszyli Fairman, Latimer i pozostali członkowie załogi. Ostatni opuszczał samolot Bert Cooligan, agent amerykańskiej Secret Service, jedyny, poza McCaffertym, uzbrojony człowiek na pokładzie.

Fairman wydłużył krok i zrównał się z szefem ochrony.

– Powłóczymy się trochę przed odlotem po Manamie, Mac? – zapytał.

McCafferty posłał mu służbowy uśmiech.

– Może ty masz już robotę z głowy, Tom – odparł – ale moja dopiero się zaczyna. Nie powiem, żeby ta tętniąca życiem i grzeszna stolica Bahrajnu nie pociągała mnie swoimi atrakcjami, ale chyba rozejrzę się trochę, a potem zamknę w hotelu z flaszką Jacka Danielsa, żeby popracować nad dobrym planem zapewnienia bezpieczeństwa lotu.

Fairman uśmiechnął się.

– A nie poczytasz biblii Gideona?

– Tutaj? Nie, co najwyżej Koran albo przeschmuglowany egzemplarz *Playboya*. Lepiej, żeby nie wpadł w ręce krajowców. Wyrobią sobie niepochlebny opinię o kwiecie amerykańskiej kobiecości.

Obaj mężczyźni roześmiali się, a Arab obserwujący ich przez lornetkę z tarasu budynku terminalu leciutko podregulował ostrość.

Sabrina Carver była złodziejką, od kiedy w swym rodzinnym miasteczku Fort Dodge w stanie Iowa ukończyła siedem lat. Debiutowała kradzieżą maleńkiej broszki współpasażerce podczas wycieczki statkiem w dół rzeki Des Moines. Dostała za nią dwa dolary, co było ceną paskarską, zważywszy, że broszka miała trzy diamentyki w srebrnej oprawie. Sabrina nie rozpoznała w kamykach diamentów; był to błąd, którego nigdy więcej nie popełniła.

Dziesięć lat później opuściła Fort Dodge i jak dotąd nie odczuła potrzeby powrotu. Na bankowym koncju, założonym dla niej przez zachwyconego jej osobowością znajomego pasera, miała siedemdziesiąt tysięcy dolarów i na swoje osiemnaste urodziny podwoiła ten majątek zuchwałym rabunkiem w hotelu, którego, zdaniem policji, dokonać mógł tylko oddział komandosów-akrobatów.

Bo Sabrina Carver założyła sobie jedno: rzucając na szalę zadziwiającą sprawność fizyczną, wysportowanie, a do tego urodę i nieprzeciętną inteligencję, postanowiła wejść do grona najsłynniejszych włamywaczy-kotów. Wykorzystując wszystkie atrybuty, wyspecjalizowała się nie w zwykłej grabieży, ale w grabieży diamentów, co stanowiło jej największą, choć, być może, nietypową pasję.

Philpott, który przez cały czas trzymał rękę na pulsie międzynarodowej przestępczości, od razu zauważył tę szybko

wschodzącą wówczas dwudziestosiedmioletnią gwiazdę której karierę obserwował z zainteresowaniem i niemałą przyjemnością. Czekał na jej pierwszy błąd. I kiedy popełniła go w Gstaad, zafawwszy pazernemu kochankowi, wyrwał dziewczynę z rąk szwajcarskiej policji i wciągnął na listę niepełnoetatowych agentów UNACO.

Opłacał ją wystarczająco hojnie, by nie musiała kraść, ale, jak sam szczerze przyznawał, dziewczyna z mózgiem Sabriny i jej uderzającą urodą nigdy tak naprawdę nie musiała być złodziejką; ona po prostu to lubiła. Kradzież była czymś, co robiła najlepiej, i nie zamierzała z nią zerwać ani dla Philpotta, ani przez wzgląd na swoją pozycję funkcjonariuszki UNACO. Dlatego właśnie pracowała jako agent niepełnoetatowy.

Siedziała teraz w foyer najokazalszego hotelu Manamy i szybko oswajała się z myślą, że większość diamentów w Bahrajnie noszona będzie przez mężczyzn. Szkirowała właśnie od niechcienia w myślach projekt planu przedostania się do pałacu szejka, gdy nagle zmuszona została do rezygnacji z tej odprężającej rozrywki umysłowej i powrotu do rzeczywistości – przez zdobne drzwi obrotowe wmaszerował do foyer Joe McCafferty.

McCafferty dostrzegł ją natychmiast, bo miała na sobie mundur starszego lotnika USAF. Zmierzał sprężystym krokiem w kierunku recepcji, ale na widok Sabriny zmienił kurs. Gdy podszedł bliżej, zmylił nogę i zamrugął. Sabrina Carver wyzwała taką reakcję u większości mężczyzn; jej uroda zapierała dech w piersiach. Kaskada ciemnobrązowych włosów spływających na ramiona okalała jej eliptyczną w zarysie twarz od rozdzielającego je przedziałka pośrodku wysokiego czoła poczynając, a na dołku w podbródku kończąc. Brwi miała gęste, oczy szeroko rozstawione i ogromne, a nos i usta pozostawały w subtelnej, klasycznej proporcji.

McCafferty dobrnął do kresu swej marszruty z wyciągniętą ręką i lekko błyszczącymi oczyma.

– Pani na miejsce Prewett, jak przypuszczam – powiedział.

Specjalistka ruchu lotniczego (odpowiedniczka stewardesy na cywilnych liniach lotniczych) wypadła w ostatniej chwili, a jego uprzedzono przez radio, że zastępczyni dobije do Air Force One w Bahrajnie. Fairman mógł sobie pozwolić na podróż w tę stronę z jedną tylko stewardesą, ale na lot powrotny do Waszyngtonu z pasażerami na pokładzie potrzebował dwóch. Regulamin wymagał, aby wszyscy nowi dołączający do załogi prezydenckiego odrzutowca meldowali się w pierwszym rzędzie u szefa ochrony. Sabrina wstała, zasalutowała i podała dokumenty stwierdzające jej tożsamość, jak pouczył ją pokrótce Basil Swann, gdy Philpott załatwił wreszcie formalności z Pentagonem.

Uścisnęła dłoń McCafferty’ego i poczuła, jak silne palce mężczyzny zamykają się na jej własnych. Oparła się pokusie odwzajemnienia się równie silnym uściskiem, bo przecież dłonie miała niewątpliwie sprawniejsze i lepiej wyćwiczone niż on.

– Starszy lotnik Carver, odkomenderowana na Air Force One, melduje swoje przybycie, sir – wyrzuciła jednym tchem. – Pan pułkownik McCafferty, prawda?

Mac przyjął meldunek; wciąż odczuwał lekki zawrót głowy spowodowany wrażeniem, jakie na nim wywarła.

– A więc dobrze, Ccarver – zająknął się – czy pozwoli pani zwracać się do siebie jakoś inaczej, kiedy nie będziemy na służbie?

Uśmiechnęła się zwycięsko.

– Niech będzie Sabrina – odparła – ale tylko poza służbą. A czy ja mam się nadal zwracać do pana per „sir”? To znaczy, jeśli chodzi o godziny pozasłużbowe?

– Och... nie. Mam na imię Joe, ale większość moich przyjaciół

mówi mi Mac.

– A jak pan woli?

– Wybór pozostawiam pani.

– A zatem zgoda, ponieważ wszystko wskazuje na to, że zostaniemy przyjaciółmi, niech będzie „Mac” – odrzekła Sabrina bez śladu żenady.

McCafferty uśmiechnął się niepewnie, przekonując ją ostatecznie, że fotografie wyciągnięte z akt pułkownika, które oglądała u Basila Swanna, zafałszowały jego prawdziwą naturę. Był zdecydowanie przystojny w jakiś agresywny i nieprzychylny sposób, z odcieniem zadziorności, a może nawet okrucieństwa wyzierającego ze stanowczego układu ust i zarysu podbródka; nos miał długi, szeroki i prosty, a oczy barwy przeszywającego błękitu.

Zapytała McCafferty’ego o harmonogram podróży i dowiedziała się, że mają w planie postój w Genewie celem dotankowania paliwa, a jednocześnie zaopatrzenia się w pewne artykuły, o które w Bahrajnie niełatwo. Mieli zostać w Szwajcarii na noc. Spojrzał na zegarek i dodał, że start z Manamy nastąpi za cztery godziny.

– Masz tutaj pokój? – spytał niewinnie dziewczynę i zaraz spłonął rumieńcem, uświadamiając sobie, jak może odebrać jego pytanie. – Ja... ja nie miałem na myśli... na miłość boską... no wiesz... nie jestem taki szybki Bill. Chciałem... chciałem tylko...

– Chciałeś tylko – pomogła mu Sabrina rozbawiona i rozczulona jego zmieszaniem – a przynajmniej mam taką nadzieję, że chciałeś tylko wiedzieć, czy podobnie jak reszta załogi, mam pokój w hotelu, gdzie mogłabym się odświeżyć przed podróżą.

McCafferty wydał westchnienie ulgi.

– Dzięki za wsparcie w wybrnięciu z tej wpadki. Naprawdę nie jestem z tych facetów – wbrew wszystkiemu, co mogłaś o mnie słyszeć, a co świadczyłoby o czymś wręcz przeciwnym.

Jęknął zaraz, zorientowawszy się, że teraz wdepnął po uszy i podniósł ręce, by zakryć rumieniec, który stopniowo zalewał mu twarz. Sabrina wybuchnęła śmiechem, ale szybko przeprosiła, by oszczędzić pułkownikowi jeszcze głębszej konsternacji. Mimo wszystko nawet się biedak nie domyślał, że potrafi wyrecytować z pamięci nazwiska wszystkich kobiet, z jakimi Mac sypiał przez ostatnie pięć lat, jak również wystawione przez nie cenzurki jego możliwości – zarówno w łóżku, jak i poza nim.

– Naprawdę nie cieszę się tego rodzaju reputacją – próbował się jeszcze ratować Mac.

– Jestem pewna, że nie, pułkowniku... o przepraszam, „Mac”, ale ponieważ wywarłeś na mnie wrażenie, że jednak tak, to może powinnam się dobrze zastanowić, zanim przyjmę zaproszenie na kolację we dwoje w Genewie, którą miałeś mi właśnie zaproponować.

Mac spojrzał na nią zaskoczony.

– Skąd wiedziałaś, że zamierzałem postawić ci kolację dziś wieczorem w Genewie? – spytał. – Nawet się jeszcze nie zbliżyłem do wstępnych... eee...

– Wstępnych kroków w grze uwodzenia? – szepnęła z rozszerzonymi i pełnymi dziewczęcości oczyma. – Jejku jej, nigdy jeszcze nie byłam uwodzona przez eksperta, przez takiego sławnego kobieciarza, jak wielki Joe McCafferty...

– Teraz naigrawa się pani z moich emocji – zaprotestował Mac, prężąc się i przyjmując postawę zasadniczą. Jako szef ochrony na pokładzie Air Force One i jako pierwszy członek załogi, który zatrzymał na was oko, uważam za swój służbowy obowiązek chronić was przed tą hordą wygłodniałych wilków, w związku z czym rozkazuję wam, lotniku Carver, spożyć ze mną kolację dzisiejszego wieczora w Genewie. Zrozumiano?

– Tak jest, pułkowniku – odparła służbiście, salutując – o ile, oczywiście, jest to podyktowane wyłącznie zachowaniem dyscypliny.

Teraz przyszła kolej na docinek Maka.

– Bicie załogi nie leży w moim zwyczaju – powiedział – ale jeśli tego właśnie trzeba, żeby przywołać was do porządku, dla was zawsze mogę zrobić wyjątek.

Sabrina uroczo pokraśniała i przełknęła głośno ślinę.

– Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli zakończymy tę konwersację i będziemy kontynuować naszą znajomość na stopie służbowej, sir – zaproponowała.

– Ale zjesz dzisiaj ze mną kolację? – zapytał błagalnie Mac.

– Jasne.

Rozstali się, a Arab, sączący wodę sodową z lodami w oddzielnym przepierzeniu od reszty sali barku po ich lewej ręce, położył na stoliku futerał na lornetkę i zapisał coś pośpiesznie w cienkim, niebieskim notatniku.

Sabrina odebrała wiadomość od mężczyzny, który przedstawił się jako pierwszy steward, starszy sierżant Pete Wynanski z Air Force One. Powiedział jej, że dowódca zarządził zbiórkę załogi w hotelowym holu. Wychodząc z windy, dojrzała ich naprzeciwko barku. Nie było między nimi McCafferty’ego i nie wiadomo dlaczego, poczuła się zawiedziona. Zasalutowała pułkownikowi Fairmanowi i przywitała się z resztą załogi, z której każdy, ku wyraźnemu rozbawieniu Fairmana, przyglądał się jej chyba trochę za badawczo.

– Widzę Carver, że będzie wam wśród nas dobrze – uśmiechnął się.

– A nawet jeśli nie wam, to najwyraźniej reszcie załogi.

Sabrina odwzajemniła się mu uśmiechem i zapytała, gdzie podziewa się McCafferty.

– Ach – westchnął teatralnie filigranowy Latimer o

powierzchności poety – widzę, że już omotana przez naszego dziarskiego szefa ochrony. Ten Mac zagina parol na wszystkie kobiety na pokładzie samolotu, chociaż muszę przyznać, że w tym przypadku po raz pierwszy wykazał się świetnym gustem.

– Przymknij się, Pat – zgasił go Fairman. – Lotnik Carver jest członkiem załogi i nie chcę, by jej pozycja stała się jeszcze... hmmm... trudniejsza niż w tej chwili. Znalazła się na Air Force One, by pracować i nie życzę sobie, żeby coś jej w tym przeszkadzało. Odpowiadając na wasze pytanie, Carver, pułkownik McCafferty pojechał z agentem Cooliganem na lotnisko trasą, z której skorzystają ministrowie krajów OPEC. Potem, jak znam Maka, przeprowadzi inspekcję, powtórna inspekcję i ostateczną inspekcję samolotu, ładowni bagażowej, sprawdzi gotowość oddziałów policji, oddziałów ochrony lotniska, nawet to, czy pas startowy nie jest popękany. Pułkownik McCafferty jest cholernie sumienny. Życzyłbym sobie, żeby udzieliło się to reszcie mojej tak zwanej załogi.

Dowódca zachichotał swobodnie do wtóru reszcie personelu latającego, po czym wracając do spraw służbowych, spytał sierżanta Wynanskiego, czy pod względem aprowizacji wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Wynanski odparł, że Biały Dom dostarczył mu listę dietetycznych wymagań wszystkich ministrów, którą z własnej inicjatywy dodatkowo rozszerzył, przeprowadzając dyskretny wywiad w hotelu i w pałacu. Pozostał mu jeszcze zakup kilku produktów na targowiskach Manamy.

– Dobra robota, sierżancie – pochwalił go Fairman. – Macie mniej więcej godzinę. Odnosi się to do każdego. Personel kabinowy chce widzieć na pokładzie o szesnastej. Pilotów na stanowiskach o szesnastej pięćdziesiąt. Na trzydzieści minut przed godziną zameldowania się znajdziecie mikrobusy przed wejściem do hotelu. Kołowanie rozpoczynamy pięć po szóstej.

Wynanski ze swoimi podkomendnymi oraz większość załogi pokładu nawigacyjnego rozeszła się; Fairman został, żeby porozmawiać z Sabriną. Jako nowy członek załogi wysłuchała przemowy wprowadzającej na temat Air Force One, w której dowódca wspiął się na wyżyny skali patriotyzmu. Fairman uświadomił ją również co do wagi ich obecnej misji.

– To nie będzie taka sobie zwykła przejażdżka – stwierdził ponuro.
– Korzystamy z Air Force One głównie dlatego, że na pokładzie będzie się znajdował nasz sekretarz do spraw energetyki, pan Hemmingsway, ale zapewniani panią, że zamierzamy również wyrzucić jak najlepsze wrażenie na ministrach z OPEC; chcemy, żeby dobrze się u nas czuli. Chyba nie muszę pani tłumaczyć, że jeśli nie dogadamy się z nimi w sprawie tego naftowego interesu, to bardzo prawdopodobne, że ograniczą wydobycie i w nadchodzących latach będziemy znowu jeździli na rowerach i czytali przy świecach. Nic, ale to nic nie może podczas tej podróży wyjść nie tak, Carver; tak więc – bądźcie przez cały czas czujni, uprzejmi i sprawni. Dobra stewardesa może całkowicie odmienić rutynowy lot. Pierwszy steward Wynanski ma w sobie wiele ze służbisty, ale wydaje mi się, że w jednej chwili możecie go nauczyć jeść sobie z ręki, podobnie zresztą, jak resztę z nas.

Sabriną czuła, że wzbiera w niej złość i formowała już w myślach stosownie ciętą odpowiedź, kiedy Fairman podniósł ostrzegawczo rękę,

– To tylko żart, kochanie, tylko żart – zapewnił.

– W tym samym stylu żartował major Latimer, sir – odparła słodko. – I, o ile sobie przypominam, zmył mu pan za to głowę.

Fairman zmierzył ją taksującym spojrzeniem i uśmiechnął się.

– Coś mi się nie wydaje, żeby potrzebowała pani jakichkolwiek rad.

Axel Karilian nerwowym krokiem podszedł do telefonu.

– To sprawa życia i śmierci, aby Jagger skontaktował się ze mną najszybciej, jak to tylko możliwe! – ryknął. – Zrozumiałeś, Stein?

Karilian rzucił ukradkowe spojrzenie Myszkiniowi, który z nie wróżącą niczego dobrego, nieprzeniknioną miną rozpierał się na sofie i delektował mocnym Chivas Regal.

– Tam już niewiele pozostało do godziny zero – protestował Stein.
– Na miłość boską, Axelu, Jagger będzie teraz bardzo zajęty, a Smith i Dunkels nie odstępują go na krok. Skontaktowanie się z nim będzie bardzo trudne.

– Musisz! – nie ustępował Karilian. – Wymyśl jakiś sposób.

Skromność, dobrze pasująca do doktora Steina, stanowiła przykrywkę dla chytryści, z jaką ten mały Szwajcar wyciągał swoją atutową kartę, głównie przez wzgląd na Myszkina, którego obecności w mieszkaniu Kariliana słusznie się domyślał.

– Oczywiście – przyznał gładko. – Można się z Jaggerem dyskretnie skontaktować. Mam z nim, że się tak wyrażę, otwarty kanał łączności.

– No to z niego skorzystaj! Jagger musi do mnie zatelefonować. Trzeba mu przekazać nowe instrukcje. Przyszły prosto z Moskwy, Stein, a ich trzeba słuchać. Załatw to.

Cisnął z trzaskiem słuchawkę, wyczuwając na sobie spojrzenie Myszkina rzucone spod ledwie uniesionych powiek.

Upłynęło pół godziny, zanim Jagger, otrzymawszy wiadomość od Steina, zdołał urwać się Dunkelsowi na wystarczająco długo, by odbyć rozmowę telefoniczną. Dublerowi zamarło serce, gdy usłyszał zimny, precyzyjny głos Myszkina wydającego mu rozkazy najpierw po rosyjsku, a potem, by uniknąć nieporozumień, po angielsku.

– Jak rozumiem, Jagger – mówił Myszkini – plan Smitha sprowadza się... hmm... do takiego, nazwijmy to, zakłócenia misji Air Force

One, aby wyciągnąć stosowne korzyści finansowe z sytuacji, w jakiej znajdują się ministrowie krajów OPEC. Nie chcę wchodzić w bliższe szczegóły na publicznej linii.

Jagger potwierdził. Karilian zacierał nerwowo wilgotne dłonie.

– Aż do tego miejsca – ciągnął Myszkin – jest to wciąż po naszej myśli, ale mamy wrażenie, że z punktu widzenia naszych interesów akcja przyniosłaby większe korzyści, gdyby zakończyć ją w bardziej drastyczny sposób. Rozumiesz?

– Ja... nie, przykro mi, ale nie rozumiem – odparł niepewnie Jagger.

Myszkin chrząknął gniewnie.

– Widzę, że muszę wyrażać się bardziej konkretnie – zauważył zjadliwie. – Jest dla nas sprawą najwyższej wagi, Jagger, aby Ameryka źle wyszła na tym epizodzie – tak źle, jak tylko można sobie wyobrazić. Istnieje z pewnością jeden sposób wyperswadowania krajom OPEC, by nie tylko odmówiły podpisania porozumienia naftowego, ale i zerwały wszelkiego rodzaju stosunki ze Stanami Zjednoczonymi.

Konwersacja odbywała się teraz po angielsku. Myszkin musiał być absolutnie pewien, że Jagger go zrozumie.

Dublera aż zatkało z wrażenia.

– Nie chodzi chyba panu o... chyba panu nie chodzi...

– Ależ tak – powiedział Myszkin. – Właśnie dokładnie o to mi chodzi. Zgładzisz ministrów krajów OPEC i członków załogi Air Force One. Problem pozbycia się autentycznego McCafferty'ego możesz pozostawić nam. Jak tego dokonasz, Jagger, to twoja sprawa. Ale nie zawieź mnie. Cokolwiek się stanie, nie nawal. W ostateczności zrób wszystko, by na koniec pozostać jedyną żywą osobą na pokładzie Air Force One. Ale musisz się wywiązać z tego zadania.

Jagger odłożył słuchawkę w swoim pokoju hotelowym w

Bahrajnie i zjechał na parter. Gdy wychodził z windy, podbiegł do niego Dunkels i schwycił go za ramię.

– Przebieraj się w mundur – warknął szorstko Niemiec. – Wyjeżdżamy za pięć minut. Ahmed meldował, że ptaszek jest gotów i aż się prosi, żeby go oskubać.

McCafferty i Bert Cooligan zeszli po stopniach Air Force One, by powitać grupę oficerów bahrajńskiej policji, uzbrojonej po wspaniale, białe zęby. McCafferty zatrzymał się i musnął czubkiem buta ślad na stanowisku postojowym. Cooligan uśmiechnął się.

– To nie pęknięcie, sir – szepnął. – A nawet gdyby, to nie jest to pas startowy.

Mac przywitał się następnie z policjantami, którzy taktownie oddali się pod jego rozkazy, i rozdał im kopie harmonogramu akcji ubezpieczającej. Po tej krótkiej odprawie skierowali się z Cooliganem do budynku terminalu, gdzie Arab bawiący się paskiem od futerału na lornetkę zdecydował się właśnie odwiedzić męską toaletę. McCafferty spojrział na dach terminalu i zobaczył tam trzech strzelców z karabinami maszynowymi, rozmieszczonych strategicznie wzdłuż parapetu.

– Sprawdź tych chłopaków, Bert – mruknął do Cooligana. – Upewnij się, czy wiedzą, że mają otwierać ogień do każdej, dosłownie każdej nie upoważnionej osoby, jaka znajdzie się w promieniu pięćdziesięciu jardów od schodków Air Force One. Rozdaj im też kopie programu; wolałbym nie zginąć od kuli, kiedy będę wprowadzał kolumnę. Wracam teraz do hotelu. Muszę wziąć prysznic, strzelić sobie drinka i zanim ruszymy z kolumną, odbyć jeszcze jedną pogawędkę z Hemmingswayem. OK?

Cooligan powiedział – *Ciao* - i Mac wyszedł na ulicę, dyskretnie śledzony przez dobrze ubranego młodego Araba w garniturze z Savile Row, któremu u ramienia dyndał skórzany futerał na lornetkę.

Mac uważnie przeczesał wzrokiem teren przed budynkiem portu lotniczego, gdzie zajmowały już swoje stanowiska oddziały policji, i w ten sposób przeoczył ledwie zauważalny znak, jaki Arab, znany pod nazwiskiem Ahmeda Fayeeda, dał kierowcy taksówki, który trzymał się z dala od głównej grupy dyskutującej zapamiętane u czoła rzędu taksówek. Kierowca ten, opierający się dotąd obojętnie o błotnik samochodu, rozplótł założone ręce i wszedł do pierwszej taksówki.

Gdy McCafferty podniósł rękę, żeby pomachać, taksówka wyjechała z rzędu i zatrzymała się z piskiem opon o jakieś sześć cali od nogi Amerykanina. Mac jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki, wskoczył do środka i podał nazwę hotelu. Po drodze z lotniska minęli boczną uliczkę prowadzącą do baraków magazynowych. Tuż u jej wylotu stał błyszczący czarny cadillac z silnikiem pracującym na wolnych obrotach. Ahmed Fayed skręcił kierownicę i ruszył w ślad za taksówką.

Usadowiwszy się na tylnym siedzeniu taksówki, Mac powrócił do studiowania planów ochrony lotu zarówno na Genewę, jak i na Bahrajn. Jeśli nawet zauważył cadillaca, to nie zwrócił na niego większej uwagi. Cadillacy – dominujące we flocie krążowników szos Władcy – były dosyć pospolitą marką wozów w Bahrajnie i w państwach Zatoki. Kierowca taksówki bacznie obserwował Amerykanina w lusterku wstecznym.

Port lotniczy w Muharrak łączy z główną wyspą Bahrajnu biegnąca groblą szosa i kiedy McCafferty podniósł na chwilę wzrok i zobaczył rozciągającą się przed nim drogę, a po obu jej stronach odblaski słońca na wodzie, spokojnie spuścił oczy i zagłębił się znowu w studiowaniu szczegółów swojej skomplikowanej misji. Był odprężony i zupełnie nie przygotowany na gwałtowny skręt kierownicy, w wyniku którego taksówka zjechała z autostrady i

znalazła się na wyboistej, gruntowej drodze odchodzącej od autostrady w prawo, tuż przed linią brzegową...

Droga prowadziła do skupiska malutkich chat nazywanych w Bahrajnie *borrasti*, co oznaczało małe lepianki w kształcie ula zamajstrowane z palmowych liści i szlamu. Mac nie zdążył ich już zobaczyć. Sięgnął instynktownie po rewolwer, ale spóźnił się o ułamek sekundy. Kierowca, zasłaniając sobie nos i usta chusteczką, psiknął przez ramię mgiełką z pojemniczka z gazem obezwładniającym, trafiając Amerykanina prosto w twarz.

Rewolwer, który McCafferty miał już w dłoni, wyśliznął się z tracących czucie palców. Mac osunął się w przód, uderzając czołem o tył fotela kierowcy, i zapadł w ciemność.

Wóz Ahmeda Fayeeda zrównał się na wyboistej drodze z taksówką i Arab wskazał ręką w kierunku chat *borrasti*, osłanianych przed widokiem z głównej autostrady i od strony budynków okalających port lotniczy przez kępę palm. Oba pojazdy przyspieszyły i wkrótce znikły w oazie.

Ahmed otworzył tylne drzwiczki taksówki i wywlókł ciało McCafferty'ego. Z jednej z chat wyszedł Dunkels i spojrzał na rozciągniętego na ziemi szefa ochrony. Potem odwrócił się i zmierzył wzrokiem drugiego mężczyznę wychodzącego z *borrasti*. Podobieństwo między tymi dwoma było uderzające, idealne w każdym szczególe.

Dunkels kazał Ahmedowi odebrać Makowi rzeczy osobiste, odfajkowując je na palcach: portfel, rewolwer, znaczek identyfikacyjny służb bezpieczeństwa, dokumentacja, pieniądze, pióro, chusteczka do nosa, zapalniczka (jeśli taką posiadał). Arab obmacywał ciało Amerykanina i wręczał wymieniane pozycje Jaggerowi, który upychał je po kieszeniach sprawdzając jednocześnie, czy jego mundur nie różni się w niczym od uniformu szefa ochrony.

– Wnieście go teraz do środka – polecił Dunkels – i ocućcie. Tylko on może nam opowiedzieć o pewnych szczegółach, w których musimy się orientować.

– A jeśli nie opowie? – spytał Jagger i wszedł do taksówki. Kierowca zawrócił wóz, wzbijając przy tym tuman kurzu, i ruszył z powrotem wyboistym traktem w kierunku biegnącej groblą autostrady. Tam skręcił na most i popędził do Manamy.

Spieszył się, ale prowadził ostrożnie. Mimo wszystko wioził ważnego pasażera: szefa ochrony samolotu Air Force One.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Air Force One jest standardowym, międzykontynentalnym odrzutowcem komunikacyjnym typu boeing o długości 153 stóp i niemal takiej samej szerokości, gdyż rozpiętość jego skrzydeł wynosi 145 stóp i 9 cali. Wyposażony jest w cztery silniki turboodrzutowe Pratt Whitney, zdolne do wyniesienia w powietrze ciężaru startowego przekraczającego 150 ton.

Przy zasięgu ponad siedmiu tysięcy mil, potrafi jednocześnie wylądować na pasie startowym o długości niecałych pięciu tysięcy stóp. Za jego sterami nie może zasiąść żaden pilot nie mający na swym koncie czterech tysięcy wylatanych godzin – motto 89 Eskadry Lotnictwa Wojskowego Do Specjalnych Poruczeń (MAC), która wystawia załogę tego boeinga, brzmi „*Experto Crede*” (Ufaj temu, kto doświadczony). Już wielokrotnie prezydent i obywatele Stanów Zjednoczonych mieli powód do wyrażania wdzięczności ludziom obsadzającym Air Force One i bez wątpienia będą go mieli jeszcze nie raz.

Pułap maszyny przekracza czterdzieści tysięcy stóp, a jej załoga nigdy nie liczy sobie mniej niż dziesięciu członków. Ekonomiczna szybkość podróżna tego boeinga wynosi 550 mil na godzinę i jako jedyny w całym lotnictwie Amerykańskim ma on nawigatora w randze pułkownika. Członkowie załogi Air Force One pilotujący samolot noszą niebieskie mundury, natomiast stewardzi i stewardesy kasztanowe kurtki i niebieskie spodnie albo spódniczki, przy czym każdy uniform ozdobiony jest zaszczytnym symbolem służby prezydenckiej.

Bardziej z konieczności niż założenia, maszyna prezydencka stała

się czymś w rodzaju chałupniczego miejsca pracy rządzącego się własnymi prawami. Zastawa stołowa i wyposażenie wyprodukowane zostały na zamówienie i dostarczone gratis przez producentów pragnących przypochlebić się Pierwszemu Obywatelowi. Ponieważ wszystkie przedmioty – od sreber, kryształowych szklanek, talerzy, filiżanek i spodków, aż po popielniczki, karneciki z zapałkami i serwetki – noszą godło prezydenckie, stanowią łakomy kąsek dla łowców pamiątek.

Na czarnym rynku osiągają tak wysokie ceny, że można z góry przyjąć, iż osoby podróżujące Air Force One ulegać będą pokusie i przywłaszczając sobie ruchome elementy wyposażenia samolotu. Służą one nawet w charakterze zastępczej waluty, spełniają podobną poniekąd rolę, co „fanty”, którymi zamieniają się uczniowie w szkole.

Przygotowując maszynę do podróży z przedstawicielami krajów OPEC na pokładzie, wyczyszczono ją, nawoskowano i wypolerowano, umyto i wyszczotkowano opony i stała teraz na pasie startowym w Muharrak dumna, lśniąca i piękna w żółtawych promieniach słońca, czekając na jeszcze jeden komplet pasażerów, którzy nigdy nie zostaną obciążeni kosztami przelotu.

Prawe silniki, trójka i czwórka, już pracowały, dostarczając energii elektrycznej i zasilając instalację klimatyzacyjną, a przy tym nagrzewając się, w związku z przygotowaniem boeinga do szybkiego startu. Zapasy żywności i części zamiennych zostały już drobiazgowo sprawdzone i zatwierdzone, i wraz z bagażami ministrów krajów OPEC wysłane przodem. Załoga kabiny pilotów znajdowała się już na stanowiskach, gotowa do przeprowadzenia niezbędnych procedur przedstartowych.

Starszy sierżant Pete Wynanski, pierwszy steward, wręczył „lotnikowi” Sabrinie Carver wydruk listy gości.

– Przystudiujcie to sobie – warknął – bo to nie majówka dla

pajaców z Hollywood. Co ministrowie od nafty, to nie zwyczajne VIPy, znaczy się bardzo ważne osoby, to WWPY.

– Czym oni są?

– Czym oni są... sierżancie.

– Przepraszam. Czym oni są... sierżancie?

– WWPami. Wyjątkowo Wybitnymi Pasażerami. Nie chcę widzieć któregoś z nich człapiącego w mokrych skarpetkach, bo wy wychlapaliście na nich drinki, jasne?

– W zupełności, szefie. Oj... sierżancie – odparła Sabrina.

Starszy sierżant Wynanski był chyba jedynym członkiem, załogi, na którym wdzięki jej wspaniałego ciała najwyraźniej nie robiły żadnego wrażenia, i to akurat on, pomyślała ponuro, musiał przypaść jej na szefa.

Nie ma sprawiedliwości na tym świecie – mruknęła w zadumie.

– Racja – warknął Wynanski – nie ma. A teraz, obowiązki. Wy jesteście od drinków. Wy, lotniku Fenstermaker – (wskazał na platynową blondynkę w przydymionych okularach i o ogromnym biuście, stojącą przy Sabrinie) – jesteście od zakąsek. Zrozumiano? Później może się wymienicie. Zobaczymy. Jasne?

– Tak jest sierżancie, odpowiedziały chórem, chociaż Sabrina zmarszczyła brwi, gdy przebiegła wzrokiem nazwiska Arabów.

– Co jest, Carver? – chrząknął Wynanski.

– No, powiedział pan, że ja jestem od drinków, ale wygląda mi na to, że większość z nich będzie się upierać przy herbacie – wyjaśniła Sabrina.

– Słuchaj no, Carver, na miłość boską – jęknął Wynanski. Był kiedyś kelnerem na promie kursującym na Staten Island i napatrzył się już w życiu na niejedno. – Musicie zrozumieć – ci faceci, to Arabcy. Muzułmany. Dotarło?

– Mm – mruknęła, kręcąc głową.

– Nikt nie twierdzi, że to ochlapusy – ciągnął cierpliwie Wynanski – ale od czasu do czasu, a zwłaszcza kiedy nie są u siebie... hm, tego... lubią sobie, że tak powiem, pofolgować. Ale nadal nie mogą się z tym afiszować i nie spodoba im się, jeśli wy albo ktoś inny da po sobie poznać, że widzi, co jest grane. Jasne? No tak. Przeczytajcie jeszcze raz całą listę... na głos, żeby Fenstermaker też nie zrobiła z siebie idiotki. Przepraszam, Fenstermaker. To nie był żaden osobisty przytyk do waszej inteligencji.

Sabrina parsknęła, ale zaraz opanowała się i odczytała z wydruku...

– Herbata z mlekiem i cukrem.

– To zwyczajna herbata... prawdziwa herbata z liści; z mlekiem i z cukrem, tak jak jest napisane – orzekł Wynanski.

– Herbata z cukrem, ale bez mleka – wyrecytowała Sabrina.

– Szkocka – stwierdził bez wahania Wynanski. – Z lodem, bez wody.

Sabrinie opadła szczęka.

– Aha – mruknęła.

– Nie ma czasu – warknął Wynanski. – Kontynuujcie.

– Herbata z cytryną.

– Wódka. Lód. Sok cytrynowy.

Sabrina robiła pobieżne notatki.

– Czarna kawa, bez cukru.

– Koniak, nie rozcieńczony – przetłumaczył Wynanski.

– Herbata... bez cukru, bez mleka – odczytała Sabrina.

Wynanski spojrzał na nią zaintrygowany.

– Dajcie mi to – rozkazał i przebiegi wzrokiem listę. Po chwili rozchmurzył się i natchniony uśmiech rozjaśnił jego zaaferowaną twarz. – No i co wy na to? – wyszeptał. – Jeden z tych gości napalił się na Jacka Danielsa. Jupijaj!

Przez otwarty właz boeinga do uszu Sabriny doleciało odległe wycie syren wozów policyjnych. Kawalkada samochodów, wykalkulowała sobie, musi się w tej chwili znajdować na grobli.

Przyłapała się na tym, że cieszy się na ten lot, bez względu na zagrożenia, jakie może on przynieść. Nie mogła się zwłaszcza doczekać, kiedy ponownie ujrzy McCafferty'ego. Przyznawała w duchu, że wywarł na niej całkiem korzystne wrażenie.

Philpott patrzył w zadumie po raz enty na wymiętoszony komputerowy wydruk, przypięty do okładki akt Smitha zebranych przez UNACO.

– Dwa odpadają – powiedział – trzy przechodzą. – Rzucił zirytowane spojrzenie na złowieszczą baterię zegarów wskazujących aktualną godzinę w poszczególnych strefach czasowych i w ponad dwudziestu państwach przejawiających pod tym względem indywidualne upodobania, ustawioną na elektronicznej ścianie w ośrodku nerwowym biura, zachłannie połykającą czas, jaki pozostał do rozpoczęcia akcji. – I jeden właśnie się zaczyna.

– Przepraszam, sir? – Basil Swann nie zrozumiał.

– Nie, nic, tylko głośno myślę – odparł Philpott. – Wszystko gotowe na Bahrajn?

– Tak jest – zameldował Swann i dalej referował sytuację. Air Force One wystartuje zgodnie z planem za pół godziny. Sabrina Carver – „starszy lotnik Carver” – znajduje się już na pokładzie boeinga, a pułkownik Joe McCafferty, jak każe nie pozwalająca na żadne odstępstwa procedura, wejdzie na pokład jako ostatni, po wprowadzeniu emisariuszy krajów OPEC.

– Nie załęgły się jakieś chochliki w urzędzeniu śledzącym? – spytał Philpott. Basil zapewnił go, że nie. Dyrektor, przygryzając wargę, starał się nie patrzeć na zegar przyporządkowany strefie czasowej Zatoki Perskiej, który odmierzył nie więcej niż minutę, od kiedy

ostatni raz obrzucił go zaaferowanym spojrzeniem. Napięcie owijało mu się już mackami wokół żołądka, ulżył więc sobie stłumionym beknięciem. Sonia Kolchinsky, siedząca w sąsiednim fotelu obrotowym, ścisnęła go uspokajająco za rękę.

Z początkowych pięciu wydarzeń, jakie komputer UNACO powiązał z ucieczką Smitha, dwa już spokojnie wyeliminowano: transport złota w sztabach do Moskwy i bliskowschodnie rozmowy ministrów obrony w Kairze.

Miejscowi agenci biura, z których jeden był instruktorem wychowania fizycznego w Armii Radzieckiej, a drugi *sous-chef* w kairskim hotelu, otrzymali zadanie bliższego przyjrzenia się tym operacjom i swoimi sposobami rozpracowali dyskretnie oba przypadki; nie stwierdzili jednak ani śladu kryminalnej działalności ze strony Smitha czy kogokolwiek innego. Trzecim, chronologicznie rzecz biorąc, przypadkiem z głównej listy, którego termin właśnie się zbliżał, był lot Air Force One do Waszyngtonu przez Genewę, z arabskimi magnatami naftowymi na pokładzie.

Philpott, z przyczyn, których nie potrafił racjonalnie wyjaśnić, bardziej niż pierwszymi dwoma, a nawet pozostałą parą, niepokoił się tym ostatnim przypadkiem. Od początku był pewien, że właśnie w talii Air Force One znajduje się fatalny joker: tą operacją nie można było kierować z ziemi.

Pomimo obecności na pokładzie McCafferty'ego ubezpieczonego, bez jego wiedzy, przez Sabrinę Carver, szybki i zuchwały atak Smitha na prezydenckiego boeinga mógłby się jednak powieść, doprowadzając w konsekwencji do zdemaskowania obojga agentów, a nawet ich śmierci. A Philpott nie byłby w stanie przyjść im z pomocą, ani kontrolować dalszego rozwoju wypadków. Powołując się na uprawnienia UNACO do prowadzenia monitoringu, nalegał na umożliwienie mu przedsięwzięcia minimum środków ostrożności, to

znaczy śledzenia przebiegu lotu. Odbiór wtórnej wiązki radarowej drogą radiową był jednak niemożliwy, tak więc Basil Swann zorganizował przechwyt sygnału przekazywanego do Pentagonu za pośrednictwem satelity telekomunikacyjnego.

Sygnał ten wysyłany był przez system nawigacji bezwładnościowej boeinga i Swann, przewyżając wiele trudności, ponieważ była to ściśle strzeżona tajemnica, wykrył wreszcie częstotliwość, na jakiej sygnał ten był transmitowany. Przechwycony sygnał był następnie dekodowany przez biurowy komputer, który usłudźnie przetwarzał go do postaci umożliwiającej wizualną prezentację pozycji samolotu na ogromnej ściiennej mapie.

W tej chwili jarzyła się tam tylko plamka światła nie większa od główki szpilki, pulsująca wyczekująco na wyspie Bahrajn niczym spuszczonej ze smyczy terier.

Ale kiedy maszyna wzbije się w powietrze, sygnał urządzenia śledzącego pociągnie za nią zieloną linię przez Bliski Wschód i Morze Śródziemne, odwzorowując kurs, jaki wybrał pułkownik Tom Fairman, by doprowadzić boeinga do Genewy.

Dopóki samolot prezydencki znajdować się będzie w powietrzu i zachowywać tak, jak powinien się zachowywać, oraz lecieć tam, dokąd powinien lecieć, zielona linia generowana przez urządzenie śledzące pełznąć będzie po mapie. Gdyby jednak z boeingiem coś się stało, linia ta zniknie.

Przez cały czas Malcolm Philpott będzie znał dokładną pozycję i kurs samolotu – chyba że Smith, uciekając się do nieprawdopodobnych forteli, przypuści atak, zaskakując nawet wytrawnych agentów UNACO, Sabrinę Carver i McCafferty'ego.

– A wtedy, oczywiście – mruknął do siebie Philpott – nie będziemy już mogli na to nic, cholera, poradzić.

– Cześć – rozległ się odcieleśniony głos – załatwione.

Cody Jagger spojrział dziko na trzymaną w dłoni słuchawkę telefonu i skwitował w duchu dosadnym przekleństwem własną nieostrożność, przez którą nie zdjął jej z widełek w swojej (a raczej McCafferty'ego) sypialni, kiedy tylko się w niej znalazł.

Cody nie tak wyobrażał sobie swój pierwszy test. Był przekonany, że gdyby dano mu uczciwą szansę i postawiono oko w oko z którąkolwiek z osób zaliczających się do kręgu bliskich znajomych McCafferty'ego, byłby wystarczająco dobry, aby go zdać. Ale zostać przydybanym na końcu telefonicznego drutu przez kogoś pozostającego z Makiem na stopie na tyle zażyłej, by nie uważał za konieczne podawanie swojego nazwiska... wszystko przemawiało za tym, że Jagger wpadnie. No i wpadł. Stein puszczał mu do znudzenia taśmy z głosami niektórych przyjaciół tego człowieka UNACO, a Jagger je chłonał. Ale nigdy przedtem nie słyszał głosu, który teraz do niego przemawiał: tego Cody był pewien.

Nie odzywał się, szukając gorączkowo najmniejszej wskazówki, czekając z nadzieją, że rozmówca się przedstawi. Zapanował nad oddechem; czoło miał zroszone potem. Przypomniały mu się teraz instrukcje Steina dotyczące rozmów telefonicznych. Nigdy nie odzywaj się jako pierwszy: w ten sposób zyskujesz czas na zastanowienie, a to zbija z tropu rozmówcę, kładł mu do głowy Stein. W ostateczności, zmieniając głos, można się wymówić, że to pomyłka, i rozłączyć się.

Zdecydował się już niemal, żeby odwiesić słuchawkę, kiedy głos odezwał się:

– To wy, pułkowniku?

„Pułkowniku” – umysł Jaggera przystąpił z rozpaczliwą szybkością do logicznego rozbioru znaczenia tego oficjalnego zwrotu. Czyli przyjaciel, ale niezbyt bliski. Precyzyjny w posługiwaniu się szarżą, a więc bardziej niż prawdopodobne, że wojskowy; armia albo

lotnictwo. Być może członek załogi? Ale mimo wszystko nikt z pilotów ani z mechaników; tak samo nie konserwator, nie technik i nie steward. Żadna z tych osób nie miałaby wystarczająco ważnego powodu, by zawracać głowę szefowi ochrony w jego hotelowej sypialni. Tylko jeden człowiek z Air Force One miałby prawdziwy interes do McCafferty'ego. Jagger postanowił zaryzykować. Na dwoje babka wróżyła – albo podłoży się po raz drugi, albo, blefując, zdoła się wygrzebać z trudnej sytuacji.

– Przepraszam cię, Bert – zachichotał. – Myślami byłem daleko stąd.

– Gadaj zdrów – odparł Cooligan urażonym tonem. – No, ale wracając do pytania – skończyłeś, czy nie?

I znowu Jagger zwlekał z odpowiedzią, tym razem celowo, pozwalając sobie nawet na ciche, znaczące chrząknięcie. Na brwiach wciąż perlił mu się pot, ale pewność siebie z wolna powracała; mimo wszystko wygrał pierwszą rundę. Doszedł drogą dedukcji, że to Bert Cooligan – i nie pomylił się.

Teraz, z kolei, Cooligan nie śpieszył się z przerwaniem milczenia. Czyżby zaczynał coś podejrzewać? – przyszło do głowy Jaggerowi i panika wysiała gęsią skórę na jego obnażonej skórze.

Pierwszy spasował Cooligan.

– Słuchajcie, pułkowniku – odezwał się pojednawczo – jeśli nie chcecie ze mną rozmawiać, to, na miłość boską, od razu to powiedzcie. Ale zróbcie mi tę przysługę i zejście stamtąd, gdzie teraz bujacie, z powrotem na ziemię, bo mam wrażenie, że to nie wy stoicie teraz w swoim pokoju i rozmawiacie ze mną przez telefon. A wracając do rzeczy, powiedziałaś mi na lotnisku, że wracasz do hotelu, żeby wziąć prysznic i strzelić sobie drinka. W związku z tym, jeśli skończyłeś już z tym prysznicem, to czy mam przyjść do ciebie na górę i spozierać pożądliwie na twoje wspaniałe ciało, kiedy

będziesz przywdziewać czyste gacie i swój wyjściowy mundur Air Force One? Czy raczej wolisz, żebym zaczekał na was tu na dole, w barze? A może życzysz sobie, żebym posłał ci drinki na górę? Albo żebym rzucił się pod wielbłąda? Albo chcesz, żebym... co tam jeszcze?

– Jasne, Bert – zaczął Jagger przystając na nie wiedzieć którą z tych propozycji, ale Cooligan wpadł mu w słowo:

– O rany, ale ze mnie tępak, szefie! No jasne – jesteś w towarzystwie. Co? O ty podstępny lisie.

Cody roześmiał się i zapewnił Cooligana, że jest po pierwsze sam, a po drugie znowu sobą na ciele, duchu i umyśle. Ale jak miał teraz postąpić? Pójść na całość? Zdecydował się.

– Jasne, wchodź na górę, Bert – powiedział swobodnie. – Daj mi pięć minut, a obiecuję ci, że ubiorę się, zanim tu dotrzesz, żeby oszczędzić ci zażenowania. Ale jeden warunek – zjawisz się w towarzystwie butelki gatunkowej whisky, czubatego wiaderka lodu, czterech szklaneczek i – ponieważ narobiłeś mi smaku – dwóch podpalanych kurewek.

– Wstyd, pułkowniku, jesteście przecież na służbie – upomniał go Cooligan.

– Macie rację, agencie Cooligan – przyznał Jagger. – Odwołuję ten lód.

Cooligan parsknął śmiechem.

– To już lepiej, Mac – powiedział. – Przez chwilę mnie zatkało. Zaraz będę.

Jagger otarł z potu czoło i zaaferowany pstryknął palcami. Zrzucił z siebie mundur i pognawszy pod prysznic, odkręcił kran i wyregulował temperaturę strug wody tak, że były ledwie letnie. Wytarł się szybko ręcznikiem, naciągnął czyste spodenki i kiedy zjawił się Cooligan, rozpierał się już jak gdyby nigdy nic w kąpielowym szlafroku na balkonie.

Za agentem Secret Service do pokoju wkroczył kelner, popychając przed sobą wózek na kółkach, wyładowany zgodnie z zamówieniem i obciążony dodatkowo tacą z kanapkami. Wyglądało na to, że nastąpił ogólnoświatowy niedobór prostytutek zarówno czarnego, jak i innych kolorów skóry.

– Skontrolowałem, tak jak mi poleciłeś, obstawę lotniska – zagaił Bert, kiedy usadowili się w fotelach ze szklaneczką podwójnej Laphroaig w dłoniach każdy. – Ich dowódcy znają się na swojej robocie, a same chłopaki wyglądają na dosyć ostrych, jeśli nie ciutkę za skorych do pociągania za cyngiel. Nikt nie podszedł na odległość rzutu kamieniem do Wielkiego Ptaka, od kiedy Bahrajnowcy zajęli stanowiska. Odbylem z nimi krótką odprawę i zamieniłem słówko z policjantami na zewnątrz. Nie będzie żadnych kłopotów.

– Wielkie dzięki za pomoc – westchnął Jagger, dobierając odzywkę, której na pewno użyłby McCafferty – chociaż właściwie nie obawiam się zagrożenia ze strony tłumów.

– Że co?

Jagger wyjaśnił, że podróż jako taka może stanowić wspaniałą okazję dla izraelskich wolnych strzelców, a nawet dla czarnej propagandy Organizacji Wyzwolenia Palestyny, która jest zdolna do dokonania prowokacyjnej napaści na samolot, by później obarczyć za to winą Mossad albo Żydów w ogóle.

– Stary, ostrożny Mac – uśmiechnął się Bert, unosząc swoją szklaneczkę w toaście. – Nic się nie zmieniasz, co?

– Byłbyś niepokieszony, gdyby tak było, prawda? – powiedział Jagger.

– W rzeczy samej – przyznał Cooligan – tak samo zresztą, jak ta, trzeba przyznać, wystrzałowa stewardesa, z którą, jak powiedział mi Latimer, ustawiłeś się na wieczór w Genewie.

Jagger zmusił się do uśmiechu, chociaż jego mózg penetrowały

gorączkowo alarmistyczne sondy. W porę ugryzł się w język, by nie zapytać ze zdziwieniem: – Ja?

Deszcz piekących razów spadających na policzki i szok wody chlaśniętej mu w twarz z glinianego dzbana stopniowo doprowadziły McCafferty'ego do przytomności. Ahmed kucający nad Amerykaninem rozciągniętym na klepisku *borrasti* przywołał Dunkelsa. Niemiec obejrzał jeńca i skarcił Ahmeda za niepotrzebną brutalność. Drugi Arab stojący obok Ahmeda uśmiechnął się i obutą stopą wymierzył Makowi kopniaka w bok. Powietrze uszło jednym tchem z płuc Amerykanina, a z jego posiniaczonych ust dobył się okrzyk bólu.

– Och, przepraszam – zafrasował się Ahmed Fayed. – Potknął się.

Dunkels zarechotał i spytał McCafferty'ego, czy wyraża chęć do współpracy. Mac potrząsnął głową, by pozbyć się otumanienia spowijającego mu umysł i przywrócić oczom ostrość widzenia.

– Czy chce przez to powiedzieć, że odmawia współpracy? – spytał Ahmed, robiąc wielkie oczy. McCafferty popatrzył na niego tępo, a potem z premedytacją napełnił usta i splunął Ahmedowi w twarz krwawą śliną. Fayed starannie otarł flegmę z policzka, przyjrzał się chusteczce i dał niedbały znak głową swojemu słudze, Selimowi. Selim przekroczył ciało Amerykanina, zahaczając go złośliwie obcasem, okręcił się na pięcie jednym płynnym ruchem i z półobrotu kopnął McCafferty'ego drugą stopą w bok głowy, która odskoczyła pod wpływem uderzenia, by nadzieć się na pięść Ahmeda, podstawioną z drugiej strony. Na wypadek, gdyby Amerykanin nie zrozumiał, o co chodzi, dali powtórkę tego numeru. Potem Siegfried Dunkels uniósł rękę.

– Wystarczy – rozkazał. – On ma mówić. Jeszcze trochę takiego traktowania, a nie będzie mógł, nawet gdyby chciał.

Ahmed nachylił się nad McCaffertym, pochwycił go za przód

koszuli i podźwignął do pozycji siedzącej. Dunkels ponownie oblał go wodą i złapawszy za włosy poderwał mu głowę do góry.

– No jak, pułkowniku? – zapytał przymilnym tonem.

– Kimkolwiek jesteście – wybełkotał chrapliwie McCafferty, z trudnością poruszając nienaturalnie wielkim językiem w spuchniętych ustach – kimkolwiek jesteście, porywacie się na coś, co nie może się wam udać. Puśćcie mnie, zwolnijcie, a ja dopilnuję, żeby uznano to za napad rabunkowy; policja nie podejmie żadnych działań. Ale jeśli uprzecie się mnie tu przetrzymywać pod jakimkolwiek pozorem, to ostrzegam was, że będzie mnie szukał każdy żołnierz z armii Bahrajnu i każdy policjant na tej wyspie. Air Force One nie może odlecieć beze mnie i znajdą mnie... lepiej mi uwierzcie. Dostaną wsparcie od prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki i nie chciałbym być na waszym miejscu, kiedy to wszystko wybuchnie.

– A co ci każe przypuszczać, że to nie jest zwyczajny napad rabunkowy?

Mac uśmiechnął się krzywo i boleśnie.

– Żaden rzeźmieszek nie obrobiłby mnie tak dokładnie, jak wy to zrobiliście – odparł. – Zdaje się, że nie mam już przy sobie niczego, co świadczyłoby, że kiedykolwiek istniałem. Wynika z tego jasno, że to ja byłem celem... a poza tym wiecie, kim jestem.

Dunkels odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem.

– Wiemy, pułkowniku – parsknął. – Dobrze wiemy. – Zamilkł na chwilę, a jego wargi ułożyły się w szyderczy uśmieszek. – I tak sobie myślimy, czy czasem nie przeceniacie znaczenia swojej osoby? Mówicie, że Air Force One nie może odlecieć bez was. – Potrząsnął głową, schylił się i dokończył szeptem: – Wprost przeciwnie, pułkowniku, waszej nieobecności nikt nawet nie zauważy.

Mac gapił się na niego, nic nie rozumiejąc.

– Co to ma, u diabła, znaczyć? – wybuchnął. – Jeśli nie będzie mnie na pokładzie...

– Jeśli nie zjawisz się w samolocie – wpadł mu płynnie w słowo Dunkels – bez wątpienia w kabinie pilotów będą przez chwilę spekulować, co się z tobą stało, zgoda. Pułkownik... Fairman, nieprawdaż?... tak, pułkownik Fairman... no więc wydaje mi się, że pułkownik Fairman podzieli się być może swoimi obawami z majorem Latimerem – to pilot, prawda? Albo nawigator, podpułkownik Kowalski, wygłosi komentarz od siebie, zwracając się do mechanika, starszego sierżanta Allena. Ale nie założyłbym się, że dojdzie aż do tego. Co ty na to, pułkowniku?

Pajęczyny wciąż udawały w mózgu Amerykanina papierowe proporczyki. Jeszcze raz z niedowierzaniem potrząsnął głową. Świat dostawał kręćka; ten uprzejmy Europejczyk i ci ogarnięci żądzą zabijania Arabowie byli niespełna rozumu. To, co wygadywali, nie miało żadnego sensu.

– Na pewno żartujecie – wycharczał. – Waszyngton usłyszy o tym, a wtedy...

– Ach, chodzi ci o to, że monitorują rozmowy prowadzone w kabinie pilotów za pośrednictwem otwartego kanału łączności z bazą sił powietrznych Andrews. Oczywiście...

– Jak się zapewne orientujecie, to niemożliwe – natarł nań rozpaczliwie Mac. – Ale Tomowi Fairmanowi wystarczą dwie sekundy, żeby wywołać ich przez radio, a Pat Latimer nie wystartuje, powtarzam, nie wystartuje beze mnie.

Dunkels wyprostował się i ryknął z zachwytu.

– Jezzu, Mac – zawył – o to właśnie chodziło. To się nazywa trafić w dziesiątkę. Ahmed, dopilnuj, żeby wiesz kto otrzymał następującą informację: na Latimera wołają „Pat”, nie Patric ani Paddy, a baza Andrews nie ma możliwości bezpośredniego podsłuchu tego, co

dzieje się w kabinie pilotów Air Force One. Mogą się porozumiewać tylko przez radio. Zrozumiałeś?

Arab wstał uśmiechając się szeroko. Potem spojrzął na zegarek i powiedział:

– Zatelefonuję gdzie trzeba w drodze powrotnej do Manamy. Jestem już spóźniony. Mój pan nie będzie tym zachwycony.

– Trzy mu w cztery – uciął krótko Dunkels.

– Zaraz, zaraz – obruszył się Ahmed. – My, Arabowie, nie wszyscy jesteśmy pederastami, chociaż wieść głosi, że...

Dunkels uciszył go niecierpliwym machnięciem ręki.

– Nie mam czasu na wysłuchiwanie tego, co wieść głosi, Ahmed. Jak sam wspomniałeś, jesteś już spóźniony. W drogę.

Fayeed wyszedł szybkim krokiem z *borrasti*, ale odwrócił się na okrzyk Dunkelsa.

– Klucz! – przypomniał mu Niemiec.

Ahmed wsunął rękę do kieszeni i rzucił Dunkelsowi mały pęk kluczy zawieszonych niedbale na cienkim złotym łańcuszku.

– Ten mały jest od barku z koktajlami – poinformował, skinął ręką i oddalił się.

Niemiec zwrócił się ponownie do McCafferty'ego, który ostrożnie obmacywał poobijaną twarz i ciało, podczas gdy wylot lufy karabinu maszynowego Selima powtarzał wiernie każdy jego ruch, nie odsuwając się ani razu na więcej niż sześć cali.

– Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak okazaliście się nam pomocni, pułkowniku – powiedział z chichotem – a może jednak zdajecie. Tak czy owak – dodał szybko – musimy doprowadzić was do przyzwoitego wyglądu. Selim – pstryknął palcami na uśmiechającego się Araba.

Rozebrali Amerykanina, który nadal był słaby jak kotek, do koszuli i bielizny. Selim naciągnął mu przez buty bufiaste orientalne

spodnie i umocował je w talii skórzanym paskiem. Potem Dunkels nałożył Makowi przez głowę długi do kostek chałat z szerokimi rękawami, a Selim zakrył mu twarz kapturem.

Mac wspierał się ciężko na Selimie, prowadzony przez obu mężczyzn do drugiego samochodu ukrytego za lepianką. Wepchnęli go na tylne siedzenie. Dunkels zajął miejsce obok niego i brutalnie wbił mu w obolały bok lufę walera kaliber 9 milimetrów.

– Przypominam tylko, pułkowniku – wycedził Niemiec – żadnych kawałów. To byłoby bardzo niemądre z waszej strony.

McCafferty spojrział na niego spod obrzmiałych powiek.

– Nie wiem, dla kogo pracujecie, ani nawet o co wam chodzi. Ale powtarzam – to się wam nie uda. Air Force One ma wyznaczony start za niecałe pół godziny. Jeśli nie zjawię się na pokładzie, rozpocznie się największe polowanie na człowieka w dziejach Zatoki Perskiej.

– Ależ nie kłopotcz się, pułkowniku – zarzął Dunkels piskliwie, niczym wyjąca hiena – będziesz na pokładzie.

Mac popatrzył na niego tępo.

– Znaczą się... znaczą, wypuście mnie?

Niemiec znowu parsknął.

– Niezupełnie, ale na pewno tam będziesz. Teraz mogę ci już powiedzieć. Jak sam wspomniałeś, do odlotu nie pozostało nam już wiele czasu, i jakkolwiek na to patrzeć, nie wydaje mi się, żebyś mógł coś na to poradzić. Widzicie, pułkowniku, to nie wy znajdziecie się w charakterze szefa ochrony na pokładzie Air Force One. To będzie ktoś inny; ktoś zadziwiająco do was podobny. Tak bardzo podobny, że zwiedzie i Toma, i Pata, i Paula, i Chucka, i Berta, i każdego, kto was zna albo może was spotkać w najbliższej przyszłości, z panem Malcolmem Philpottem i prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki łącznie.

Otumaniony mózg Maca z wolna przyswajał obraz sytuacji. Mac

zerknął z ukosa na tryumfującego Dunkelsa i westchnął.

– Musicie mieć nierówno pod sufitem, jeśli sądzicie, że to się wam powiedzie. Durnie.

Niemiec potrząsnął energicznie blond czupryną.

– Nie, McCafferty, nie jesteśmy stuknięci – odparł. – Ani ja, ani człowiek, który za mną stoi, człowiek, który zamierza pogiębić UNACO i który nic sobie nie robi z interwencji amerykańskiej administracji. To ktoś, o kim, jak miemam, powinienes już coś niecoś słyszeć.

Oczy Maka rozszerzyły się.

– Oczywiście – mruknął na wpół do siebie. – Smith. To musi być...

Dunkels po raz wtóry wbił lufę waltera między żebra Amerykanina.

– Dla ciebie pan Smith, pułkownik – upomniał go.

Jagger odebrał telefon od Ahmeda w holu, kiedy właśnie opuszczał z Cooliganem hotel, żeby objąć dowództwo nad konwojem Wyjątkowo Wybitnych Pasażerów. Przeprosił Cooligana i podszedł do kontuaru recepcji. Recepcjonista podsunął mu telefon. Jagger przyswoił sobie informacje i odłożył słuchawkę.

Smith odebrał meldunek w miejscu położonym o tysiąc mil na północ od Bahrajnu, w zaciemnionej komnacie nie zdobytego nigdy zamczyska wznoszącego się wysoko ponad poziomem morza. Zęby Smitha błysnęły w uśmiechu.

– Dobrze się spisałeś, przyjacielu – mruknął do Ahmeda.– Życzę ci *bon voyage* i proszę o przekazanie wyrazów uszanowania twojemu czcigodnemu ojcu. – Skwitował przyjaznym no-no-no zupełnie niesynowską odpowiedź Fayeeda.

Smith zrezygnował z koszuli firmy Brooks Brothers i mysioszarego garnituru na rzecz lekkiego swetra w kolorze kamienia i ciemnobrązowych spodni. Uniósł maleńki mosiężny dzwoneczek i

potrząsnął nim. Do komnaty weszła dziewczyna w tyrolskim fartuchu na długiej spódnicy z zielonego welwetu i w prawie zupełnie przezroczystej bluzce, niepotrzebnie rozpiętej do pępka. Bluzka uszyta była z cienkiego jak pajęczyna, zwiewnego materiału i spływała jej z ramion, rozchodząc się na wzniesieniach piersi. Smith zamówił w jej ojczystym języku szampana Krug i zaproponował, by dotrzymała mu towarzystwa.

– Ależ ja jestem pańską służącą – wymówiła się skromnie.

– I będziesz mi służyć – odparł Smith.

Potem on też przeprowadził rozmowę telefoniczną, posługując się biegle jeszcze jednym językiem. Mężczyzna, któremu zdawał związły meldunek, podziękował mu uprzejmie i pożegnał się. Mężczyzna ten również odebrał kieliszek napełniony znakomitym wytrawnym niemieckim winem – ale nie z rąk młodej, dojrzałej kobiety.

Axel Karilian, który mu go podał, ostrożnie opuścił swe potężne cielsko na sofę tuż obok niego i spytał:

– Czy mogę z tego wnosić, że wszystko idzie zgodnie z planem?

Myszkin skinął głową.

– Może pan.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stratoliniowiec VC-137C określany nazwą Air Force One dygotał na stanowisku postojowym w porcie lotniczym Muharrak.

Nie zwalniając na zakręcie, rozpędzona kawalkada limuzyn – obierając najkrótszą, a tym samym najbezpieczniejszą trasę – wpadła z wyciem klaksonów w uliczkę oznakowaną tablicą zakazu wjazdu, prowadzącą do portu lotniczego, i samochody stanowiące czoło kolumny wyhamowały z piskiem opon, zatrzymując się niezgodnie z programem przejazdu pod czujnym i zaalarmowanym okiem jakichś dwustu bahrajńskich żołnierzy i policjantów.

Jagger-McCafferty wyskoczył z zamykającej kolumnę limuzyny, zanim zdążyła się zatrzymać. Oglądał film z przybycia prezydenckiej świty na lotnisko i widział, że Mac zrobił to samo przy podobnej okazji. Był to teraz niemal jego znak firmowy – i Jagger nie chciał zawieść wielbicieli McCafferty’ego.

Na pokładzie boeinga załoga kabiny pilotów kończyła właśnie realizację procedur przedstartowych, a Wynanski krzątał się jak kwoka przy kanapkach, obrusach i skrzących się kryształowych szklankach. Dowódca, jak zawsze przed startem, był spięty i zdenerwowany. Latimer demonstrował swoją zwyczajową pozę jowialności i nonszalancji. Kowalski przebiegał jeszcze raz wzrokiem wykreśloną na mapie trasę lotu. Dublował automatyczne przyrządy nawigacyjne, ale był istotą ludzką, a nie maszyną, która w działaniu zdaje się bez reszty na elektronikę. Poza tym cieszył się opinią wytrawnego, doświadczonego nawigatora, a tu masz babo placek – Air Force One wyposażony był, jak na ironię, w bezwładnościowy system kierowania.

Przed zabudowaniami portu lotniczego zebrał się tłum gapiów, by wybałuszać oczy na połyskliwoczarne samochody i ich dostojnych pasażerów. Zablokował skutecznie trasę przejazdu wybraną przez kolumnę – boczną uliczkę, która nie prowadziła do hali odlotów, lecz bezpośrednio w rejon pasa startowego.

– Zrobić przejazd! – wydarł się Jagger. – Usunąć tych ludzi!

Żołnierze natarli na gapiów i zepchnęli ich z drogi konwoju. Brama wjazdowa przegradzająca uliczkę otworzyła się i samochody wtoczyły się płynnie w ślad za motocyklistami eskorty na stanowisko postojowe, zatrzymując się dokładnie przed schodkami prowadzącymi do wjazdu głównego (czyli drzwi) Air Force One.

Obowiązek przywitania dostojnych gości spadł na Wynanskiego, z racji sprawowanej przezeń funkcji pierwszego stewarda. Podbiegł tanecznym płasem do pierwszej w kolumnie limuzyny i otworzył drzwiczki, obdarzając ognistym, wyszczerzonym uśmiechem ministra przemysłu naftowego Królestwa Arabii Saudyjskiej, doktora Ibrahima Hamady. Doktor względnie łaskawie skinął głową i wspiął się po schodkach do samolotu. Hamady, jak się okazało, miał być jedynym z magnatów OPEC, który przez cały czas nosił tradycyjne arabskie szaty, skrojone pięknie i z wyjątkowym kunsztem przez krawca z Riadu.

Na drugim samochodzie powiewał proporczyk w barwach narodowych Libanu i ceremoniał odprawiony przez Wynanskiego wyglądał podobnie. Szejk Mohammed Khalid Dorani, przystojny mężczyzna po czterdziestce, z bujną szpakowatą czupryną i okazałym wąsem, potrząsnął ręką starszego sierżanta i wsiadł do boeinga, za nim zaś wgramolił się po schodkach tragarz, uginający się pod ciężarem podręcznego bagażu.

Z równymi honorami odprawiony został następny z przybyłych, szejk Zayed bin Arbeid z Iraku, o trudnej do opisan

powierzchności, i kolejna limuzyna odjechała ze stanowiska postojowego. Teraz przyszła kolej na Hemmingswaya, którego przywitano kurtuazyjnymi oklaskami, a pasażerem ostatniego samochodu, ozdobionego trzepoczącym proporczykiem z godłem narodowym Bahrajnu, witanego szczególnie entuzjastyczną wrzawą przez tłumek tubylców, był człowiek mogący sprawić Wynanskiemu problemy natury logistycznej, gdyby ten, wiedziony intuicją, nie przestudiował wcześniej ze wzmożoną uwagą jego charakterystyki.

Szejk Zayed Farouk Zeidan, ubrany w zachodni garnitur i arabskie nakrycie głowy, miał dumny orli nos i magnetyzujące czarne oczy. Był wielkim mężczyzną o szerokich barach i dużych dłoniach, a przy tym kaleką; niewładna lewa noga zwiślała mu bezużytecznie. Sześćdziesięcioletniemu Zeidanowi towarzyszył jego dwunastoletni wnuk, Feisal, który wracał do szkoły w Szwajcarii. Asystent Araba wyskoczył z drugiej strony samochodu, otworzył energicznym szarpnięciem bagażnik i wydobył składany fotel na kółkach. Zmontował go wprawnie i podstawił Zeidanowi.

– Dziękuję, Ahmedzie – powiedział Zeidan, gdy mężczyzna i chłopiec pomagali mu przesiąść się z samochodu na fotel. Fayed zgiął się w ukłonie z szacunkiem, ale bez zbytnej uniżoności, i wskazał na rampę, którą personel naziemny Wynanskiego podepchał szybko na miejsce schodków. Ahmed oddalił z pogardą propozycje pomocy i wciągnął fotel tyłem po rampie do samolotu.

Feisal wszedł za dziadkiem, a za nim Bert Cooligan. Wynanski odfajkowywał w notatniku listę pasażerów: jeden sekretarz do spraw energetyki, Amerykanin; czterech ministrów, wszyscy Arabowie; plus jeden smarkacz, jak wyżej. Jeszcze Iran i Wenezuela, skonstatował, i paczka OPEC byłaby w komplecie, ale nieobecność tej dwójki podyktowana była zrozumiałymi względami.

Jako ostatni, nie oglądając się ani na lewo, ani na prawo, z

pistoletem wydobytym z kabury, widocznym dla każdego obserwatora, do samolotu wszedł Cody Jagger. Właz zamknął się za nim i odciągnięto schodki.

Basil Swann podał słuchawkę Philpottowi.

– Pentagon, sir. Dzwoni generał Morwood.

– George – rzucił do mikrofonu Philpott – jakie masz meldunki z Bahrajnu?

– A jakie meldunki mielibyśmy stamtąd dostać? – burknął Morwood. – Możemy komunikaty meteorologiczne?

– Nie, do cholery – zaklął Philpott – dobrze wiesz, o co mi chodzi. Czy wszystko tam w porządku? Żadnych komplikacji?

Morwood westchnął i nadał swemu głosowi przesadny ton znudzenia i służbistości.

– Jesteśmy w bezpośrednim kontakcie z dowódcą i pilotem Air Force One, Malcolmie. Wszystkie systemy działają, a cały personel jest taki, jaki ma być, i znajduje się tam, gdzie powinien się znajdować. W tej chwili pasażerowie są rozprowadzani na swoje miejsca przez twoją agentkę, Sabrinę Carver, udającą członka załogi Air Force One, pod baczny okiem twojego drugiego agenta, pułkownika Joe McCafferty'ego. A jeśli UNACO ma na pokładzie jeszcze więcej swoich agentów, co w najmniejszym stopniu by mnie nie zdziwiło – może cała załoga to pracownicy UNACO, sam nie wiem, bo nikt nigdy nic nie mówi Pentagonowi, a już najmniej ty, Philpott – a więc, jak powiedziałem, jeśli masz tam jeszcze podstawionych jakichś rezerwowych funkcjonariuszy przebranych za poręcze foteli albo osłony silników, to nie mam żadnych wątpliwości, że również sumiennie wywiązują się z powierzonych im zadań, co i ja spróbuję robić, jeśli tylko zwolnisz tę cholerną linię i przestaniesz mnie molestować.

Philpott uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– To nie w moim stylu, George, przeszkadzać człowiekowi w wykonywaniu jego obowiązków – przeciągał rozmowę. – Aha, jeśli się nie mylę, dysponujesz również nakresem radarowym, prawda?

Morwood przytaknął; mieli nakres radarowy. Wyjaśnił proces jego uzyskiwania z ogromną cierpliwością, jakby miał do czynienia z sześciolatkiem, jak na swój wiek, niezbyt rozgarniętym. Philpott, odsunąwszy słuchawkę od ucha, czekał spokojnie, aż wykład dobiegnie końca.

– Zadowolony? – spytał wreszcie lodowatym tonem zasłużony wojskowy.

– Jasne – odparł Philpott, po czym przyznał z odcieniem szczerej skruchy w głosie, że UNACO też stworzyła sobie warunki dające możliwość śledzenia kursu boeinga. – Pomyślałem tylko, że lepiej cię o tym powiadomić, George – wyjaśnił, oczekując wybuchu.

Ale ten nie nastąpił. Morwood zachichotał gardłowo i parsknął:

– Mój drogi Malcolmie, czy naprawdę sądziłeś, że podłączysz się po pajęczarsku do systemu monitorowania urządzeń kierowania bezwładnościowego bez naszej wiedzy? Od początku wiedzieliśmy, co knujecie, i nasi chłopcy z bazy Andrews dostali polecenie przymknięcia na to oka. Widzisz, Sherlocku, nie urodziliśmy się wczoraj. Tak więc ty masz swój podgląd, my mamy swój i wszyscy są zadowoleni.

Philpott przełknął głośno ślinę, zachowując należyty spokój.

– W porządku, George, jeden zero dla Pentagonu. Ale teraz poważnie, dasz mi natychmiast znać, jeśli z nakresem radarowym zacznie się dziać coś nieprzewidzianego, dobrze?

Morwood zapewnił go, że nic takiego nie ma prawa się wydarzyć. Plan lotu boeinga przewidywał podróż na bezpiecznej wysokości, zasięg samolotu był więcej niż wystarczający, jeśli chodzi o pierwszy odcinek trasy, maszyna miała obfite rezerwy paliwa i znajdowała się

w doskonałym stanie technicznym.

– Mimo wszystko – nalegał Philpott.

– Malcolmie – westchnął Morwood – jeśli cię to uszczęśliwi, będę ci meldował na bieżąco o każdym spuszczeniu wody w toaletach i o tym, co z nią wyleciało.

Z tymi słowami rozłączył się, a Philpott zerknął na zegar wskazujący czas w strefie Zatoki Perskiej. Start za dwie minuty...

Główny przedział pasażerski Air Force One oferował swym gościom przepastne fotele zamontowane na szynach i zaopatrzone w dźwignie do ich przesuwania i przechylania, podobnie jak w samochodach wyższej klasy.

Fotele te rozmieszczone były w grupach po cztery, para naprzeciw pary, a między nimi stolik. Sabrina z promiennym uśmiechem przyklejonym do ust wskazywała nababom ich miejsca. Do młodszego Feisala podeszła z dużą dozą serdeczności, ale wycofała się zaraz, kiedy potraktował ją z czymś zbliżonym do wyniosłej wzgardy.

W kabinie pilotów rozległ się buczonek interkomu.

– Kto tam? – warknął do mikrofonu Fairman.

– Wynanski, sir – padła odpowiedź. – Wszyscy na pokładzie i na miejscach.

– Pasy zapięte?

– Tak jest, pułkowniku – zameldował po chwili przerwy Wynanski.

Fairman odchrząknął i rzucił do mikrofonu:

– Jedyńka i dwójka gotowe do rozruchu?

Człowiek z obsługi naziemnej zlustrował rejon wokół silników lewego skrzydła.

– Oba gotowe – potwierdził.

– Dwójka start – rzucił komendę dowódca. Latimer wcisnął

wyłącznik.

– Rozruch dwójki – powiedział. Potężny samolot zadygotał od wibracji zaskakującego silnika. – Dwójka chodzi – zgłosił Latimer.

– Jedyńska start.

– Rozruch jedynki.

I znowu przez drżący kadłub maszyny przeszło dudnienie pierwotnej potęgi.

– Jedyńska chodzi. Jedyńska i dwójka pracują.

– Ruszaj – rzucił dowódca.

Latimer ruszył boeinga z miejsca, zgłosił „moc kołowania” i wyprowadził go ze stanowiska postojowego w kierunku przydzielonego pasa startowego portu lotniczego Muharrak. Maszyna zakończyła zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i znieruchomiła na końcu pasa. Fairman otworzył przepustnicę i basowy ton silników, narastając gwałtownie, przeszedł po chwili w wizg przypominający wycie potępieńca.

– Naprzód – rzucił Fairman. Air Force One ruszył wolno z miejsca i zaczął nabierać szybkości.

– Idziemy – odparł lakonicznie Latimer.

Fairman przejął stery przy szybkości stu mil na godzinę i kiedy pilot powiedział „V-jeden”, dowódca powtórzył za nim ten kod – hasło bezpieczeństwa poprzedzające decyzję poderwania samolotu w powietrze. Jeśli ją zaakceptował – jak to przed chwilą uczynił – nie było już od niej odwrotu. Samolot musiał wystartować.

– V-dwa.

– Podrywaj.

– Podrywam. – Fairman odciągnął dźwignie steru i prezydencki samolot wzbił się w lazurowe niebo...

Na pokładzie boeinga Jagger skierował od razu kroki do tylnej toalety, natykając się po drodze tylko na Chucka Allena, którego

pozdrowienie zbył zdawkowym skinieniem głowy. Zamknawszy za sobą drzwi na zasuwkę, wyjął z kieszeni lotniczej kurtki mniejszą wersję pojemniczka gazu w aerozolu, którym wcześniej, w taksówce, obezwładniono McCafferty'ego. Otworzył drzwiczki jednej ze ściennych szafek i wstawił pojemniczek głęboko między zestaw przyborów toaletowych, tak żeby nie rzucał się w oczy.

Następnie opuścił zaplecze sanitarne i w tylnym przedziale pasażerskim nadział się nie na jedną, a obie stewardesy. Drugi test – być może przełomowy – był nie do uniknięcia i zaglądał mu teraz w oczy. Nie przewidział konfrontacji z obiema dziewczynami na raz, ale nie miał wyboru. A więc z którą z nich podobno się umówił?

Cody Jagger mógł przybrać postać i twarz McCafferty'ego, ale zachował własne upodobania, jeśli chodzi o kobiety. Nie był ich w stanie wymazać nawet geniusz Steina. Jagger rzadko odnosił sukcesy w kontaktach z prawdziwie pięknymi i godnymi pożądaniami kobietami. Jego technika polegała na łapaniu, co się nawinie pod rękę, i zdobywaniu tego przy użyciu czysto zwierzęcej siły. Ze wszystkich znanych mu kobiet, Cody najbardziej cenił sobie blondyny przy kości.

Sabrina Carver była ciemnowłosa, atrakcyjna i nawet w mundurze wyglądała na kobietę z klasą. Jeanie Fenstermaker była blondynką, a do tego dziewczyną fest zbudowaną i seksowną, pomimo przydymionych szkieł, które nosiła.

Trudno jest uciec od własnych upodobań. Cody uśmiechnął się znacząco do Fenstermaker i powiedział:

– Nie zapomnijcie o naszej kolacji, lotniku.

Ostatnie świadome wrażenia McCafferty'ego pochodziły z przedmieść Manamy, kiedy do jego twarzy przysunęła się wolno ręka Dunkelsa z tym samym pojemniczkiem obezwładniającego gazu, jakim zamroczył go wcześniej kierowca taksówki.

Amerykanin ocknął się w zaciemnionym pokoju, który, jak później odkrył, znajdował się w domu należącym do Ahmeda. Bo tajemniczy Fayed był nie tylko osobistym sekretarzem i pierwszym asystentem ministra przemysłu naftowego swojego rodzinnego Bahrajnu; łączyły go również dalekie więzy pokrewieństwa z rodziną Zeidana i stał na tyle wysoko w hierarchii jego łask, że przysługiwał mu przywilej zamieszkiwania w beczynszowej willi stojącej na ogromnych terenach posiadłości szejka. Jak wyspa długa i szeroka, ze świecą by szukać bardziej bezpiecznego i pewnego domu na kryjówkę, o czym z dumą zapewniał Dunkelsa.

Ku zaskoczeniu Maka, nie skuto go kajdankami ani nawet nie związano, chociaż przekonał się wkrótce, że to wyraźne przeoczenie (a może celowe zaniedbanie?) w niczym nie zmienia jego sytuacji. Okno w metalowej ramie, zakratowane grubymi metalowymi prętami, było dodatkowo zaspawane od zewnątrz na głucho. Małe okienko pod sufitem zostawiono co prawda uchylone, ale nie więcej niż na trzy czwarte cala. Innej wentylacji nie było, a pokój miał tylko jedno wejście; drzwi w ścianie naprzeciwko łóżka prowadziły do szafy.

Mac odchylił ciężką kotarę i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Poprzez wonne, urzekająco barwne kwiecie zwieszające się po ścianie dostrzegł uśmiechniętego strażnika machającego doń pistoletem maszynowym Kałasznikowa. McCafferty pośpiesznie puścił kotarę, pozwalając jej opaść na miejsce, a po chwili jeszcze raz uchylił ją ostrożnie. Strażnik wciąż tam był. Rzeczywiście trzymał pistolet Kałasznikowa – broń będącą na wyposażeniu rosyjskiej piechoty, łatwo jednak dostępną na czarnym rynku. Ale ten człowiek nie był Arabem.

Usłyszał, jak ktoś otwiera zamknięte na dwa zamki drzwi. Silny snop światła omiótł pokój, prześlizgując się po pustym łóżku i zahaczając o jedyne oprócz łóżka meble – stół, krzesło i miednicę – a

następnie wyłuskując z mroku więźnia stojącego pod oknem i osłaniającego dłonią oczy przed blaskiem. Za latarką, którą, jak zauważył teraz Mac, dzierżył inny mężczyzna, do pokoju wkroczył Dunkels. Niemiec włączył górne światło i w nie znanym Amerykaninowi języku polecił strażnikowi, by zgasił latarkę. Do pokoju wsunął się teraz trzeci strażnik (podobnie jak pierwszy mężczyzna i Dunkels, uzbrojony) i piętą zatrzasnął za sobą drzwi.

– Usłyszeliśmy, że się poruszasz – powiedział Dunkels. – Widzę, że ta... hmmm... przygoda zbytnio ci nie zaszkodziła. Możesz mi nie wierzyć, ale naprawdę mnie to cieszy.

McCafferty splunął krwią i nic nie odpowiedział. Dunkels roześmiał się i zaproponował Makowi, żeby lepiej przyzwyczaił się do myśli, iż jest więcej wart żywy niż martwy. Dorzucił, że może swobodnie mówić w obecności strażników. Nie rozumieją po angielsku.

– Jestem więcej wart żywy dla Smitha? – warknął Mac. – Jeśli tak, to w osobliwy sposób dałeś mi to do zrozumienia tam, w chacie.

Dunkels rozłożył szeroko ręce w wystudiowanym geście zdziwienia.

– Przecież wciąż tu jesteś, prawda? Cały i zdrowy? Czy to nie mówi samo za siebie?

Mac uśmiechnął się z przymusem.

– To mówi mi tylko, że trzymacie mnie w nienaruszonym stanie z przyczyn, które są bardziej wygodne dla was niż dla mnie.

– Jakich, na przykład?

Mac zaryzykował przypuszczenie, że chcą się więcej dowiedzieć o roli, jaką spełnia w UNACO albo na pokładzie Air Force One. Albo też trzymają go na wszelki wypadek do czasu, kiedy ta niepojęta, szalona intryga z prezydenckim samolotem uknuta przez Smitha dobiegnie do logicznego zakończenia – czyli do katastrofy. A może

chcą tylko przedłużyć jego cierpienia, bo zarówno Smith, jak i Dunkels są sukinsynami kategorii „A”.

– W grę wchodzi którakolwiek z tych przyczyn – zakończył Mac – albo wszystkie trzy na raz.

Dunkels znowu zaniósł się chichotem.

– W innych okolicznościach zgodziłbym się z tobą – odparował – bo w innych okolicznościach miałbyś rację.

– A w tych nie?

Niemiec potrząsnął lwią grzywą.

– Nie, jest jeszcze ktoś, kto chce cię mieć żywego. Oni również pragnęliby uciąć sobie z tobą pogawędkę. Właściwie to nawet prosili mnie, żebym ci to przekazał.

– Naprawdę? I co potem? Kiedy już skończymy... gawędzić?

Dunkels znowu wzruszył ramionami.

– Kto wie? Najwyraźniej jesteś dla nich wartościowy. Może cię polubią?

McCafferty obrzucił wartowników długim i baczny spojrzeniem. Obserwował ich już ukradkiem podczas wymiany zdań z Niemcem. Był gotów uwierzyć Dunkelsowi; sprawiali wrażenie, że nie rozumieją ani słowa z tego, o czym się mówi. Zgoda, obaj wybuchnęli parę razy śmiechem – ale zawsze tylko po to, żeby zawtórować rechoczącemu Dunkelsowi; i co też nie uszło uwagi Maka, wykazując się za każdym razem znacznie spóźnionym refleksem.

Skierował spojrzenie z powrotem na Dunkelsa.

– Kim więc są moi nowo pozyskani przyjaciele – zapytał zgryźliwie – ci, którzy tak się nie mogą doczekać pogawędki ze mną?

Niemiec uśmiechnął się z afektacją.

– A dałbyś wiarę że... sowieci?

Mac zamrugnął i uniósł brew. Dunkels pokiwał entuzjastycznie

głową.

– Smith o tym wie? – spytał Mac.

Dunkels zaczął się bardzo powoli uśmiechać. Najwyraźniej nie, pomyślał Mac.

– A co ty będziesz z tego miał? – naciskał dalej. Dunkels otworzył dłoń i poskrobał się paznokciami w jej poduszkę.

– A więc dostarczysz im mnie, wystawiając Smitha do wiatru, a oni zapłacą ci o wiele więcej kochanego szmalu?

Dunkels znowu pokiwał głową.

– Chwytasz, chłopie – uśmiechnął się. Wyjaśnił, że Rosjanie skontaktowali się z nim zupełnie niespodziewanie, przysyłając emisariusza do jego hotelu. Wypłacono mu już pokaźną zaliczkę w dolarach, aby go przekonać o szczerości sowieckiej oferty.

– To nie ja ani Smith, a oni chcą ciebie przesłuchać – oznajmił z naciskiem. – Chcesz pozostać przy życiu, to podejmij grę. Nie masz wyboru, McCafferty. Bądź rozsądny.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, a za nim wycofali się obaj uzbrojeni mężczyźni. Klucz nie zdążył się jeszcze przekręcić w zamku, gdy Mac rozważał już dwa strzępy ważnych informacji, które przed chwilą zdobył... a jedna z nich była przerażająca w swych implikacjach.

Jeśli fałszywy McCafferty był teraz kontrolowany nie przez Smitha, a przez KGB, to czyżby Rosjanie planowali wykorzystanie dublera do wywiedzenia w pole Smitha? A jeśli tak, to czy będą sobie mogli potem pozwolić na pozostawienie zakładników przy życiu?

McCafferty zagryzł wargę i potrząsnął głową wściekły, że w swoim obecnym położeniu jest po prostu bezsilny. Posiadał bezcenne informacje – ale był zapuszkowany tak samo dokładnie, jak gdyby z wyroku sądu wojskowego osadzony został w celi Fortu

Leavenworth.

Ta refleksja skłoniła go do zastanowienia się nad drugą poufną informacją, którą nieświadomie udostępnił mu Dunkels. Pilnujący go strażnicy nie tylko nie znali angielskiego, lecz podobnie jak człowiek, którego widział za oknem, nie byli Arabami.

Jakiej więc byli narodowości? – zachodził w głowę Mac. A jeśli dojdzie, skąd pochodzą, to czy zdoła zrobić z tego odpowiedni użytek?

Jaggerowi znowu pomógł zbieg okoliczności, który początkowo wziął za złośliwość losu; jednak fakt, że spotkał obie stewardesy jednocześnie, co zmusiło go do przedwczesnego wejścia w rolę, w rzeczywistości wybawił go. Dziewczyny stały jedna przy drugiej i kiedy tylko padły te słowa i zobaczył, jak soczyste usta Jeanie Fenstermaker zaczynają się otwierać w wyrazie zmieszania, Jagger natychmiast przeniósł wzrok na Sabrinę Carver i powtórzył swoją inauguracyjną kwestię:

– Jak powiedziałem, nie zapomnijcie o naszej wspólnej kolacji, lotniku.

Teraz Sabrina zrobiła wielkie oczy.

– Może zwracaliście się do mnie – zauważyła – ale patrzyliście na Jeanie. Przynajmniej za pierwszym razem.

Jagger gapił się na nią tępo.

– Ja? – zapytał tonem niedowierzania. – Jesteście tego pewni? To dopiero, przepraszam... e... lotniku. Wiecie, to ta nerwowa robota. Całe to szpiegowanie wchodzi człowiekowi w krew. Z czasem dochodzi się do przekonania, że działanie wprost zwyczajnie nie popłaca.

Sabrina spojrzała na niego nie przekonana i spytała, czy do wieczora zdąży dojechać do siebie; chce być tylko pewna, czy nadal podtrzymuje zaproszenie. Jagger uśmiechnął się swobodnie i

zapewnił ją, że do czasu lądowania w Genewie będzie już znowu swoim starym sobą. Zadowolony z tego, co powiedział, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– No to na razie – dorzucił, kończąc rozmowę tak szybko, jak tylko pozwalała na to uprzejmość.

Ruszył szybkim krokiem na przód samolotu, nie mogąc się wciąż pozbyć uczucia pewnego zakłopotania. Od chwili spotkania Sabriny odtwarzał w swej świetnie wytrenowanej pamięci historię intymnego życia McCafferty'ego i był pewien, że jej twarz nie pojawiła się wśród miniatur, które mu pokazywano. Musiała być więc kimś, kogo McCafferty poznał dosłownie przed chwilą – i do kogo poczuł pociąg od pierwszego wejrzenia. Kłopot polegał na tym, że Jagger nie znał nawet jej imienia.

Dotarł na pokład nawigacyjny i zaczął uważnie kartkować odziedziczoną po McCaffertym dokumentację szefa ochrony samolotu, aż dotarł do kopii listy personelu Wynanskiego i wykazu pasażerów. Jeśli duża blondyna, do której ta druga zwracała się „Jeannie” była starszym lotnikiem Fenstermaker Jeanie, to randkę musiał mieć z tą pierwszą – mniej atrakcyjną, bo bardziej nieprzystępną – czyli ze starszym lotnikiem Carver Sabriną. Problem rozwiązany.

Tylko co to miało za znaczenie, pomyślał Jagger z przelotnym, szyderczym uśmieszkiem. Żadna dziewczyna nie dotrze do Genewy żywa. Swoją drogą, szkoda tej Fenstermaker, była chętna, uśmiechnął się do siebie.

– Kosmate myśli, szefie? – spytał Cooligan, dostrzegając jego obleśny uśmieszek.

Jagger wziął się w garść.

– Przepraszam, Bert – powiedział – wybiegłem myślą do wieczornej randki.

– Ach, *la belle Carver* – cmoknął Cooligan. – Zdasz mi, oczywiście, wyczerpujący raport.

– Jeśli nie spotkasz mnie na śniadaniu – dostosował się do jego tonu Jagger – raport nie będzie ci potrzebny. Możesz użyć swojej wyobraźni.

Sabrina i Fenstermaker weszły do przedziału pasażerskiego dokładnie w tym samym momencie, kiedy Sonia Kolchinsky znajdująca się w sali operacyjnej UNACO dostrzegła, jak zielona plamka symbolizującą Air Force One wypuściła niezdecydowany wąż.

– Wystartowali – powiedziała śpiewnie do Philpotta trącając go łokciem. Philpott, podniósł wzrok i z jego piersi wyrwało się westchnienie ulgi.

– A więc kolej na drinki, Soniu, kochanie ty moje – oznajmił – bo przez jakiś czas mamy spokój. Smith, wbrew moim oczekiwaniom, nie przypuścił ataku na ziemi, i jeśli zamierza zrobić to w powietrzu, to jego plan musi uwzględniać jakiś sposób unieszkodliwienia zespołu, który mamy na pokładzie. Tak więc odsapnijmy na razie, zgoda?

Wstał i ruszył przodem do swojego gabinetu, odwracając się po drodze tylko po to, by przypomnieć Basilowi Swannowi o konieczności nieprzerwanej obserwacji śladu generowanego przez system nawigacji bezwładnościowej boeinga.

– Bądź też w stałym kontakcie z generałem Morwoodem z Pentagonu – ciągnął Philpott. – Odbiera na bieżąco echo radarowe poprzez łącze radiowe z Neapolem. To nasze podwójne zabezpieczenie. Wezwij mnie natychmiast, jeśli tylko odniesiesz choćby najmniejsze wrażenie, że coś nie gra. Nic nie powiem, jeśli okaże się, że to fałszywy alarm. Musimy strzec tego pudła jak oka w głowie; to prestiżowa sprawa dla UNACO.

Zapadli się z Sonią w głębokie fotele, ona w kącie gabinetu, pod oknem, Philpott pośrodku, pod ścianą naprzeciwko swojego biurka. Powoli sączył gin Plymouth z lodem, wodą i małą, białą cebulką koktajlową pływającą po powierzchni; była to poza, którą zapożyczył od pewnego bardzo zasłużonego brytyjskiego żeglarza. Sonia piła wytrawne martini.

– Zastanawiam się, czy czasem nie za bardzo się o niego niepokoiimy – odezwał się Philpott. Sonia zmarszczyła czoło i wydeła wargi.

– Nie – powiedziała zdecydowanie i pociągnęła długi łyk ze swego kieliszka. – Jak już się zgodziliśmy na samym początku, akcja taka miałaby dla Smitha wszelkie znamiona wielkiego skoku. Jednak w odróżnieniu od ciebie, ja wcale nie przewidywałam, że atak nastąpi w Bahrajnie.

Philpott wyciągnął przed siebie nogi, przyjrzał się błyszczącym noskom czarnych butów i wzniósł ku niej szklaneczkę.

– Genewa?

Sonia skinęła głową.

– No cóż, przedsięwzięliśmy wszelkie środki ostrożności – stwierdził Philpott. – McCafferty został poinstruowany, że ma zachowywać szczególną czujność, poczynając już od momentu wejścia w fazę podchodzenia do lądowania. Szwajcaria, jak na dobrego małego członka UNACO przystało, wykazała wyjątkową chęć do współpracy, zarówno pod względem udzielenia naszym ludziom niezbędnej pomocy, jak i sprawnej organizacji. Lotnisko, przejazd do miasta, hotel, prywatna kolacja – wszystko już przygotowane.

Każdy cal trasy został sprawdzony i będzie pod obserwacją. Każda z osób mająca zgodnie z programem kontaktować się na dowolnym poziomie z naszymi gośćmi, została szczegółowo prześwietlona i

zaakceptowana, albo nie; w tym drugim przypadku wyznaczono zastępcę. Jestem głęboko przekonany, że Genewę mamy zapiętą na ostatni guzik – zakończył z uśmiechem samozadowolenia na ustach. Uniósł znowu szklaneczkę, wznosząc ku Soni fantazyjny toast.

– Ma się rozumieć, pod warunkiem, że Air Force One w ogóle doleci do Genewy – wtrąciła Sonia.

Philpott zachichotał.

– Diabli nadali, Kolchinsky – wykrzyknął – już zaczynałem być w tej sprawie dobrej myśli, a ty mi tu wyjeżdżasz ze swoimi obiekcjami i wszystko psujesz. – Nalał sobie kolejną podwójną porcję ginu i mrugnął do Soni szelmowsko.

W tylnym przedziale pasażerskim boeinga stewardesa Carver, korzystając z przygotowanej wcześniej ściągawki, rozszyfrowała faktyczną naturę napojów zamówionych przez poszczególnych pasażerów. Wyszło jej, że szkocka wygrywa o włos z wódką, do tego dochodziły dwa Jack Danielsy i jedna prawdziwa herbata bez mleka i bez cukru. Z jej notatek wynikało, że normalnie byłby to jeszcze jeden Jack Daniels, ale szejk Zeidan zamówił ją dla dwunastoletniego Feisala, a więc musiało naprawdę chodzić o herbatę.

– Proszę bardzo – powiedziała uśmiechając się do chłopca. Potem, jakby sobie o tym dopiero teraz przypominając, wyciągnęła z kieszeni czekoladowy baton i podała go Feisalowi. – Pomaga zabić czas – powiedziała łagodnie. Smukłe brązowe palce arabskiego chłopca o poważnej twarzy, splecione wykwiłtnie na kolanach, nawet nie drgnęły. Nie zaszczycił spojrzeniem ani jej, ani czekolady. Po chwili milczenia odezwał się:

– Żałuję, ale opiekujący się mną lekarze nie pozwalają mi jadać takich rzeczy. Mogłaś jednak o tym nie wiedzieć. Możesz odejść. – Posługiwał się perfekcyjnym południowym angielskim, niczym kandydat do pracy w charakterze spikera BBC.

Jego dziadek, grający w szachy z Hemmingswayem, nachylił się do chłopca i powiedział mu coś cicho po arabsku. Potem uśmiechnął się przepraszająco do Sabriny.

– W jego wieku, młoda panno – zwrócił się do niej głębokim, posępnym głosem – życie bierze się naprawdę serio, nie rozmienia go na drobne. Gdy ma się dwanaście lat, godność jest wartością najwyższą. Niemniej to, co powiedział, jest prawdą, chociaż nie mogę pochwalać sposobu, w jaki to uczynił. Ale mój wnuk jest diabetykiem i w związku z tym nie może się, jak inne dzieci, delektować smakiem czekolady. To krzyż – jeśli wybaczy mi pani to chrześcijańskie porównanie – który musi dźwigać.

Sabrina zarumieniła się, zbita przez chwilę z tropu.

– Ja... tak mi przykro – zająknęła się. – Oczywiście, że nie proponowałabym...

Zeidan machnął ręką w geście wybaczenia i tolerancji, przyprawionym szczyptą lekceważenia.

– Ależ oczywiście. Przecież, jak powiedział Feisal, nie mogła pani wiedzieć o jego chorobie. – Zawahał się, lecz zaraz dodał zdecydowanie: – Może jednak będzie pani w stanie wyświadczyć mi pewną przysługę.

Sabrina zapewniła go o swych dobrych chęciach i Zeidan zapytał, czy leci z nimi lekarz. Sabrina pokręciła głową.

– Gdy na pokładzie znajduje się prezydent, podróżuje z nim zazwyczaj jego lekarz, ale ten lot jest stosunkowo krótki, więc... W każdym razie proszę się tym nie kłopotać. Jestem dyplomowaną felczerką. Gdyby Feisal czegoś potrzebował, z chęcią pomogę.

Zeidan wyraził uśmiechem swe podziękowanie i powiedział:

– A więc może zechciałaby się pani tym zaopiekować.

Wziął ze stolika przed sobą małą walizeczkę z wytłaczanej skóry i wręczył ją Sabrinie. Otworzyła zatrzask i uchyliwszy wieko ujrzała

strzykawki i fiolki z insuliną.

– Chętnie, sir – odparła.

„Herbatę” nalewano z autentycznych chińskich imbryczków – dla pucu, jak wyjaśnił Wynanski – pochodzących z zastawy zabranej z Bahrajnu. Ministrowie, nie wyłączając Hemmingswaya, popijali z delikatnych, cienkich jak papier chińskich filiżanek, grzechoczących głośno z powodu pływających w nich kostek lodu, do których nie były przystosowane, a które przewidujący pierwszy steward pociąg na mniejsze, bardziej w tym przypadku odpowiednie kawałki.

Nababowie, zaopatrzeni w stosowne zakąski przez lotnika Fenstermaker, której górna połowa ciała przyciągała pełne szczerego podziwu spojrzenia, zasiedli do rozmowy o nafcie. Jagger przeszedł przez zaplecze gospodarcze, odbywając jeden ze swych wyraźnie nerwowych obchodów samolotu, i Sabrina popatrzyła za nim ze zmarszczonym czołem.

W przeciwieństwie do swej koleżanki, która bez zastrzeżeń uznała go za Joe McCafferty’ego, wysiłki, jakie podejmował ten człowiek, by pokryć lukę w pamięci, wcale jej nie przekonały. Jego tłumaczenia – przedstartowa gorączka, odpowiedzialność za bezpieczeństwo samolotu – mogły wyjaśniać pomyłkę, ale Sabrinie niezupełnie trafiały do przekonania. Nie należała do kobiet bezgranicznie zapatrzonych w siebie, ale pomimo wszelkich starań, za nic nie potrafiła pojąć, jak można pomylić Jeanie Fenstermaker z Sabrina Carver.

Zagadnęła ostrożnie Wynanskiego o McCafferty’ego, pytając, czy szef ochrony ma przed startem skłonności do zmiany nastrojów.

– Nie większe niż inni – odparł Wynanski – ale jedno jest pewne: w pracy Mac jest służbistą. Kobiety – nawet takie, jak ty – przestają dla niego istnieć. Istny pracuś.

Sabrina stała w kącie przedziału pasażerskiego z wyrazem

zaintrygowania rzucającym cień na jej twarz. Nie usłyszała cichych kroków po wyłożonej dywanową wykładziną podłodze. Nagle czyjaś ręka opadła na jej ramię. Wzdrygnęła się i odwróciła gwałtownie.

– Nie śpij, bo cię okradną – powiedział Cooligan. Jąkając się wybąkała przeprosiny i przyznała, że myślami była daleko.

Bert patrzył na nią dziwnie, pocierając dłonią policzek.

– Taak – powiedział przeciągle – to jakaś epidemia. Wygląda mi to na chorobę zawodową, zwłaszcza podczas obecnej podróży.

– O czym ty, u diabła, mówisz? – zapytała Sabrina.

Cooligan zaśmiał się zakłopotany; mruknął, że to nic takiego, i starał się zbagatelizować cały incydent. Sabrina nie dawała za wygraną, tknięta przecuciem, że to coś może okazać się dla niej ważne. W końcu Bert ustąpił.

– Chodzi po prostu o to, że miałem podobne zajście z moim szefem, pułkownikiem McCaffertym, kiedy telefonowałem do niego w Manamie.

Sabrina poczuła, jak napina się jej skóra na policzkach i na czole.

– Przez telefon? Co za... eee... zajście?

Cooligan zapewnił ją, że nie było to nic poważnego.

– Jakoś głupio mi teraz o tym mówić, ale wtedy wydawało mi się to, no, dziwne. Był tak pogrążony w myślach, że równie dobrze mogłem sobie rozmawiać z cegłą w murze.

– Czy – Sabrina ostrożnie ważyła słowa – czy nie odniosłeś czasem wrażenia, że nie bardzo – niezupełnie – cię poznaje?

Cooligan spojrział na nią zaskoczony, potem skinął głową.

– Fakt. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby nie wiedział, z kim rozmawia...

Na pokładzie nawigacyjnym pułkownik Fairman, rozparłszy się wygodnie w fotelu, polecił Latimerowi wywołać przez radio Neapol i zgłosić ich pozycję.

– Kontrola naziemna w Neapolu – powiedział pilot do mikrofonu.
– Air Force One do kontroli naziemnej w Neapolu. Przecinamy 24 stopień wschodniej na poziomie lotu 280 przy założonym kursie na 22 stopień wschodniej przy 31.

Głos kontrolera z bazy w Neapolu dotarł do nich rozkołyszany; człowiek posługiwał się miarowym, sztywnym angielskim:

– Zrozumiałem, Air Force One, mam ciebie na ekranie. Zgłoś się na 22 stopniu wschodniej.

Kilkaset mil od miejsca, gdzie się teraz znajdowali, na samym końcu pasa startowego wskazującego niczym palec na Adriatyk, stał inny samolot.

Wokół nie oświetlonego kadłuba maszyny było zupełnie ciemno, a opuszczające się chmury jeszcze bardziej pogłębiły ciemności. Samolot był niewiele więcej niż wrażeniem cienia na ziemi.

Nagle reflektory kilkunastu pojazdów – samochodów, jeepów i małej półciągarówki – zalały blaskiem popękany pas startowy, wyławiając z mroku żwir i kłębki kurzu, tańczące lekko pomiędzy chwastami na silnym wietrze.

Silniki samolotu zbudziły się z grzmotem do życia i boeing podkołował w jezioro sztucznego światła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sądząc po wielkości, sylwetce, zewnętrznym oznakowaniu samolotu – gwiazdy i pasy na fladze, prezydenckie godło, napis „United States of America” – jak też po białym kadłubie, granatowym nosie oraz bladobłękitnym podbrzuszu i osłonach silników doczepionych do srebrnych skrzydeł, nie mogło być najmniejszych wątpliwości.

To był Air Force One. A przynajmniej, tak samo jak w przypadku podobieństwa Jaggera do McCafferty’ego, miał to być pod każdym względem Air Force One.

I spełniał te wymagania w stopniu wystarczającym dla Smitha, siedzącego w samochodzie na końcu pasa startowego od strony morza i obserwującego pędzącą wprost na niego potężną maszynę gotującą się do oderwania od ziemi.

Wyszukanie odpowiedniego pasa startowego – obiektu o długości ponad 4500 stóp, zbudowanego cudownym zrzędzeniem losu w 1944 roku z przeznaczeniem dla nowych niemieckich myśliwców odrzutowych WE262 – stanowiło pierwszy liczący się wkład Rosjan po tym, jak Smith zaproponował tę subtelną spółkę. Bo wspaniały pas startowy – dawno już porzucony i zarośnięty zielskiem – znajdował się na płaskim, nizinnym dalmatyńskim wybrzeżu Jugosławii, pomiędzy Zadarem a Szybenikiem. Smith, konstruując swój plan, bardzo wczesnie doszedł do przekonania, że porwania prezydenckiego boeinga dokonać można tylko operując z bazy położonej w państwie bloku wschodniego. A nawet potitowska Jugosławia była dla niego terytorium zamkniętym.

Dla niego, ale nie dla Rosjan. Byli w stanie zarówno wyszukać taki

rodzaj pasa startowego, o jaki mu chodziło, jak i udzielić niezbędnej pomocy przy oczyszczeniu go i naprawieniu. Pojazdy na pasie startowym oraz ich kierowcy i wartownicy, którzy pilnowali teraz prawdziwego McCafferty'ego w Bahrajnie – byli to ludzie i sprzęt należący do tej samej ultralewicowej grupy partyzanckiej, mającej kryjówkę w pobliskich górach.

Powołana i opłacana przez KGB, grupa ta zobowiązana była do działania na rzecz ponownego przyłączenia Jugosławii do ortodoksyjnego komunistycznego stadła. Uciekając się do infiltracji, aktów terroru i agitacji propagandowej oraz klasycznych metod zastraszania, pokonali już spory kawałek na drodze do sukcesu. Mieli również dostarczyć żołnierzy, których Smith chciał wykorzystać do trzymania władz na odległość na czas przeprowadzania końcowej fazy swojego planu – przejęcia okupu za ministrów krajów OPEC. Musiał jednak przyznać w duchu, że do tej pory zdarzyło się zadziwiająco niewiele prób ingerencji ze strony władz. Czyżby znowu KGB?

W posiadanie samolotu Smith wszedł legalną drogą. Był to naprawdę boeing 707, ale nie taki, jaki USAF nazwałyby stratoliniowcem. Smith szukał wyeksploatowanej maszyny transportowej i w końcu znalazł egzemplarz, którego pracowity żywot dobiegał właśnie końca. Samolot nadawał się idealnie do tego, co planował Smith; kupił go za bezcen, kazał odświeżyć i pomalować, ale nie wprowadził żadnych przeróbek.

Wlokąc za sobą gigantyczny cień, boeing minął w pędzie samochód Smitha. Huk był przeraźliwy, wwiercał się w mózg ochrypłym skowytym i narastał do grzechotu staccato, by po chwili, gdy maszyna oderwała się wreszcie od ziemi i wzbiła w noc, zamrzeć gdzieś nad wodą w serii potężnych, powtarzających się grzmotów.

Smith poklepał kolano siedzącej obok dziewczyny, uległej służącej

z zamku.

– Teraz – odezwał się po angielsku – wszystko zależy od Rosjan i ich sprytnych niepozornych przyjaciół z Italii. Może byśmy tak wrócili do siebie i poczekali tam na rozwój wydarzeń, moja słodka Branko?

Poza swoim imieniem dziewczyna nie zrozumiała z tego ani słowa, ale uśmiechnęła się i przykryła jego dłoń swoją. Zamiany mężczyzny były aż nadto przejrzyste...

Człowiek o kryptonimie Myszkin przechadzał się nerwowo po pokoju radiotelegrafisty w ambasadzie Związku Radzieckiego w Zurychu, słuchając w napięciu operatora ze słuchawkami na uszach, który tłumaczył mu na bieżąco z serbsko-chorwackiego meldunek przekazywany właśnie przez informatora z Belgradu.

Myszkin zerknął na zegarek i wtedy napotkał wzrok Axela Kariliana, który pochylał się nad radiooperatorem i notował coś w zeszycie. Grube wargi Ukraińca rozchyliły się w przebiegłym uśmiechu.

– Moje gratulacje, towarzyszu – powiedział – wszystko przebiega zgodnie z planem... to znaczy, z naszym planem, chociaż Smith jest wciąż przekonany, że z jego.

Lekko skośne fałdy powiek Myszkina zadrgały przytakująco. Karilian wiedział, że był to odruch, który często uchodził u Myszkina za wyraz szczytowego entuzjazmu. Tam, gdzie inni ludzie mogliby się praktycznie nabawić przemieszczenia kręgów szyjnych, wyrażając swoją satysfakcję energicznym kiwaniem głowy, Myszkin zaciskał tylko ascetyczne usta i ledwo zauważalnie trzepotał powiekami. Był to dziwnie przejmujący grozą nawyk; nie kobiecy, jak mogłoby się wydawać, ale jakiś gadzi i pełen tajemniczości.

– Muszę przyznać – zdobył się na szczerą Karilian – że nie bardzo podoba mi się pomysł pozostawienia McCafferty'ego przy życiu

choćby przez minutę dłużej, niż to konieczne z punktu widzenia naszych celów. Stanowi dla nas ciągłe zagrożenie. Jest tak niebezpieczny, że można się go przestać obawiać dopiero wtedy, gdy będzie martwy.

Myszkin ściągnął brwi.

– Jestem skłonny nawet się z panem zgodzić – powiedział – ale McCafferty posiada bardzo ważne dla nas informacje zarówno na temat UNACO, której nie możemy nigdy naprawdę zaufać, chociaż wspieramy ją finansowo, jak również, i to przede wszystkim, dotyczące USAF, Pentagonu oraz Air Force One. Zdaje pan sobie sprawę, Axelu, co zrobiliśmy? – ciągnął Myszkin, a jego głos przybrał na sile o skrupulatnie wyliczony półton, niebezpiecznie zbliżający się do podniecenia. – Porwaliśmy pułkownika sił powietrznych Stanów Zjednoczonych tak, że nawet tego nie zauważyli. Możemy go sobie trzymać i wydoić do sucha, a oni być może nigdy się nie dowiedzą, że znajdował się w naszych rękach. No bo jak mieliby się tego dowiedzieć? Będzie przecież nadal wśród nich jako jedyny ocalały i niekwestionowany bohater porwania Air Force One – pogromca mistrza zbrodni, którego nie potrafiła unieszkodliwić UNACO.

Karilian, słysząc te słowa, uniósł krzaczaste brwi.

– Co takiego? – chrząknął. – Od kiedy stanowi to część planu?

Myszkin uśmiechnął się i Ukrainiec nie po raz pierwszy poczuł, jak ciarki strachu, kojarzące się z ukłuciami igieł do akupunktury, rozchodzą mu się po całym ciele.

– Moskwa uważa to za słuszne posunięcie – odparł. – No i czemuż by nie? Kto powiedział, że gdyby Smith wszedł nam w drogę lub okazał się kłopotliwym ciężarem, to mimo wszystko musiałby pozostać przy życiu? Nie jest nam potrzebny – ciągnął Myszkin. – Jagger będzie otrzymywał od nas poważne wsparcie i tańczył jak mu zagramy, a więc kiedy Smith będzie się najmniej spodziewał zdrady –

w chwili osiągnięcia pozornego tryumfu – jakże łatwo przyjdzie Jaggerowi... hmm... pozbyć się go i przekazać okup nam. Jestem pewien, że KGB znajdzie dla niego równie praktyczne sposoby wykorzystania... nie sądzi pan, Axelu?

Axel oczywiście tak sądził. Zachichotał ciepło. Nie dlatego, że było mu wesoło, ale dlatego, że czuł, iż musi.

Przez wiele godzin, jakie McCafferty spędził w zaciemnionym pokoju, pozwolono mu z niego wyjść tylko dwa razy: raz za potrzebą, i jeszcze raz, po zapadnięciu nocy, na spacer po ogrodzie, w jednym i drugim przypadku pod silną eskortą. I to nie tylko ludzką: Arab Selim trzymał na grubym łańcuchu wygłodzonego, rozwścieczonego owczarka alzackiego. Łańcuch był na tyle długi, by człowiek mógł się nim kilkakrotnie owinąć w pasie i dopiero potem przypiąć koniec do obroży dzikiego psa.

Willa, jak zauważył Mac, była piętrowym budynkiem wzniesionym na parceli specjalnie wydzielonej z pałacowych gruntów. Dochodzący tu szum ulicznego ruchu świadczył, że gdzieś niedaleko musi przebiegać droga i McCafferty podejrzewał, że wysoki mur w głębi ogrodu jest częścią ogrodzenia okalającego zarówno willę, jak i całą królewską rezydencję. Jego pokój – jedyne pomieszczenie o zakratowanym oknie – znajdował się na piętrze, od frontu.

McCafferty naliczył jeszcze trzy sypialnie i dwie łazienki i domyślał się istnienia salonu gościnnego na parterze. Ten układ pasował do liczby strzegących go ludzi: jeden na patrolu w ogrodzie, drugi pod jego drzwiami – to ci dwaj obcokrajowcy, których narodowości jeszcze nie rozszyfrował – oraz Selim ze swoim piekielnym psem i Dunkels. Strażnicy, jak sądził Mac, kwaterowali w jednym pomieszczeniu.

Amerykanin nie widział żadnych szans na ucieczkę, choćby nie

wiem jak się starał. Nie było tu żadnych niedociągnięć, żadnych słabych ogniw. Znużony, zniechęcony, wciąż obmacując zadrapania i sińce, wrócił z drugiego spaceru i wysłuchał zgrzytu klucza w zamykanych za nim na dwa spusty drzwiach pokoju.

Potem rozległ się jeszcze jeden dźwięk – znajomy, ale taki, którego, był tego pewien, nie słyszał jeszcze od momentu znalezienia się w willi. W holu na parterze zadzwonił telefon.

Po chwili w zamku ponownie zazgrzytał klucz i drzwi stanęły otworem. Dunkels, stosując się do tej samej co poprzednio procedury, zczekał, aż latarka strażnika wyłuska McCafferty'ego z mroku, po czym sięgnął do kontaktu i zapalił osłoniętą kloszem żarówkę. Makowi, z przyczyn, które Niemiec nazywał „względami bezpieczeństwa”, zabroniono dotykania kontaktu. Domyślał się, że dom może być widoczny z drogi i Dunkels obawiał się, że Amerykanin może użyć światła do nadania wezwania o pomoc alfabetem Morse'a.

Dunkels sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Mam dla ciebie nowiny, McCafferty – oznajmił. – Wkrótce zostaniesz stąd zabrany. Zjawią się po ciebie pewni moi... hmmm... przyjaciele i przetransportują drogą morską w miejsce, powiedziałbym, bardziej odpowiadające ich interesom. Stracisz również parę twoich wiernych towarzyszy. Pan Smith poinformował mnie, że są potrzebni z powrotem w... eee... z powrotem w naszej bazie operacyjnej, gdzie ktoś cierpi na braki kadrowe.

Wskazał zamasztyłym gestem na dwóch strażników, którzy na wszelki wypadek uśmiechnęli się bezmyślnie. McCafferty odpowiedział po rosyjsku, że rad zobaczy ich plecy, bo śmierdzą jak świnie i obrzydzają mu jedzenie.

Młodszy z dwóch strażników, bluzgając stekiem wyzwisk w swoim rodzimym języku, doskoczył do Maka, zanim Dunkels zdążył

go powstrzymać, i rąbnął Amerykanina kolbą pistoletu w twarz.

Dunkels chwycił faceta za ramię i odciągnął brutalnie od więźnia. Mac w ostatnim momencie uchylił się i kałasznikow tylko go musnął, ale to wystarczyło, by ze starych ran popłynęła świeża krew, a głowa eksplodowała bólem. W oczach pokazały mu się gwiazdy. Do otartego policzka przyłożył sobie brudną chusteczkę.

Uśmiechnął się jednak pod nią krzywo, ale tryumfalnie, bo zagrywka się opłaciła. Zakładał, że strażnicy rozumieją albo po rosyjsku, albo po niemiecku, bo z języka, jakim ze sobą rozmawiali, i z ich wyglądu wynikało, że raczej pochodzą ze środkowej Europy niż należą do jakiejś bardziej egzotycznej grupy etnicznej. I chociaż McCafferty jako lingwista nie dorastał Dunkelsowi do pięt, to dawno już nauczył się kłąć dosadnie w jakichś piętnastu językach. Wiecznemu obieżyświatowi przydawała się orientacja w nastrojach, jakie żywią wobec niego obcokrajowcy.

Strażnik odkrył swoje karty: w soczystych, obscenicznych obelgach Mac rozpoznał jedynie sześć czy siedem serbsko-chorwackich słów, jakie miał w swoim słowniczku, ale teraz był już pewien, że ma do czynienia z Jugosłowianami.

Jugosławia pasowała również do planu lotu boeinga, bo leżała na kursie najbezpieczniejszej trasy, jaką Fairman zapewne wybierze, by dotrzeć do Szwajcarii: przelot nad co bardziej przyjaźnie nastawionymi państwami Arabii, potem Morze Śródziemne i wzdłuż jednego z wybrzeży włoskiego buta aż do Alp. Jeżeli Smith zamierzał porwać prezydencki samolot, to Jugosławia stanowiłaby dla niego idealną bazę wypadową.

Dunkels uspokoił wzburzone emocje strażnika i zwrócił się znowu do Amerykanina, z miną ledwie maskującą kontrolowaną wściekłość.

– To było sprytne, McCafferty – wysyczał – ale jeśli się nawet czegoś dowiedziałeś, nie wyjdzie ci ta wiedza na dobre. Nadal nie ma

stąd ucieczki, a poza tym, jak już powiedziałem, i tak wkrótce cię tu nie będzie. Ponieważ jednak przejawiasz wyraźną ochotę do gry, zostawiamy ci kogoś, z kim będziesz mógł sobie pograć. Zapewniano mnie, że jest bardzo łagodny – dopóki się go nie rozdrażni.

Podczas gdy Selim odwijał powoli ze swej talii ciężki łańcuch, jeden ze strażników wbił młotkiem w futrynę drzwi sześciocalową klamrę. Selim przypiął haczyk na obroży alzackiego wilczura i łypnął spode łba na McCafferty'ego.

– Łańcuch jest wystarczająco długi, by pies mógł cię dopaść w najdalszym kącie tego pokoju – powiedział. – Na twoim miejscu nie poruszałbym się wcale. Pora jego kolacji dawno minęła, a chyba skończył nam się już pokarm dla psa. Zostawię zapalone światło; dzięki temu będziesz przynajmniej widział, jak się na ciebie rzuca.

Zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Pies stał, wpatrując się groźnie w Maka, który leżał bez ruchu na łóżku, nie spuszczać wzroku z bestii. W końcu wilczur zrezygnował, ziewnął szeroko i położył się na brzuchu, opierając łeb na przednich łapach. Jego ślepia pozostały otwarte, a jęzor przesuwiał się po ostrych, białych kłach.

Mac usłyszał trzask zamykanych drzwi frontowych i warkot zapuszczanego silnika samochodu. Poprzez uchylony świetlik pod sufitem dobiegł go głos Dunkelsa.

– Miej go na oku, Selim – mówił Niemiec – podrzucę tylko tych dwóch na lotnisko i za jakieś pół godziny będę z powrotem.

A więc na posterunku pozostał tylko jeden strażnik, Arab. No i jego przyjaciel, alzaczek – pomyślał Mac. Poruszył się ostrożnie na łóżku i pies w mgnieniu oka znalazł się na równych nogach, szczerząc ostrzegawczo kły i warcząc. Jeśli Mac marzył jeszcze o wolności, miał na realizację tego marzenia pół godziny, nie więcej. I najpierw będzie się musiał uporać z psem Selima.

Fairman zrywał się i złościł na falistą trasę, jaką pokonywał

samolot zmierzając na zachód po wijącym się niczym wąż zadanym kursie, zupełnie nie przypominającym prostej jak strzała drogi, którą dowódca widziałby najchętniej.

Boeing nie był właściwie zmuszony do gwałtownych zmian kursu, ale wypełniając plan lotu, Fairman miał nieprzyjemną świadomość, że zezwolono mu na przelot nad pewnymi terytoriami tylko przez wzgląd na pasażerów, których wiozł, a zabroniono nad innymi z uwagi na samolot, który pilotował. Gdyby na pokładzie znajdował się tylko prezydent Stanów Zjednoczonych, Air Force One musiałby lecieć zupełnie innym i jeszcze bardziej połamanym kursem.

Kiedy samolot przeciął granicę i znalazł się nad zaprzyjaźnionym Egipcem, dowódca boeinga zaklął pod nosem, wyrażając tym wielką ulgę. Latimer, pilot, pozostawił na ustach sardoniczny uśmiezek, który od chwili startu skązał jego renesansową twarz. Obrął kurs na Suez, przeciął Kanał Sueski, mając Port Said z prawego skrzydła, a Kair z lewego i nad Aleksandrią wyleciał nad Morze Śródziemne.

Zobaczył pod sobą połyskujące mrocznie wody i usłyszał głos Fairmana, zdającego przez interkom krótką relację z tej scenerii Wyjątkowo Wybitnym Pasażerom, żłopiącym herbatę tak, jakby ta miała lada chwila wyjść z mody.

Latimer spostrzegł Kretę mającą pod prawym skrzydłem i zmienił kurs zgodnie z planem lotu: kontynuować nie nad Adriatykiem, wzdłuż państw bałkańskich, a przelecieć nad Sycylią i trzymając się wciąż trasy wiodącej nad Morzem Śródziemnym wzdłuż wybrzeży Italii, wejść w obszar powietrzny Włoch w rejonie Genui, by po minięciu Piemontu obrać kurs na Genewę i rozpocząć wytracanie wysokości.

Tymczasem w oknach lewej burty identycznego Air Force One pędzącego nad Adriatykiem poniżej pułapu wykrywalności radaru,

kursem tylko z grubsza równoległym do kursu prezydenckiego boeinga, który jednak utrzymywany będzie wystarczająco długo, aby powiodła się główna część planu Smitha, również pojawiły się zamglone zarysy Krety.

W kabinie wypoczynkowej oryginalnego Air Force One, usytuowanej za kabiną pilotów, po prawej stronie samolotu, obok przedniej kuchenki, Cooligan, dwójka mechaników i Jagger grali na skromne stawki w pięciokartowego, dobieranego pokera. Nie była to rozrywka, do której normalnie namawiał McCafferty, a jednak – co ze zdziwieniem odnotował Cooligan – właśnie szef ochrony zaproponował grę. Kolejny przypadek nietypowego zachowania się pułkownika, który wzniecił jeszcze większy niepokój w umyśle agenta tajnej służby... ale co, u diabła, pomyślał Cooligan; każdy może się odprężyć po pracy.

Wyłożywszy na stół zwycięską kombinację, Jagger wstał i wymówił się od kolejnego rozdania.

– Jakież problemy? – spytał współczująco Bert. – Mam iść z tobą?

Jagger potrząsnął głową.

– Nie – odparł – grajcie beze mnie. Dręczy mnie jakieś przecucie...

– Żywił nadzieję, że ten fortel pokryje jego nietypowe zachowanie, z którego zdawał sobie sprawę. – Wiem, że nie ma żadnych podstaw do niepokoju, ale chyba lepiej będzie, jak się przejdę, tak dla świętego spokoju.

– Szuka pan pasażerów na gapę, pułkowniku? – wyrwał się jeden z mechaników. Drugi zgrywus dorzucił:

– A może ktoś się dosiadł, kiedy przelatywaliśmy nad Arabią Saudyjską albo nad Syrią? Dla mnie oni wszyscy wyglądają jednakowo.

Czterej mężczyźni roześmiali się i Jagger wyszedł swobodnie. Nie przyspieszając kroku, wszedł do przedziału pasażerskiego, skinął

uprzejmie głową asystentowi i dotarł do kompleksu toalet boeinga nie natykając się po drodze na nikogo z członków załogi, prócz Jeanie Fenstermaker. Zdążyła właśnie do przedziału zajmowanego przez Wyjątkowo Wybitnych Pasażerów ze szparagami zawiniętymi w plastry wędzonego łososa i obłożonymi cieniutko pokrojonymi kromkami świeżego brązowego chleba z masłem. Jagger wziął z tacy jedną taką kanapkę i zjadł ją.

Zamknął się w najbliższej ogona samolotu toalecie i pozostał tam dla pozorów przez pięć minut, żeby zbyt szybko nie natknąć się ponownie na Fenstermaker. Wsunął do kieszeni pojemniczek z aerozolem, spuścił wodę w muszli klozetowej, umył ręce i wyszedł omal nie zderzając się z piersiastą blondynką, wracającą właśnie z pustą tacą do tylnej kuchni.

– Ale apetyty, co? – zagadnął.

– Na to wygląda, pułkowniku – odparła. – Wie pan... – zarumieniła się twarzowo. – Wydaje mi się, że sprawia im przyjemność widok Sabriny i mnie. I podajemy straszne ilości „herbaty”, pułkowniku. Sierżant Wynanski ledwie nadaża z realizacją zamówień.

– A gdzie jest Wynanski? – spytał obojętnie Jagger.

Jeanie wskazała za siebie na kuchenkę.

– Z tyłu, jak zawsze; haruje jak niewolnik przy produkcji nowych kanapek.

Jagger uśmiechnął się, zerknął na zegarek i powiedział:

– A więc odmaszerować, lotniku. Niedobrze jest kazać Arabom czekać, prawda? Może wam przejść koło nosa szansa na poślubienie szejka, a przynajmniej na dołączenie do jego haremu.

– Też mi coś! – Fenstermaker wydeła wargi, dodając do tego pełne oburzenia fuknięcie. Jagger zaczekał, aż zamknie za sobą drzwi kuchni, po czym zapukał w nie i zawołał głośno:

– Pete! Jesteś tam?

– Kto tam? – zapytał Wynanski. Szurając nogami, podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Jeanie stała przy nim.

Jagger wyszczerzył zęby w uśmiechu i powiedział:

– Mam dla ciebie prezent. – Usta Fenstermaker otwierały się już do krzyku, dziewczyna zaczerpnęła więc głęboko w płuca potężny haust gazu obezwładniającego i osunęła się na podłogę, dołączając do starszego sierżanta Pete Wynanskiego.

McCafferty przekręcił głowę, by zerknąć niepostrzeżenie na zegarek, i warujący na brzuchu pies poruszył się groźnie. Upłynęło osiem minut. Mac nie mógł czekać dłużej; jeśli w ogóle ma działać, musi zacząć zaraz.

Usiadł na łóżku i pies podniósł się z podłogi ze zjeżoną na karku sierścią, otwartą paszczą i wilgotnymi wargami, spod których wysunęły się zęby.

Mac spuścił nogi na podłogę, wstał jednym płynnym ruchem i oparłszy się plecami o drzwi szafy zaczął, macać za sobą palcami w poszukiwaniu klamki. Alzatczyk ruszył bezszelestnie w jego kierunku wlokąc, za sobą łańcuch. Potężne cielsko bestii kołysało się lekko na boki niczym wiszący most na wietrze. Nie spuszczał pstrych ślepi z człowieka.

McCafferty natrafił na gałkę drzwi do szafy i pociągnął za nią silnie. Drzwi otworzyły się gwałtownie i uderzyły go w łopatkę. Pomacał palcami zamek; był to kulkowy zatrzask współpracujący sprężystością z otworem we framudze i na skutek rzadkiego używania trochę się zacinał.

McCafferty odstąpił w bok, uchylając drzwi i modląc się w duchu, żeby szafa okazała się na tyle przestronna, aby go pomieścić. Szczęście nadal mu sprzyjało: była to szafa – garderoba, do której można było swobodnie wejść; wzdłuż jej boków ciągnęły się puste półki.

Pies wlażł do szafy za nim.

Mac wyszedł z garderoby trochę szybciej niż wchodził. Alzatczyk wytoczył się za nim ze szczękiem łańcucha; pies dyszał szybko, a z jego pyska wydobywał się silny odór.

McCafferty cofnął się z powrotem do szafy, pies za nim.

Tym razem Amerykanin wyskoczył szybko na zewnątrz. Pies też, ale trwało to dłużej, bo musiał odwracać o sto osiemdziesiąt stopni cały tułów, podczas gdy Makowi wystarczyło zrobić jeden długi krok w tył albo w przód.

Znowu do środka. Pies zawrócił, ocierając mu się o nogę.

Mac przeskoczył przez zwierzę, zatraskując mu drzwi przed nosem w ostatnim momencie, kiedy pies zdążył się już odwrócić i ruszał w ślad za nim.

Alzatczyk rzucił się z furią na drzwi, ale zardzewiały zamek nie ustąpił. McCafferty przyciągnął pod drzwi szafy łóżko i dosunął je do samej ściany.

Potem podbiegł do zamkniętych drzwi wejściowych i szarpnął z całych sił za łańcuch przykuty do framugi. Słyszał już, jak Selim wbiega po schodach na podest i pędzi korytarzem, zwabiony histerycznym wyciem alzatczyka miotającego się w ciemnym więzieniu.

Mac pociągnął za łańcuch; z wysiłku pot wystąpił mu na czoło. Klamra wyszła z framugi z rozdzierającym zgrzytem. Ukręcił skuwkę obejmy, pognął do szafy i wbił hak w drzwi tuż nad zamkiem, unosząc pryczę i wykorzystując jej krawędź do wbicia klamry w drewno.

Selim był już u drzwi. Mac wyłączył światło i stanął przy wejściu, ściskając w dłoniach luźny odcinek łańcucha.

Spodiewając się, że światło wciąż będzie się paliło, Selim przerzucił pistolet do lewej ręki i kciukiem prawej popchnął

wyłącznik latarki, kierując jej promień na źródło hałasu.

Zdradliwy, mierzony kopniak McCafferty'ego zgruchotał Selimowi nadgarstek. Arab upuścił pistolet i zawył w niezgodnym kontrapunkcie z zawodzeniem psa. Mac doskoczył doń od tyłu i owinął mu łańcuch wokół szyi. Zaciskając tę żelazną pętlę, powalił Selima na kolana i unieruchomił górną połowę jego ciała w kleszczach swych ud. Selim rzeził i charczał, aż w końcu McCafferty wydusił z niego życie i krzyk zamarł mu w krtani.

Niewiarygodne, ale pies zdołał jednak sforsować drzwi szafy i Mac dostrzegł z przerażeniem, jak łóżko odsuwa się coraz dalej od ściany, ustępując pod ciężarem ogromnej bestii wciskającej zaciekle swoje cielsko w poszerzającą się szparę.

Jeszcze chwila i alzatczyk był wolny, a jego desperackie ujadanie przeszło w pełen wściekłości warkot. W świetle latarki, tkwiącej wciąż absurdalnie w martwej dłoni Selima, McCafferty spostrzegł, jak pies rzuca się na niego z wysuniętymi do ataku szczękami, z których skapują płaty piany.

Przypadł do podłogi, przeturlał się, pochwycił pistolet Araba i naciskając raz po raz spust, wypróżnił cały magazynek, mierząc w szybujące w powietrzu cielsko alzatczyka – zabójcy. Bestia wyrznięta z impetem w uchylone drzwi, zaskowyczała i znieruchomiała u jego stóp, ziejąc ciężko. Mac odwrócił głowę i zmusił się, by spojrzeć w gasnące ślepie zdychającego psa. Ślina ścięła się na jego jęzorze i chrapliwy oddech ustał.

Był wolny.

Zataczając, się zbiegł po schodach i wypadł w noc, wciągając w płuca łapczywe hausty chłodnego powietrza. Po chwili wziął się w garść i przystąpił do poszukiwań drugiego samochodu.

Znalazł jeden na tyłach willi, ale wóz był zamknięty, a w stacyjce nie było kluczyka. Wbiegł do domu i wspiął się po schodach.

Przekręcił kopniakiem trupa Selima na plecy i wyszarpnął pęk kluczy z kieszeni jego spodni.

Dopiero kiedy siedząc za kierownicą samochodu pokonał już spory odcinek trasy do siedziby konsulatu amerykańskiego, zdał sobie sprawę z trudności, jakie wciąż się przed nim piętrzą.

Nie posiadał żadnych dowodów tożsamości, co wieczność temu wypomniał półzartem Dunkelsowi. Odebrano mu wszystko – portfel, karty kredytowe, legitymację służby bezpieczeństwa, pieniądze. Miał tylko to, co na sobie: parę bufiastych pantalonów i porwaną, brudną jak święta ziemia, popaćkaną krwią džellabę.

Co gorsza, musi teraz przekonać sceptycznego konsula, że w rzeczywistości to on jest tym człowiekiem, którego konsul na własne oczy widział wsiadającego do osobistego samolotu prezydenta Stanów Zjednoczonych nie dalej, jak trzy godziny temu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy Jagger wrócił do kabiny wypoczynkowej, gra w trójkę w dobieranego wciąż jeszcze trwała.

– Jak leci, Bert? – zapytał Cooligana, pochylając się nad stolikiem. Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i musnął się nią po twarzy.

– Od kiedy wyszedłeś, świetnie. Twoja nieobecność przyniosła mi szczęście – odparł Cooligan.

– Taak? – zdziwił się Jagger. – Prawdę mówisz? No to zobaczymy, co to ci przyniesie. – Z tymi słowami przycisnął płócienną chusteczkę do swego nosa i ust, a potem popsikał wszystkich trzech mężczyzn gazem w aerozolu. Jedna po drugiej karty wyleciały z ich niewładnych rąk, a głowy opadły na zielone sukno. Chybotliwy stoliczek omal się nie przewrócił, ale Jagger pochwycił go w porę, przytrzymał i ustawił prosto. Nie mógł dopuścić, by zbyt wiele hałasu przedostało się w jakimkolwiek kierunku.

Następnie odebrał Cooliganowi pistolet.

– Słodkich snów – mruknął pod nosem.

Teraz pokład nawigacyjny. Kowalski mówił właśnie do dowódcy:

– Mam na ekranie od cholery jakiejś zupy przed nami. Może skontaktować się z Neapolem?

Fairman odwrócił się, żeby spojrzeć w radar, i chrząknął niezobowiązująco. Po chwili poleciał jednak Latimerowi nawiązać łączność z naziemną stacją kontroli lotów.

– Kontrola w Neapolu, Air Force One do kontroli lotów w Neapolu – zaintonował pilot. Zgłosił się Neapol; nadal ten sam formalny, roboci głos. – Neapol, dostajemy z przodu coraz silniejsze

echo radiolokacyjne – ciągnął Latimer. – Prosimy o zmianę trasy na Genewę.

Neapol rozważył prośbę i przekazał drogą radiową:

– Roger, Air Force One. Zmiana kierunku na dwa-siedem-sześć. Zrozumiałeś?

Neapol otrzymał potwierdzenie i Latimer odmeldował się...

Bartolomeo Volpe upchnął notatniki akademickie do sfatygowanej aktówki i wyszedł wcześniej z sali wykładowej Wydziału Socjologii na uniwersytecie w Bolonii, zwolniony z zajęć przez swego adiunkta, który, podobnie jak Bartolomeo, pełnił funkcję kadrowego dowódcy Czerwonych Brygad. Mniej więcej w tym samym czasie Christina Patakeminos odchyliła się na oparcie krzesła na sali wykładowej Wydziału Socjologii uniwersytetu w Atenach, przymknęła oczy i czekała niecierpliwie na południową przerwę.

Bartolomeo wszedł do samolotu lecącego na południe i przybył do Neapolu dokładnie o czasie zaplanowanym w instrukcjach przekazanych mu przez lokalną komórkę partii komunistycznej. Stał w kolejce do autobusu, który miał go wywieźć z miasta, zerknął na zegarek i uśmiechnął się na myśl, że ciemnooka Christina robi teraz mniej więcej to samo na Placu Egipskim w Atenach.

Ani chłopiec, ani dziewczyna – którzy zostali kochankami na złocie młodości w Sofii przed zaledwie sześcioma tygodniami – nie mieli pojęcia, od kogo pochodzą rozkazy wydane komunistom z Aten i Bolonii. Ta niewiedza wcale im nie przeszkadzała; podkładali bomby gdzie i kiedy kazano im je podłożyć; zabijali tych, których kazano im zabić. Stanowili podziwu godne produkty międzynarodowego terroryzmu.

Tym razem nie będzie zabijania, pomyślał z żalem bolończyk, wysiadając z autobusu w wyznaczonym miejscu, na biegnącej brzegiem morza szosie. Ale komórka twierdziła, że to ważne zadanie:

uderzenie w same korzenie kapitalizmu.

Kable elektryczne zasilające energią radarową stację kontrolną Neapolu okręzały wydmy, biegnąc ciemnym jarem z dala od głównej drogi. Trasa przewodów zasilających stację kontrolną Aten przebiegająca nie opodal wzgórz opadających od równiny Maratonu ku Morzu Egejskiemu była również strategicznie zamaskowana. Bartolomeo sprawdził ponownie czas i robiąc niemal zeza, zaczął śledzić wskazówkę sekundnika odbywającą ostatnie okrążenie w drodze ku minucie zero.

Podważył wieczko skrzynki połączeniowej i zamocował do jej metalowej ścianki mały mechanizm zegarowy. Potem ściągnął izolację z dwóch żył przewodu i owinął ich końce wokół pary zacisków detonatora czasowego. Wskazówki zegara nastawione były na trzydzieści pięć minut.

W miejscu odległym o kilkaset mil Christina Patakeminos przeprowadzała te same, co do joty, rutynowe czynności, uśmiechając się do siebie na myśl, że na południe od Neapolu powtarza jej ruchy Bartolomeo. Nacisnęli wyzwalacze zegarów z zaledwie półsekundową różnicą w czasie.

Bartolomeo przykręcił z powrotem wieczko skrzynki połączeniowej, zlął ze słupa i oddalił się w noc, pogwizdując arię z „Luisy Miller” Verdiego. Christina, nucąc pod nosem chwytny kawałek Theodorakisa, złapała okazję z powrotem do Aten...

Jagger, zmierzający na pokład nawigacyjny Air Force One, nie ukrywał zaskoczenia gdy spotkał na swej drodze Sabrinę Carver.

– Jakież kłopoty, lotniku? – zapytał.

Sabrina potrząsała głową, a grzywa ciemnych włosów uniosła się z ramion, by zaraz opaść na nie z powrotem.

– Staram się być dyplomatyczna – odparła. – Feisal – wiesz, ten arabski chłopiec – chciał zobaczyć kabinę pilotów. Pułkownik

Fairman powiedział, że nie ma nic przeciwko temu.

Jagger skinął głową i precyzyjnie przycisnął się obok Sabriny z palcami na zatrzasku kabury, ledwie zauważając, że ociera się o dziewczynę. Sabrina wzruszyła ramionami i mruknęła:

– Mac, z ciebie naprawdę wielki pracuś.

Jagger zapukał w zamknięte drzwi kabiny pilotów i został tam wpuszczony w tej samej chwili, gdy kontroler ze stacji w Neapolu powiedział: – Boże Wszechmogący! – gapiąc się w osłupieniu na gasnący ekran radaru.

– Hej, co jest...? – wrzasnął operator.

– Gdzie się wszystko podziało? – zaskrzeczał kierownik zmiany.

– Wszystko włącznie z nami. Atenami i Air Force One – zawtórował mu ponuro kontroler, mrugając szybko i wyrażając swe niedowierzanie głośnym parsknięciem.

– Próbowaleś przełączyć na linię awaryjną? – dopytywał się kierownik zmiany.

– Nie działa.

– Kuuurwa.

– Mać.

Generał Morwood przebywający w sali operacyjnej Pentagonu niemal równie dosadnie wyraził swoją opinię odebrawszy telefon z Neapolu.

– Zgubiliście ich? – Jego oczy powędrowały ku ściennej mapie, mniejszej niż mapa UNACO, ale nadal wyświetlającej ślad boeinga. – Jak mogliście ich zgubić? – chciał koniecznie wiedzieć. – My ciągle odbieramy sygnał ich bezwładnościowego systemu kierowania.

– Chodzi o to, że wysiadł nasz radar, sir – poskarżył się kontroler z Neapolu z nutką rozpaczony w głosie. – I w Atenach to samo. O ile się orientujemy, Air Force One kontynuuje lot. No i, oczywiście, generale, skoro pan mówi, że... znaczy się, mam szczęście.

Morwood skinął na najbliższego ze swych adiutantów w randze pułkownika.

– Powiadom Philpotta z UNACO, co się wyprawia – szepnął przykrywając dłonią mikrofon – a potem posłuchaj tego tu. Łby pouryam tym z Neapolu i Aten.

– Cześć, Mac – zawołał wesoło Latimer, widząc Jaggera wspinającego się do kabiny pilotów. – Co, znudziło ci się tam?

Fairman też go pozdrowił, a Kowalski posłał szefowi ochrony wymuszony uśmiech. Oczy Feisala gapiącego się na mrowie przyrządów pokładowych stawały się coraz bardziej okrągłe.

– Taak – odpowiedział Jagger. – Pomyślałem sobie, chłopaki, że może by tak was troszkę rozruszać. Hej, synku – zwrócił się do arabskiego chłopca – może byś tak wrócił na swoje miejsce, co? Później będziesz mógł tu jeszcze przyjść.

Ton głosu Jaggera był swobodny i niedbały, ale Fairman spojrział w oczy szefa ochrony i spytał szeptem:

– Coś nie w porządku?

Jagger skinął głową. Feisal zawahał się i poszukał wzrokiem wsparcia u dowódcy. Fairman poklepał go po ramieniu mówiąc:

– Leć, chłopcze. Jak powiedział pułkownik, możesz tu jeszcze później wpaść. – Chłopiec wysunął się z ociąganiem przez drzwi kabiny.

Fairman zaczekał, aż drzwi się zamkną, i dopiero wtedy spytał:

– Co, u diabła, jest grane, Mac? Masz jakieś problemy, o których my nie wiemy?

Jagger uśmiechnął się krzywo, potrząsając głową.

– To niezupełnie tak, Tom – powiedział – to wy macie problemy.

– Na przykład jakie?

– Na przykład takie! – Wyszarpnął pistolet z kabury i wpakował lufę w kark pierwszego mechanika pokładowego. – Nie ruszać się! –

warknął.

Basil Swann wydukał przekazaną z sali operacyjnej Morwooda wiadomość o przerwie w dostawie energii do stacji radarowych w Neapolu i Atenach.

Philpott rąbnął kieliszkiem w stół, zerwał się z fotela i rzucił do drzwi gabinetu. Sonia deptała mu po piętach. Wpadł do centrum operacyjnego UNACO i wbił wzrok w mapę. Zielony wąż pełzł wciąż milimetr po milimetrze przez Morze Śródziemne.

– Chciałem jeszcze dodać, sir – wybąkał Swann – że generał Morwood powiedział, żeby nie wpadać w panikę, bo nadal ma na mapie ślad Air Force One; zresztą my też. Twierdzi, że to na pewno jakaś lokalna awaria.

Philpott spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Dwie lokalne awarie? – zapytał cierpko. – Równoczesny zanik zasilania w Atenach i w Neapolu to zwykły zbieg okoliczności? Nie ma się czym przejmować? – twarz czerwieniała mu coraz bardziej, dopóki Sonia nie ścisnęła go za ramię.

– My nie wpadamy w panikę, Basil – powiedziała – ale jesteśmy zaniepokojeni.

– Jesteśmy, i to jak cholera – warknął Philpott. – Nawet jeśli Morwood potrafi wmówić sobie, że coś w rodzaju rozbudowanej burzy elektrycznej może jednocześnie uszkodzić dwie anteny radarowe odległe od siebie o setki mil, to mnie nie przekona.

Swann przełknął z trudnością ślinę i poprosił o instrukcje. Philpott trzasnął pięścią w otwartą dłoń i zmarszczył brwi, zbierając myśli.

– To musiał być Smith – mruknął – i mimo wszystko potrzebował pomocy.

– Słucham, sir? – nie zrozumiał Swann.

– Zrobisz tak, Basil – odparł Philpott, wymierzając w niego nieruchomy niczym skała palec. – Trzeba postawić w stan pogotowia

bojowego eskadrę myśliwców z bazy w Neapolu. Zrób to natychmiast – dosłownie NATYCHMIAST – i powiedz im, żeby byli gotowi do startu alarmowego. Nie życzę sobie żadnych pytań z ich strony, żadnych przekomarzań, tylko działania.

Swann skinął głową.

– A jakie mam im przekazać rozkazy, sir?

– Na razie żadnych konkretnych rozkazów. Niech czekają w gotowości do natychmiastowego startu. Skorzystaj z mojego Czerwonego Priorytetu; to powinno ich przekonać, że nie żartuję. – Zaklął i opadł na fotel operatora.

Basil Swann zamrugał za szklami okularów w rogowej oprawie i podreptał drobnymi, zgrabnymi kroczkami do konsoli głównego komputera UNACO...

Niewzruszony spokój Fairmana wyciszył wszelkie myśli o panice wśród załogi kabiny pilotów Air Force One.

– Jeśli to kawał, pułkowniku – odezwał się, cedząc słowa – to wam nogi z dupy za to powyrywam.

– To nie kawał, pułkowniku – odparł Cody. – To napad... całkiem poważnie.

Fairman popatrzył nań spokojnie, ale nie dostrzegł w oczach Jaggera ani jednej iskierki rozbawienia, ani śladu uśmiechu na ustach. Nic prócz odrażającej lufy pistoletu wtłoczonej w wygolony kark mechanika.

– Zostałeś... przekupiono cię? – spytał cichym, niedowierzającym głosem.

– Coś w tym rodzaju – burknął Jagger – ale nie przejmuj się tym za bardzo. Pamiętaj, że jestem kwalifikowanym i doświadczonym pilotem; znam każdy system alarmowy i każdy przycisk w tym samolocie. Sięgnij tylko do któregoś, a rozwalę Chuckowi łeb. I z tym też nie żartuję; małokalibrowe pociski z miękkim nosem typu dum-

dum. Jeśli strzela się nimi z takiej jak teraz, małej odległości, nie zachodzi niebezpieczeństwo uszkodzenia poszycia, nie ma mowy o dekompresji. Wszystko i wszyscy wychodzą z tego bez szwanku, a jedynym poszkodowanym jest Chuck. Zginie. Ty będziesz następny, Tom. Zachowuj się więc przyzwoicie.

Oniemiała załoga usłyszała inny głos, przesączający się do kabiny ze słuchawek Latimera.

– Kontrola lotów Neapol do Air Force One! Zgłoś swoją pozycję! Zgłoś swoją pozycję! Zrozumiałeś!

– Nie – warknął Jagger, wyciągając rękę i zrywając Latimerowi słuchawki z głowy – nie rozumiałeś, Pat. Wszyscy odłączyć się od radia. – Nikt się nie odezwał, nikt nie poruszył. Jagger jeszcze głębiej wcisnął lufę pistoletu w kark mechanika. – Odłączajcie się, chłopaki. Nie zgrywajcie bohaterów, tylko róbcie, co każę.

Niewzruszony wzrok Toma Fairmana napotkał zimne, twarde spojrzenie Jaggera. Dowódca sięgnął przed siebie i wyrwał wtyk swoich słuchawek z tablicy przyrządów. Za jego przykładem poszli machinalnie pozostali członkowie załogi...

Chociaż Fairman przeklinał początkowo plan lotu podyktowany koniecznością unikania wrażliwych przestrzeni powietrznych, to w zasadzie pozwolono mu obrać ortodoksyjną trasę „Wielkiego Koła” z Zatoki Perskiej do Szwajcarii, przebiegającą nad Arabią Saudyjską i Egiptem, wybiegającą znad Afryki nad Morze Śródziemne, by pozostawiając Sycylię po lewej, a wybrzeże Włoch po prawej stronie, przelecieć nad Genuą, a potem nad Alpami. Tak w każdym razie wyglądał oryginalny plan. Zgodnie z nim mieli do pokonania 2600 mil w czasie pięciu godzin spędzonych w powietrzu, co nie było nawet połową możliwości boeinga 707.

Gdy Jagger wchodził do kabiny pilotów, Air Force One pokonał już 1950 mil w czasie trzech godzin i czterdziestu pięciu minut i

Fairman pokazywał właśnie Feisalowi uciekające w tył wybrzuszenie Krety oraz ciągle jeszcze odległe wybrzeże Grecji.

Podobny boeing transportowy Smitha, noszący teraz barwy samolotu prezydenckiego, poderwał się z porzuconego pasa startowego, jaki zachował się z czasów wojny na wybrzeżu Jugosławii. Jego punkt docelowy – miejsce spotkania z prawdziwym Air Force One – leżał czterysta mil na południe, na 37 stopniu szerokości północnej oraz 19 stopniu i 15 minucie długości wschodniej, nad dolną częścią Morza Jońskiego. Dwa wielkie samoloty zaczynały się powoli zbliżać do siebie...

Kowalski, nawigator Air Force One, z grymasem zdziwienia na ustach studiował nowy kurs podany mu przez Jaggera.

– Patrzę, patrzę i oczom nie wierzę – mruknął pod nosem. – Gdzie my, do cholery, lecimy? I dlaczego, na miłość boską, mamy zejść z dwudziestu ośmiu tysięcy stóp na dwieście pięćdziesiąt stóp w czasie, jak rozumiem, nie dłuższym niż dziesięć minut? Od tego wszyscy porzygają się jak koty.

Jagger pochylił się do przodu i przesuwając pistolet, wymierzył go w punkt leżący gdzieś między oczyma Kowalskiego.

– A więc im szybciej się z tym uwiniesz – wyszeptał – tym krócej będą się męczyć.

Wyprostował się. Latimer zaklął bezgłośnie i z melancholijną miną zaczął przebierać palcami po przełącznikach z tablicy przyrządów dokładnie w tym samym momencie, kiedy załoga fałszywego boeinga – pierwszy i drugi pilot, najemni lotnicy prosto z Mozambiku – przystąpili do nabierania wysokości w tempie 2900 stóp na minutę.

– Powtórz swój nowy projektowany kurs – polecił Jagger i Latimer zaintonował:

– Pójdziemy kursem trzysta pięćdziesiąt stopni, zejdziemy na

dwieście pięćdziesiąt stóp. Poderwiemy się w górę pośrodku Cieśniny Otranto, kiedy pan rozkaże, sir.

Jagger zignorował ten sarkazm i skierował uwagę na rząd wyłączników łączności radiowej i pokładowych przyrządów nawigacyjnych samolotu.

– Wszystkie w położenie wyłączenia – warknął do mechanika, który zerknął pytająco na Fairmana.

Dowódca zacisnął usta i westchnął.

– On ma pistolet – powiedział – rób więc, co każe. Jagger pogratulował mu zdrowego rozsądku. Fairman spojrzał złowrogo na człowieka, który był podobno jego przyjacielem, Joe McCaffertym.

– Pokładam w Chrystusie nadzieję, że wiesz, co robisz, kolego – powiedział – bo wyłączając tę grupę pozostawiasz nas z tak samo wyrafinowanym wyposażeniem, jakim podczas swojego pierwszego lotu dysponowali bracia Wright, a nie lecieli w ciemnościach nad wodą. Równie dobrze możesz mnie poprosić, żebym od razu rozwalił to pudło o wodę.

Jagger zwrócił muszkę pistoletu na Fairmana, ale dowódca nawet nie mrugnął okiem.

– Ja nie zalewam, Mac... – dodał – i ty to wiesz, na miłość boską. Nie muszę ci tego mówić. Sam jesteś pilotem. Nie możemy pozbawiać się oczu. Nie oślepiaj nas, bo z tego nie wyjdziemy.

– A więc potrzebne ci... co ci potrzebne? – spytał Jagger, zbity nieco z tropu. Ogólnikowe wprowadzenie do podstaw pilotażu w ramach przyśpieszonego kursu, jaki przeszedł, w żadnym razie go do tego nie przygotowało; dostał od Smitha rozkaz naśladowania McCafferty'ego, a nie dorównania mu w wiedzy kumulującej się przez lata służby.

– Cholera, dobrze wiesz, co mi jest potrzebne! – wybuchnął Fairman. – Potrzebuję radiowysokościomierzy, radaru

meteorologicznego i automatycznego pilota. To pozwoli nam zaledwie – powtarzam, zaledwie – lecieć tam, gdzie chcesz, ale lądowanie bez pomocniczych urządzeń, to już inna para kaloszy – ja ci to mówię. Odetnij łączność, niech ci będzie, ale zostaw mi oczy.

Wzrok Jaggera przesuwiał się z twarzy na twarz, jak gdyby w poszukiwaniu potwierdzenia słów Fairmana. Mechanik – byli teraz wszyscy pod zaklęciem przesuwającego się pistoletu – przerwał przerzucanie w pozycje wyłączenia grupy wyłączników, które odcięłyby, jeśli nie całkowicie, to na pewno w znacznej mierze, łączność samolotu ze światem zewnętrznym. Ale teraz dokończył ich wyłączania, po czym popełnił błąd, zerkając nerwowo na metalową skrzynkę przymocowaną do ściany.

– Co tam jest? – warknął Jagger, przechwytyjąc spojrzenie mężczyzny.

– Nic takiego, jeszcze parę wyłączników – odparł mechanik tonem nieco zbyt niedbałym, by był wiarygodny.

– Otwórz to – rozkazał Jagger i mechanik zaczął szperać w torbie w poszukiwaniu śrubokręta. – Pan, pułkowniku – powiedział Cody, zwracając się do Fairmana – może sobie zachować swoje oczy, ale niech pan sprowadzi ten samolot do poziomu morza.

Fairman polecił Latimerowi, by zapalił sygnał „zapiąć pasy” w przedziale pasażerskim, po czym wyznaczył nowy kurs. Latimer potwierdził przeprowadzenie niezbędnego zestawu procedur poprzedzających manewr wytracania wysokości i autopilot wprowadził boeinga w powolny skręt w prawo, celem obrania kursu nakazanego przez Jaggera.

Cody nie spuszczał oka z Latimera, dopóki jego uwagi nie odciągnął spadający na podłogę wkręt z pokrywy tajemniczej skrzynki zamocowanej do grodzi. Mechanik zdjął pokrywę, odsłaniając jeszcze jeden zespół wyłączników.

Porywacz skinął pistoletem.

– Te też – powiedział. – Wyłącz je.

Mechanik spojrział bezradnie w stronę Fairmana, ale Jagger przybliżył pistolet na odległość niecałych sześciu cali od jego twarzy.

– Ale już! – syknął.

Mechanik posłuchał go i wyciągnął drżącą rękę. Zielona linia wyświetlana na ściennej mapie Philpotta zamigotała i znikła.

– Mój Boże, zgasła! – wykrzyknęła Sonia.

Philpott przetarł oczy i odwrócił się do swojej asystentki.

Zielony wąż wciąż trwał odcisnięty w jakiś sposób na siatkówce Philpotta. Dyrektor zamknął oczy i czoło u nasady jego nosa sfałdowało się.

– On... skręcał – powiedział powoli. – Tuż przed zniknięciem śladu samolot zdecydowanie skręcał. – Otworzył oczy i wpatrzył się w ścienną mapę, jakby pragnął doprowadzić siłą woli do ponownego pojawienia się zielonej linii znaczącej przebytą przez samolot drogę. – Skręcał o jakieś czterdzieści pięć stopni.

Od konsoli komputera dobiegł cichy, ale dziwnie pocieszający głos Swanna.

– Mogę to potwierdzić, sir. Wyglądało na to, że zmienia kurs, rezygnując z trasy wiodącej nad Morzem Śródziemnym i Morzem Tyreńskim i kierując się na Adriatyk.

– Ale dlaczego? – mruknął Philpott. – I dlaczego straciliśmy ślad? A może to jeszcze jedna „lokalna awaria”?

Zadzwoił telefon i Sonia, która stała najbliżej aparatu, podniosła słuchawkę z widełek. Przedstawiła się i słuchała przez chwilę w milczeniu, a potem zwróciła się do Philpotta:

– To generał Morwood, Malcolmie. Oni też stracili ślad.

Dyrektor zerwał się na równe nogi.

– Powiedz mu, że zaraz do niego oddzwonię – rzucił szorstko. –

Basil, te myśliwce. Powinny już od trzydziestu sekund być w powietrzu i gnać tropem Air Force One.

Swann pochylił głowę nad konsolą i rozstawił palce nad klawiszami.

– Zaczekaj! – krzyknęła w tym momencie Sonia Kolchinsky.

Philpott odwrócił się, by ujrzeć ją, jak z uniesioną ręką nasłuchuje pilnie głosu z centrum operacyjnego Morwooda. Zakryła mikrofon dłonią i powiedziała pośpiesznie:

– Morwood mówi, że radar gibraltarski melduje, iż mają wciąż – powtarzam, wciąż – ślad Air Force One. Przechwycili go na skraju swojego obszaru i są pewni identyfikacji. Nie ma w tym rejonie żadnego innego podobnego rejsu.

Dyrektor UNACO zaklął pod nosem i warknął: – Basil, rób co powiedziałem. Podrywaj te myśliwce. Nie obchodzi mnie, co twierdzi Pentagon, czy radar z Gibraltaru. Coś tu jest nie tak i to nie przez przypadek. To Smith. Ja wiem, że to Smith.

Sonia skinęła na niego ręką i pokazała znacząco na telefon.

– Generał Morwood – szepnęła oddając mu słuchawkę.

– Do stu piorunów, co tam się dzieje, Philpott? – wrzasnął Morwood. – Najpierw tracimy ślad, a zaraz potem Gibraltar informuje, że mają go całego i zdrowego. Co to, na miłość boską, znaczy?

– To znaczy, że zażądałem wysłania eskadry Orzeł z bazy w Neapolu – odparł rzeczowo Philpott. – To znaczy, że jestem przeświadczony, iż z samolotem prezydenckim stało się coś niedobrego i nie chcę ryzykować.

– Co zrobiłeś? – ryknął generał.

– To, co słyszałeś.

Cisza objęła we władanie salę operacyjną Pentagonu. Przerwał ją po chwili Morwood.

– Dobre posunięcie, Malcolmie. Sam powinienem był to zrobić. Informuj mnie na bieżąco o wszystkim. Ja też zatelefonuję, jeśli po tej stronie wyjdzie coś ważnego.

– Ale jedno mógłbyś dla mnie zrobić, George – powiedział beztrosko Philpott. – Wywołaj Air Force One poprzez bazę Andrews i każ im sprawdzić, czy na pokładzie wszystko jest w absolutnym porządku. Zażądaj od nich potwierdzenia, ale takiego bez cienia wątpliwości, że wszystko tam jest normalnie i tak, jak powinno być.

Morwood chrząknął i wydał zwięzły rozkaz adiutantowi. Fałszywy Air Force One dawno już zakończył stromą wspinaczkę i dawał na ekranie radaru gibraltarskiego ślad skutecznie imitujący lot po kursie, kiedy baza sił powietrznych Andrews nawiązała wreszcie łączność z jego pokładem nawigacyjnym. Szybkość samolotu spadła do zaledwie 150 mil na godzinę i maszyna wytracała też ukradkowo wysokość.

– Co tam się u was dzieje? – zapytała baza Andrews. – Neapol i Ateny powiedziały, że was zgubiły, a wasz własny sygnał to się pojawia, to ginie. Ślad kierowania bezwładnościowego też zanikł. Zrozumieliście?

– To chyba jakieś zakłócenia w pracy systemów po obu stronach – odparł kapitan, bardziej niż wystarczająco wiernie naśladowując manierę cedzenia słów Latimera, a sprzęt komunikacyjny przefiltrował jego głos do nierozróżnialnego metalicznego zgrzytu.

– To ty, Pat? – zapytała baza Andrews.

– A któż by inny?

– Jest tam Tom? – nie dawała za wygraną baza Andrews.

– Tu Fairman – włączył się drugi pilot. – O co wam chodzi? Trzymamy się rozkładu i przygotowujemy do lądowania w Genewie. McCafferty przesyła wam całusy. Na dzisiejszy wieczór ma chyba nagrane coś specjalnego.

Baza Andrews sondowała delikatnie dalej, próbując różnych punktów zaczepienia, ale w końcu, usatysfakcjonowana, dała spokój. Przekazali Morwoodowi pomyslnie wieści, a Morwood poinformował Philpotta, którego eskadra Orzeł znajdowała się już w powietrzu i nie było możliwości jej odwołania... nawet gdyby Philpott miał zamiar zawrócić ją do bazy, a takiego zamiaru nie miał.

Kapitan fałszywego boeinga sprawdził swój precyzyjnie wyliczony plan lotu i zasugerował drugiemu pilotowi, że chyba już czas, żeby się wynieśli. Założyli spadochrony i przeszli do wyjścia awaryjnego. Samolot leciał dalej na autopilocie, a przy znacznie zredukowanej szybkości i niewielkiej wysokości obaj mężczyźni z łatwością unikną strumienia ześlizgowego ciągnącego się za maszyną.

Kapitan nastawiał ucha czekając, aż szumy dobywające się z odbiornika radiowego przebiją umówiony sygnał. Rozległ się wreszcie. Był emitowany ze statku kołyszącego się na falach Morza Śródziemnego dwie mile pod nimi. Kapitan odwrócił się z uniesionymi w górę kciukami do swego kolegi i dołączył do niego przy drzwiach wyjściowych.

Potem sięgnął nad głowę, zsunął wieczko z czarnej plastikowej skrzyneczki połączonej przewodami ze znakiem wyjścia awaryjnego i wcisnął przełącznik.

Samolot zanurkował w ciemność, a dwaj mężczyźni wyskoczyli w wirującą bryzę...

W przedziale pasażerskim prawdziwego Air Force One Sabrina Carver dostrzegła mrugający napis „zapiąć pasy” i poczuła, jak maszyna nurkuje, przechylając się na prawe skrzydło.

– Panowie – powiedziała, potem odchrząknęła eksperymentalnie i zaczęła jeszcze raz, trochę głośniej. Głowy odwróciły się i spoczęły na niej pytające spojrzenia.

Sabrina wskazała na napis i powiedziała:

– Dowódca prosi panów o zapięcie pasów. Hemmingsway zerknął na elektryczny zegar ścienny i zwrócił uwagę, że do miejsca przeznaczenia pozostało im jeszcze prawie tysiąc mil.

– Może to jakaś mała turbulencja? – spytał szejek Dorani, Libańczyk.

– Coś w tym rodzaju – odparła Sabrina.

– Zdaje się, że schodzimy w dół – zauważył szejek Zayed Farouk Zeidan.

– Schodzimy – potwierdził jego wnuk Feisal – z szybkością pięćdziesięciu stóp na sekundę, albo coś koło tego. – Informacja ta, podana przez dwunastoletniego chłopca precyzyjną, pierwszorzędną oksfordzką angielszczyzną, zabrzmiała tak niestosownie, że Hemmingsway zaczął chichotać.

Zamilkł, kiedy Irakijczyk, szejek Arbeid, zwracając się do wszystkich obecnych po raz pierwszy, bo nie był rozmowny, powiedział:

– Ten młodzieniec ma rację. Nurkujemy.

Oczy wszystkich zwróciły się znowu na Sabrinę, która zarumieniła się i powiedziała:

– Ja... eee... spróbuję się dowiedzieć, co się dzieje. Bez wątpienia zmniejszamy po prostu wysokość, żeby przejść pod strefą jakichś zaburzeń atmosferycznych, czy czegoś takiego.

– Bez wątpienia – skomentował uprzejmie szejek Zeidan.

– Ale to mało prawdopodobne – wyrwał się Feisal.

– Dlaczego? – spytał Hemmingsway zaciekawiony i zaraz przeklął sam siebie za szukanie opinii z zakresu praktyki pilotażu u chłopaka młodszego od jego własnych dzieci, którego wiedzę na jakikolwiek temat, poza seksem i muzyką pop, można swobodnie zmieścić na odwrotnej stronie pocztowego znaczka.

– Nie musielibyśmy wtedy tak stromo nurkować – odparł Feisal – i nie wygląda na to, byśmy napotkali turbulencję czy dziurę

powietrzną. Po prostu zniżamy lot.

Hemmingsway zebrał się w sobie.

– Posłuchajcie – powiedział – pod nieobecność prezydenta Stanów Zjednoczonych ja pełnię honory waszego gospodarza na pokładzie tego samolotu i chociaż jestem pewien, że opinie naszego młodego przyjaciela są bardzo zajmujące, nie widzę żadnej przyczyny, dla której zamiast trzymać nas w niepewności, nie miano by nam powiedzieć, co właściwie zaszło. Lotniku – zwrócił się do Sabriny – zastosujemy się do poleceń dowódcy i zapniemy pasy. Wy poprosicie teraz jednego z członków załogi, żeby tu do nas przyszedł i udzielił nam stosownych wyjaśnień.

Sabrina odwróciła się, żeby wypełnić polecenie, kiedy nagle boeingiem gwałtownie szarpnęło. Szejk Dorani przytrzymał się kurczowo poręczy fotela. Doktor Ibrahim Hamady z Arabii Saudyjskiej pochylił się, by uratować filizankę ześlizgującą się ze stolika, i Sabrina usłyszała dobiegający z ogona samolotu rumor, który prawidłowo zidentyfikowała jako grzechot spadających na podłogę garnków i rondli. Na wyniosłej twarzy szejka Zeidana pojawił się wyraz pełnego niepokoju zrozumienia, gdy z fotela obok doszedł go zduszony bulgot. Pochylił się nad walczącym o oddech chłopcem, który szeroko otwartymi ustami łapał potężne hausty powietrza.

Bahrajńczyk odwrócił się do Sabriny i władczo strzelił palcami.

– Jego apteczka. Szybko, młoda damo – ponaglił ją.

Walcząc o zachowanie pionowej pozycji na przechylonej podłodze samolotu, Sabrina ruszyła w kierunku tylnej kuchenki, gdzie zostawiła neseser ze strzykawką i fiolkami insuliny.

Po drodze nie spotkała nikogo, co z powodu, którego nie potrafiła wyraźnie wyartykułować, zaniepokoiło ją bardziej niż powinno, i po chwili dotarła do kuchenki. Pchnęła energicznie drzwi i jej zdumiony

wzrok padł na ciała starszego sierżanta Pete'a Wynanskiego i lotnika Jeanie Fenstermaker...

Dwa prowadzące myśliwce eskadry Orzeł zrównały się z ciemnym, złowieszczym kształtem boeinga, biorąc go między siebie. Lider Orła wywołał samolot przez radio, ale jedyną odpowiedzią był nieprzenikniony szum zakłóceń elektrostatycznych.

– Tam się nie pali ani jedno światło – zameldował pilot drugiego myśliwca. – Widzisz coś od swojej strony?

– Nic – odpowiedział lider Orła. – Zostań trochę z tyłu, dobrze? I podejdź tak blisko, jak się da. Postaraj się coś zaobserwować, cokolwiek. Jakieś poruszenie, błysk zapałki. Poszukaj, cholera, czegoś, co przekonałoby mnie, kontrolę lotów z Neapolu i UNACO, że to nie jakieś widmo, bo na takie mi wygląda, a nie mogę składać podobnego meldunku, bo jak nic zafasowałbym od razu kartę wolnego wstępu do wariatkowa.

Drugi samolot odbił w bok i po chwili pojawił się znowu za ogonem boeinga, zrównując szybkość z tym ogromnym, szarym kształtem. Pilot, na tyle, na ile był w stanie, zbadał wzrokiem każdy cal maszyny, zwracając uwagę na zewnętrzne oznakowania i zaglądając w każde z okien ciągnących się wzdłuż kadłuba, kiedy na chwilę oblała go księżycowa poświata. Dodał trochę gazu i zajrzał jeszcze do ciemnej, pustej kabiny pilotów.

Potem zanurkował i wrócił na kurs równoległy ze swoim liderem.

– Nic – potwierdził – absolutnie jedno wielkie, tłuste zero. Nigdzie ani śladu żywego ducha. Musiało się wydarzyć coś strasznego, niewyobrażalnego. Opuścili go niedawno – załoga, pasażerowie, wszyscy.

– Pieprzysz! – skwitował jego relację lider. – Gówno prawda! – dorzucił po chwili bardziej obrazowo. – To jest Air Force One, dziecińco, a nie jakiś Latający Holender, ani żadna „Marie Celeste”.

Załoga Air Force One nie wyrzuca tak po prostu pasażerów za burtę i nie wyskakuje za nimi na spadochronach z maszyny, która, jak wszystko na to wskazuje, kontynuuje lot idealnie normalnie. Pewny jesteś, że czegoś nie pominąłeś, że czegoś nie przeoczyłeś? To mogło się wydawać mało ważne, ale może nam dać jakiś punkt zaczepienia, którego szukamy.

Przez chwilę trwała cisza, nie licząc trzasków zakłóceń elektrostatycznych, potem rozległ się ponownie niepewny i zmieszany głos drugiego pilota.

– Było coś takiego, taak... widzisz, to nie wyglądało tak całkiem, jak by to powiedzieć, prawidłowo, koszernie. Wydawało mi się, że dostrzegam po prostu pewne rzeczy, ale tak, jakbym ich jednocześnie nie dostrzegał.

– Co to było? – podniecił się lider Orła. – Gadaj, na miłość boską!

– No więc, to...

Niebo rozświetlił oślepiający błysk i pożoga pomarańczowego światła, przechodzącego powoli w karmazyn z odcieniami ognistej żółci. Fala uderzeniowa dosięgła myśliwce na ułamek sekundy przed potężną eksplozją dźwięku, która poraziła obu pilotom uszy. Dwa małe samoloty podskoczyły, przemknęły poprzez skłębione chmury dymu i z wizgiem weszły w ostre wiraże, jeden w prawo, drugi w lewo, by, zatoczywszy ciasne kręgi, powrócić po chwili w to samo miejsce i zanurkować za wrakiem boeinga, walącym się w dół z nocnego nieba.

Myśliwce odprowadziły płonący cygarowaty kadłub boeinga, oświetlany teraz ponurym blaskiem, aż do spotkania z powierzchnią morza. Lider Orła przesłał paniczny meldunek do bazy w Neapolu, gdzie odebrano go z nie dającym się opisać przerażeniem.

– Zestrzelony? – pytał zdjęty trwogą Neapol.

– Nie! – ryknął lider Orła – nie zestrzelony. Po prostu eksplodował.

Nie było żadnego pocisku. To musiała być bomba. Bomba podłożona w pustym samolocie.

- Pustym? – zdumiał się Neapol.
- Właśnie. Pustym i pogrążonym w zupełnych ciemnościach.
- I to był Air Force One? – naciskał Neapol.
- Tak.
- Jesteś pewien?
- Tak.
- Nie.

Po stronie Neapolu zapadła cisza. Potem roboci głos zapytał:

- Kto to powiedział?
- Orzeł Dwa – zidentyfikował się pilot drugiego myśliwca.
- I mówisz... – pytanie kontrolera zawisło w powietrzu nie dopowiedziane.

– Mówię, że nie wydaje mi się, żeby to był Air Force One – wpadł mu w słowo lotnik.

Tym razem Neapol zwlekał dłużej z przerwaniem milczenia i pilot USAF podjął:

- Najpierw parę informacji. Jakiego rodzaju właz główny, no wiecie, drzwi, ma Air Force One?
- Jakiego rodzaju drzwi? – powtórzył za nim Neapol, nie kryjąc zakłopotania. – O ile wiemy, zwyczajne.
- Szerokie na, powiedzmy, cztery stopy?

Po stronie Neapolu zapadło teraz pracowite milczenie, pełne wyczuwalnej niemal namacalnie, gorączkowej krzątaniny. Potem kontroler odezwał się znowu:

- Mamy przed sobą dane techniczne tego boeinga. Miał właz o standardowych wymiarach, przystosowany dla pasażerów średniego wzrostu i wagi. Czemu pytasz, Orzeł Dwa?
- Bo ten ptaszek takiego nie miał – wyrzucił z siebie tryumfalnie

pilot myśliwca. – Przyjrzałem mu się w powietrzu, kiedy jeszcze leciał normalnie, a potem jeszcze raz, kiedy spadał. Drzwi tego Air Force One mierzyły sobie dobre siedem stóp szerokości.

– A więc to był... – zaczął lider Orła.

– A więc to nie mógł być... – wtrąciła się kontrola lotów z Neapolu.

– Nie – odparł Orzeł Dwa – to nie był stratoliniowiec VC-137C, ani żaden inny typ pasażerskiego boeinga 707-320B. Według mnie była to jakaś stara maszyna transportowa podretuszowana tak, żeby wyglądała jak Air Force One...

– Według mnie, też – mruknął Malcolm Philpott, który przysłuchiwał się uważnie tej trójstronnej konwersacji. – I co więcej, wiem, kto to zrobił.

Do gabinetu wpadła Sonia Kolchinsky z ożywioną napięciem i niepokojem twarzą.

– To prawda? – zapytała zdyszana. – Generał Morwood mówi, że Air Force One został zestrzelony albo padł ofiarą zamachu bombowego. To prawda?

Philpott odwrócił się do niej wraz z fotelem i zachichotał.

– O tak, prawda, mój pieścioszku. Ale przekaz generałowi Morwoodowi, żeby nie brał sobie tego do serca: mamy jeszcze jednego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zaraz na prawo od pasa startowego, tam gdzie ten kończył się stromym urwiskiem, nad szczątkami betonowego bunkra rysowały się na tle nocnego nieba rozsypujące się pozostałości ruin z czasów wojny. Celem zaznaczenia granicy nadającego się do użytku odcinka pasa, na samym jego krańcu usypano ziemne wały, ale byłyby one przerażająco nieskuteczne w spotkaniu z masą uderzającego w nie odrzutowca.

Wzdłuż całej długości pasa ciągnęły się dwa równoległe rzędy skwierczących głośno lamp parafinowych; ich płomienie kołysały się to przygasając, to buchając silniejszym światłem. Cała bateria takich samych lamp znaczyła koniec pasa, nie dało się jednak ukryć, że pas startowy Kosgo przygotowany przez Smitha nie był przystosowany do przyjęcia boeinga 707.

Smith, oparty wygodnie o niski betonowy murek, kierował rozmieszczaniem komitetu powitalnego w sile czterdziestu chłopów – wszyscy w mundurach polowych, wszyscy uzbrojeni po zęby.

– Po co tu przyjechaliśmy? – spytała dziewczyna. Jej rusałkowata twarz wyzierała spod kaptura sobolego futra; dłonie ukryła w dopasowanej do futra mufce, a na nogach miała botki z szarej skóry, oblamowane sobolim futerkiem.

– Czekamy – odparł Smith w języku serbsko-chorwackim.

– Na co?

Smith położył palec na jej ustach.

– Sza, maleńka. – Popatrzył w niebo, a ona poszła za jego przykładem.

Przez grubą powłokę nisko wiszących chmur przedarł się ledwie

słyszalny na wietrze, gardłowy pomruk odrzutowego silnika kojarzący się z pracującą na jałowym biegu piłą taśmową. Smith przesunął palcami po wargach dziewczyny, a ona polizała koniuszek każdego z nich.

– Ile ma? – spytał schrypniętym głosem Fairman.

– Niecałe pięć tysięcy stóp – przyznał Jagger.

– Niecałe?

– Mhm. Pas zbudowano dla odrzutowców, ale niezbyt dużych.

– To niemożliwe – zaprotestował Fairman.

Jagger potrząsnął głową.

– Ach, te zacofane poglądy na temat sztuki pilotażu, Tom. Ale pamiętaj o parowie na końcu.

– O parowie!

– Tak. Ten pas, jak by to powiedzieć, urywa się nagle. Jest tam dosyć głęboko.

– Jezu Chryste.

Jagger uśmiechnął się.

– Może paciorek pomoże...

Kowalski poinformował, że po lewej stronie pojawiła się jakaś wyspa.

– Nam to mówisz? – burknął opryskliwie Latimer. – Ty jesteś nawigatorem. Co to jest?

Kowalski wyjaśnił, że jeśli trzymają się na kursie, to byłaby to wyspa Vis.

– A ty widzisz jeszcze jakieś? – spytał Latimera.

– Z której strony?

– Z prawej.

Latimer wbił wzrok w czerń i odróżnił w niej dwa zarysy majaczące po prawej stronie. Przekazał swoje obserwacje nawigatorowi.

– Zgadza się – powiedział Kowalski – pierwsza to Hvar, a druga Bra. Teraz prosto jak strzelił, aż do brzegu.

– Fajnie, dzięki – powiedział Fairman.

Dowódca zwrócił się do Jaggera, żądając podania bliższych szczegółów na temat lądowiska. Dubler powiedział mu, że sam pas oznakowany będzie parafinowymi flarami. Fairmanowi opadła szczęka.

– Powiedziałaś, parafinowymi?

– Tak. Są bardzo skuteczne podczas mgły.

– Ale nie ma mgły – wtrącił Latimer.

– Nie radziłbym się o to zakładać – odparł Jagger. – Pogodę mają tutaj zupełnie zwariowaną.

– Mów dalej – westchnął Fairman.

Jagger uśmiechnął się i zapewnił dowódcę, że najgorszego już się dowiedział.

– To był ten prymitywny aspekt – dodał. – Poza tym są całkiem niezłe wyposażeni. Mają tam transponder pracujący na częstotliwości waszego radaru, będziecie więc mogli precyzyjnie określić swoją pozycję. Mają też nadajnik VHF – naturalnie, zasilany z baterii – i wykorzystają go do informowania was na bieżąco o warunkach panujących na ziemi.

– A zatem nie posługują się językiem starożytnego Sumeru ani chrząkanym narzeczem z epoki kamiennej, tylko mówią po angielsku? – zauważył zgryźliwie Fairman.

– Jeden z nich prawie na pewno włada wszystkimi trzema.

Latimer spytał czy, zakładając, iż są już prawie na miejscu, można znowu włączyć nadajnik VHF samolotu, celem dostrojenia go do właściwej częstotliwości.

– Jasne, Pat – odparł Jagger – możesz włączyć radio, ale ja je dostroję. Im mniej wiesz, tym lepiej.

Przyciskając słuchawki wolną ręką do ucha, Jagger ustawił częstotliwość 118,1 megaherca i nawiązał łączność z bazą Kosgo. Podał komunikator Fairmanowi. Dowódca usłyszał głos recytujący precyzyjną i kulturalną angielszczyznę wszystkie interesujące go szczegóły: usytuowanie pasa względem stron świata, wskazania ciśnienia atmosferycznego na poziomie lądowiska oraz szybkość i kierunek wiatru.

– Proszę zgłosić się ponownie – dodał Smith – kiedy na ekranie pojawi się znacznik transpondera wskazujący dokładne położenie lądowiska.

Fairman chrząknął i oddał słuchawki Jaggerowi, który odmeldował się.

– Humorek się poprawił? – spytał dubler.

Fairman zignorował go i zwrócił się do Latimera:

– Zejdziemy niżej i wytracimy szybkość. Kiedy pojawi się znacznik, przejmę stery i spróbuję podejść przy mniej więcej stu dziesięciu węzłach. Potem przejdziemy na lot bezwładny i z powrotem na sterowanie ręczne, jeśli – albo, mam nadzieję, kiedy – zobaczymy światła.

Boeing przeleciał na wysokości 250 stóp i, ku niezmiernej satysfakcji Kowalskiego, prosto jak po sznurku pokonał jeszcze dwadzieścia pięć mil, zanim na ekranie radaru meteorologicznego rozjarzyła się zielona plamka.

– Powiedz swoim kumplom, że mamy ich na wizji – polecił Fairman Jaggerowi, podświadomie traktując go jak członka normalnej obsady Air Force One. Kiedy Jagger przekazał tę informację na ziemię, Fairman, nie odwracając się, by spojrzeć na dublera, dodał: – Jeśli wiesz, co robisz, to przez następne dziesięć, piętnaście minut lepiej nie przeszkadzaj.

Samolotem rzuciło i Jagger przytrzymał się oparcia fotela

Fairmana, przysuwając wylot lufy pistoletu tak blisko karku dowódcy, że porastające go krótkie włoski uniosły się samorzutnie, chociaż metal ich nie dotknął.

– Słuchaj, Tom – wymruczał Jagger – jeśli nie wylądujesz tym samolotem, ja to zrobię.

– O, tak – odezwał się Latimer – chciałbym to widzieć.

– Ale byś nie zobaczył, Pat, i w tym rzecz – odparował bez namysłu Jagger. – Wszyscy bylibyście już martwi.

Załoga zamilkła i skoncentrowała się na nieco zbyt skrupulatnym wypełnianiu swoich obowiązków. Jagger wyrębał im swój punkt widzenia prosto z mostu i żaden z nich nie wątpił, że mówi serio...

Sabrina zamknęła drzwi kuchenki. Dobrze chociaż, że Wynanski i Jeanie żyli, oceniała jednak, że jeszcze przez jakiś czas nie odzyskają przytomności. Ale kto to zrobił? I dlaczego? I jak miała w tej sytuacji postąpić?

Czepiając się wszystkiego – ścian, mebli – co tylko nawinęło się pod rękę, dobrnęła wreszcie z neseserkiem z wytłaczanej skóry zawierającym zestaw pierwszej pomocy medycznej z powrotem do przedziału pasażerskiego. Doktor Hamady, który odpiął swój pas bezpieczeństwa i przykucnął zatroskany przy kalekim Zeidanie i jego wnuku, podskoczył, by jej pomóc, kiedy straciła równowagę i wpadła na stolik. Trwali przez chwilę ze stopami wrośniętymi w ziemię, dopóki Hamady nie zauważył, że nie muszą już balansować ciałem, by skompensować przechył samolotu.

Sabrina wyprostowała się i odetchnęła z ulgą.

– No i przestaliśmy nurkować – odezwał się ze swojego fotela Dorani.

Szejk Arbeid, małomówny Irakijczyk, odstawił filiżankę na lśniący blat stolika. Drżała lekko grzechocząc, ale nie przesuwiała się. Arbeid chrząknął potwierdzająco.

Sabrina podbiegła do szejka Zeidana i łagodnie wyzwoliła z jego objęć chłopca, który tracił już przytomność. Poluzowała Feisalowi pas bezpieczeństwa i rozpięła mu spodnie nieskazitelnie szarego garnituru. Zeidan przytrzymał się lewą ręką poręczy fotela na kółkach, a drugą położył sobie na kolanach nogi chłopca, wyciągając go na całą długość. Sabrina zsunęła chłopcu spodnie i majtki, po czym napięła i przemyła wacikiem skrawek skóry małego jędrnego pośladka i wstrzyknęła odmierzoną dawkę insuliny.

Feisal prawie natychmiast przestał majaczyć, a jego oddech uspokoił się. Zeidan ostrożnie otarł kropelki potu z czoła wnuka i szepnął po arabsku:

– Śpij, mój klejnocie, mój księciu.

Wszyscy ministrowie krajów OPEC i ich asystenci zajęli z powrotem swoje miejsca, a Hamady, który czekał kurtuazyjnie, aż zabieg medyczny dobiegnie końca, zmierzył Hawleya Hemmingswaya wściekłym spojrzeniem.

– Jakiś czas temu wspominał pan, panie ministrze – powiedział – że postara się wyjaśnić przyczynę, dla której narażono nas na tak poważne niebezpieczeństwo, nie mówiąc już o niewygodach. Jeśli nie akceptuje pan stwierdzenia, że wystawieni zostaliśmy na niebezpieczeństwo, to zwracam pańską uwagę na fakt, że wnukowi Jego Ekscelencji szejka Zeidana nadal grozi nawrót poważnej choroby. Wydaje mi się, że jest nam pan winien przeprosiny i pełne wyjaśnienie incydentu. Upoważniony jestem do przemawiania tylko w imieniu monarchy i rządu Arabii Saudyjskiej, ale ze swojej strony zapewniam pana, że nie czujemy się skłonni do przyjęcia jakichkolwiek przeprosin ani wyjaśnień, o ile nie będą one całkowicie satysfakcjonujące i sytuacja nie powróci natychmiast do normy. Co zaś do umowy naftowej, w imię której przeżyliśmy to upokarzające doświadczenie... no cóż, pozostawiam to pańskiej

wyobraźni, panie Hemmingsway.

Amerykański sekretarz do spraw energetyki siedział ogłuszony i nie odzywał się. Po chwili westchnął i powoli pokiwał głową.

– Prawdę mówiąc, doktorze Hamady, panowie – zwrócił się do obecnych – tak samo jak wy, nie mam pojęcia, co się dzieje. Proponuję zaraz to wyjaśnić.

Wstał z fotela i jego wzrok napotkał oczy Sabriny Carver. Wyczytał z nich wyraźne ostrzeżenie o niebezpieczeństwie, przeznaczone w tym momencie wyłącznie dla niego, chociaż czujny jak zawsze szejk Zeidan przechwycił tę wymianę spojrzeń.

– Proszę za mną, młoda damo – warknął Hemmingsway i ruszył przodem w kierunku pokładu nawigacyjnego...

– Chyba widzę przed nami jakieś światła! – wykrzyknął Latimer.

– To światła nabrzeżne – nie podchwycił jego entuzjazmu Kowalski. – Zbliżamy się właśnie do lądu. To może być cokolwiek.

Dowódca polecił wychylić kłapy i Latimer sięgnął do dźwigni usytuowanej pośrodku konsoli. Skutek wykonywanych przezeń czynności rejestrowały wskaźniki położenia po prawej stronie tablicy przyrządów, obserwowane przez Fairmana i Kowalskiego – oraz, przede wszystkim, przez Jaggera.

Szybkość samolotu spadła gwałtownie, a Fairman polecił dalszą jej redukcję. Potem kazał wysunąć podwozie. Latimer wykonał rozkaz jak automat; na jego przystojnej twarzy odbijały się napięcie i stres. Odległy rumor dochodzący spod samolotu zasygnalizował wysuwanie się podwozia. Wraz z lekkim tąpnięciem towarzyszącym zawsze ostatecznemu zablokowaniu goleni podwozia, ze zgrzytliwym drganiem przenoszącym się poprzez podłogę do podeszew stóp Jaggera, nad dźwignią, po stronie Latimera, zamrugały w kabinie pilotów trzy zielone lampki.

Boeing leciał nadal na autopilocie, ale jak wszystkie samoloty

zbliżające się do swej znamionowej prędkości przeciągnięcia, wykazywał teraz tendencję do gwałtownych zrywów i podskoków. Wiry, prądy powietrzne i ruchome masy nagrzanego powietrza unoszące się z powierzchni morza i z mrowia małych wysepek nie sprzyjały stabilizacji jego lotu...

Zamknawszy za sobą dokładnie drzwi przedziału pasażerskiego, Hemmingsway złapał Sabrinę za ramię i wyszeptał chrapliwie:

– Co tu się, u diabła, dzieje, lotniku? Wiecie coś o tym, prawda? No, mówcie!

Sabrina wyszarpnęła rękę.

– To boli, sir – powiedziała. – Nie musi pan tego robić. Powiem panu, co wiem, i od razu pana ostrzegę: jest bardzo źle.

Barwa odpłynęła z dużej, rumianej twarzy Hemmingswaya, gdy Sabrina opowiedziała mu o scenie, jaką zastała w tylnej kuchence. Zamierzał coś powiedzieć, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

– Jeśli usiłuje mnie pan spytać, czy zostaliśmy uprowadzeni, sir – wyręczyła go Sabrina – to odpowiedź brzmi: tak, sądzę, że to porwanie. Cokolwiek się z nami dzieje, jest to sterowane z pokładu nawigacyjnego, na który, jestem tego pewna, nie zostaniemy wpuszczeni. Ale wydaje mi się, że istnieje sposób zdobycia lepszego dowodu, który powinien przekonać wszystkich z przedziału pasażerskiego.

Podeszła pierwsza do drzwi kabiny wypoczynkowej i pchnęła je. Ustąpiły na nie więcej niż dwa cale w głąb pomieszczenia i zatrzymały się na jakiejś przeszkodzie. Hemmingsway wspomógł Sabrinę swoim ciężarem i ciało leżącego na podłodze mechanika przetoczyło się po wykładzinie dywanowej, by złożyć się w pół na nóżce stolika do gry w karty.

Usta Sabrinę zacisnęły się w ponurą linię.

– Tego właśnie najbardziej się obawiałam – powiedziała wskazując na jednego z nieprzytomnych mężczyzn.

– Kto to? – spytał Hemmingsway.

– Agent specjalny, Bert Cooligan. Zabrano mu pistolet – odparła.

– I co to oznacza?

– To oznacza – powiedziała Sabrina – że szef ochrony, pułkownik McCafferty, musi się znajdować tam na górze... – wskazała ruchem głowy na przód samolotu -...i jest zamknięty razem z resztą załogi pokładu nawigacyjnego. Nie mamy nikogo, kto może przyjść nam z pomocą.

Hemmingsway spojrzał przenikliwie w jej oczy.

– Podejrzewam, że nawet, pani moja droga, bo nie jest pani wcale zwykłą stewardesą, prawda?

– Nie, nie jestem – odparła z uśmiechem Sabrina – ale podobnie jak Joe McCafferty, stoję po waszej stronie. Kłopot w tym, że nie jestem uzbrojona, tak więc wracamy do punktu wyjścia.

Wysoka postać Hemmingswaya przygarbiła się, gdy dyplomata uświadomił sobie grozę położenia, ale, choć z wyraźnym wysiłkiem, wziął się zaraz w garść.

– Nie pozostanę wobec tego biernym, lotniku – warknął. – Idę natychmiast na przód samolotu. Dowiem się, kto nas porwał, dlaczego i gdzie nas zabierają.

– Nie radziłabym tego robić, sir – odparła z troską Sabrina. Hemmingsway zmierzył ją pałającym, ale kontrolowanym spojrzeniem.

– W obecnych okolicznościach, lotniku – ciągnął – jest to mój samolot, odpowiadam za niego i na mnie spoczywa obowiązek zareagowania w jakiś sposób na to, co się dzieje. A ja nigdy nie uchylam się od odpowiedzialności.

Wyszedł zdecydowanym krokiem z kabiny wypoczynkowej i

zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi na pokład nawigacyjny. Sabrina przystanęła obok. Hemmingsway podniósł rękę, żeby zapukać w zamknięte drzwi, ale w tym momencie za ich plecami rozległ się ostry, rozkazujący głos.

– Nie ruszać się – powiedział Ahmed Fayed. Odwrócili się i zobaczyli pistolet wymierzony w lewą klapę żakietu Sabriny. Ahmed cofnął się o krok i skinął na nich, żeby uczynili to samo. Hemmingsway otworzył drzwi do przedziału pasażerskiego, przepuścił Sabrinę przed sobą i wpadł tam zaraz za nią, pchnięty brutalnie, w ramię przez Araba.

Potknął się o stolik i rozciągnął jak długi na podłodze uderzając głową o stopień fotela na kółkach Zeidana.

Przenikliwy wzrok szejka spoczął na twarzy swego asystenta.

– Co ma znaczyć ta przemoc, Ahmedzie? – spytał.

Fayed wyprostował się i wycedził:

– Przecież to nietrudno odgadnąć, kuzynie. Ten samolot oddany został pod moje rozkazy i leci teraz do miejsca wyznaczonego przeze mnie i przez moich przyjaciół.

– A co się stanie potem? – zapytał Dorani zachowując, podobnie jak pozostali Arabowie, niezmałony spokój.

– Dowiedcie się tego w stosownym czasie – oświadczył Ahmed. – Na razie jesteście moimi więźniami. Pozostańcie na swoich miejscach i zapnijcie pasy.

Hemmingsway podźwignął się na nogi, dysząc niemal tak samo ciężko, jak kilka chwil temu Feisal.

– To ci się nie uda, sukinsynu – syknął. – Ten samolot należy do prezy...

– Wiem – przerwał mu Ahmed – do kogo należy ten samolot. Dlatego właśnie go porwaliśmy. A poza tym pan się myli, panie Hemmingsway. Nam już się udało. Nie jesteście w stanie

przeszkodzić nam w osiągnięciu naszego celu, a wasi ludzie w Waszyngtonie i wasi, i wasi... – zatoczył ręką po kabinie –...nie wiedzą, co się właściwie dzieje, a nawet gdyby się dowiedzieli, nie uwierzyliby.

– Dlaczego nie? – zainteresował się Zeidan.

– Bo myślą, że nie żyjecie – odparł Ahmed.

Sabrina zbladła i przytrzymała się oparcia fotela Arbeida.

– Twoje usługi w charakterze stewardesy – zwrócił się do niej Ahmed – nie będą już potrzebne, a działalność jako tajnej agentki została zneutralizowana. Siadaj z resztą i zapnij pas.

Sabrina posłuchała zupełnie oszołomiona. Spełniły się najgorsze obawy Philpotta: zamach na samolot prezydencki dokonany został w powietrzu.

Przypomniały się jej jego słowa: „Jeśli do tego dojdzie, nikt nie będzie w stanie wam pomóc. Będziecie zdani na samych siebie...”

Fairman pocił się i wiedział, że Latimer to zauważył. Dowódca stwierdzał, że trudno jest trzymać ręce i stopy lekko na sterach i nie robiąc nic ponadto, naśladować ich ruchy wykonywane pod dyktando impulsów wysyłanych z komputerowego mózgu, faktycznie kierującego teraz lotem maszyny. Mrugając powiekami, wpatrywał się w szybkościomierz, którego wskazanie ustaliło się zdecydowanie na stu dziesięciu węzłach.

– Przypuszczam, że jeszcze około trzech mil – odezwał się Latimer. – Widzisz coś?

– Zupełnie nic – odparł Fairman. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przerwał mu Jagger.

– Tam! – wrzasnął Cody wskazując przed siebie. Wytężyli oczy usiłując przebić się wzrokiem przez pochmurną noc i ujrzeli słabe światełko sygnalizacyjne majaczące w niewielkiej odległości przed nosem maszyny.

– Wskazanie wysokościomierza – warknął Fairman.

– Jeden-zero-zero-dziewięć – pospieszył z informacją Jagger. – Wiatr, trzy-siedem-zero stopni przy jeden-sześć.

– Dokładnie w nos, dziecino – ciągnął Fairman. – OK, przejmuję stery. – Z tymi słowami przerzucił przełącznik po lewej stronie swojej kolumny sterowej wyłączając automatyczny system kierowania lotem i przechodząc na ręczne pilotowanie boeinga.

Samolot zadygotał, wpadając w strefę turbulencji, i przechylił się gwałtownie na prawe skrzydło. Fairman niemal, instynktownie wyrównał lot. W zasięgu wzroku pojawił się pas startowy oznakowany migotliwymi punkcikami parafinowych lamp. Fairman przesunął w przód ręce, rozpoczynając fazę lądowania.

Nie zważając na to, czy ktoś go słyszy, czy nie, mruzczał do siebie, że ma takie wrażenie, jakby znalazł się z powrotem w szkole pilotażu. Kiedy koniec pasa zsuwa się w dół po przedniej szybie, znaczy to, że jesteś za wysoko. Kiedy sunie w górę, jesteś o wiele za nisko. Jak na razie utrzymywał się stabilnie na jej środku i Fairman miał nadzieję, że tam pozostanie.

Było to długie, niebezpiecznie powolne schodzenie. Air Force One wystrzelił wiązkami światła reflektorów pokładowych i stutonowa masa podążała teraz za bliźniaczymi promieniami sunącymi po wyboistym szlaku pomiędzy szpalerem dymiących lamp parafinowych.

Fairman zakończył nalot i wielki srebrny samolot przypadł z przeraźliwym piskiem opon do nawierzchni pasa. Dowódca ścisnął dłońmi o pobielających knykciach kolumnę sterową i usiłował nad nią zapanować.

– Ciąg hamujący! – wrzasnął. Latimer wykonał polecenie. Wraz z odwróceniem ciągu o sile sześćdziesięciu sześciu tysięcy funtów, celem szybkiego wyhamowania maszyny na absurdalnie krótkim

pasie, ryk odrzutowych silników narastał z rozdzierającym uszy grzmiotem.

Air Force One zatrząsł się i zatrzeszczał, a jego szybkość spadła drastycznie. Siła bezwładności rzuciła pasażerów na przytrzymujące ich pasy bezpieczeństwa. Naczynia, rzeczy osobiste, teczki z dokumentami, wszystko to sfrunęło ze stolików i pomknęło na spotkanie z przednią grodzią.

Ręka dziewczyny stojącej obok Smitha przy pasie startowym poderwała się do ust i stłumiła okrzyk przerażenia na widok walącego wprost na nich ogromnego kształtu. Przywarła do ramienia Smitha, a on pozwolił się odciągnąć za niski murek, jak gdyby ten zapewniał jakąś ochronę przed rozpędzonym odrzutowcem.

Fairman obserwował podpełzający coraz to bliżej i bliżej błądy, rozedrgany rząd świateł na końcu pasa. Potem nagle w przedniej szybie pozostała tylko czern.

Latimer, Kowalski i Jagger czepiali się kurczowo czegokolwiek, co się tylko nie ruszało, a boeing z piskiem dymiących opon wszedł w ostry wiraż w prawo. Zatrzymał się wreszcie pod kątem prostym do urwiska, z lewym skrzydłem zawieszonym nad głęboką blizną rozpadliny.

Latimer oblizwał spierzchnięte usta.

– O włos – wydusił z siebie.

– Wyłączyć silniki – sapnął Fairman. Pilot przerzucił kilka przełączników i wycie ścichło.

– Znakomicie – wymruczał Smith. – Widzisz, moja śliczna Branko – zwrócił się do dziewczyny – w trudnych chwilach możesz zawsze polegać na siłach powietrznych Stanów Zjednoczonych.

– Dwa Air Force One? – nie mógł zrozumieć Morwood. Philpott wyjaśnił to szczegółowo: jeden został porwany i zmienił kurs, drugi zajął jego miejsce przed ponownym podjęciem tropu przez radar. Od

tej pory było go widać, jak leci właściwym kursem, na właściwej wysokości, a załoga opuściła go we właściwym czasie, prawdopodobnie wtedy, kiedy jakiś statek mający ich wziąć na pokład nadał umówiony sygnał. Bomba podłożona w samolocie miała wpędzić Pentagon i UNACO w kompletną konfuzję, podczas gdy prawdziwy Air Force One został uprowadzony.

– Na przykład dokąd? – chciał wiedzieć Morwood.

Philpott wysunął przypuszczenie, że sądząc z kąta skrętu w momencie zniknięcia śladu generowanego przez system kierowania bezwładnościowego maszyny, powinna być to Grecja albo Jugosławia.

– Nie można dokładniej? – naciskał Morwood.

– Jeśli chcesz, żebym zgadywał – odparł Philpott – to postawiłbym na Jugosławię. Zakładając, że to robota Smitha i że korzysta z czyjejs pomocy, co, jak sądzę, może mieć miejsce, to będzie to Jugosławia, bo z terytorium Grecji nie mógłby operować z całkowitą swobodą ani on, ani jego sprzymierzeńcy, o pozyskanie których go podejrzewam.

– To znaczy?

– KGB.

Morwood przetrawił tę informację i kusiło go, by ją, mówiąc metaforycznie, wypluć, jako niejadalną. Philpott przerwał zapadłą nagle ciszę, by wypełnić obraz Smitha, którego zarysy tworzyły się już w przenikliwym umyśle generała. Katalog znanych dotychczasowych przestępstw Smitha przeciwko ludzkości, przeciwko systemom i konwencjom społecznym, przeciwko ustalonemu porządkowi i bezpieczeństwu, przekonał w końcu Pentagon, że Smith naprawdę musi być tym człowiekiem, który stoi za uprowadzeniem prezydenckiego samolotu. I skoro Philpott twierdzi, że ten kryminalista musi korzystać z sowieckiej pomocy, Morwood

akceptuje to jako hipotezę roboczą.

– To jednak komplikuje nam sprawę, Malcolmie – dodał.

– Mam tego świadomość – przyznał Philpott. – Nie ma mowy, aby Stany Zjednoczone mogły działać oficjalnie w jakiegokolwiek roli na terenie Jugosławii. Z Grecją taki numer może by i przeszedł, ale nie z Jugosławią. Przyjmuję to do wiadomości. Przyjmuję również do wiadomości nie dopowiedziane następstwo tego, co tu zostało powiedziane: to działka UNACO. Nie może być niczyja inna.

Morwood zachichotał sucho. Tak więc Ameryka była przynajmniej raz poza linią autową, a opozycja wyprzedziła UNACO już na starcie.

– Jak to? – spytał Philpott.

Chichot Morwooda przeszedł w głośny rechot.

– Nie widziałeś ostatniej taśmy z ONZ? Odbywa się tam zwołana w trybie pilnym debata na temat tego domniemanego porwania i Rosjanie już wychodzą ze skóry, żeby wam namieszać, wspinając się na wyżyny swojej sztuki intryganctwa, która, zapewniam cię, jest doprowadzona do perfekcji. Znalazłeś się praktycznie na straconej pozycji, zanim jeszcze oddałeś pierwsze strzały, stary. Zobaczymy, jak się z tego wykaraskasz.

Philpott przeklął własną beztroskę, przez którą spuścił z czujnego oka swoich pracodawców, i polecił Swannowi, by postarał się o telewizyjny przekaz z sali Zgromadzenia Ogólnego. Szybko stało się oczywiste, że Morwood nie docenił powagi położenia UNACO.

Arabia Saudyjska, idąc w ślady Iraku, Bahrajnu, Iranu i wszelkiej innej kombinacji urażonych w swej godności krajów OPEC atakowała przede wszystkim Amerykanów, a potem UNACO za dopuszczenie do erupcji terroryzmu pod ich samymi nosami w osobistym i rzekomo ultrabezpiecznym samolocie prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Czy życie naszych czołowych obywateli ma tak małą wartość dla

naszych rzekomych sprzymierzeńców, że są niezdolni do zapewnienia im bezpieczeństwa na czas pięciogodzinnej podróży samolotem? – grzmiała Libia.

– Nigdy dotąd imperialistyczni bandyci zachodniego świata nie zmanifestowali w tak otwarty i brutalny sposób swej pogardy dla sług Islamu – wtórował jej Iran. – Czyż jesteśmy takim pyłem pod ich stopami, że można nas spętać i oddać w łapy pierwszego kryminalnego psa, jaki się pojawi, wyszczekującego żądania swych panów i napychającego kieszenie okupem, do obowiązku uiszczenia którego Amerykanie się wyraźnie nie poczuwają?

Philpott mrugał powiekami przed telewizyjnymi monitorami wiedząc, że najgorsze jeszcze nie nadeszło.

– A ten błądy lokaj Stanów Zjednoczonych, ta UNACO... – (ambasador Bahrajnu wymówił ten skrót z tak miażdżącą pogardą, że Philpott nabrał obawy, iż stopią się litery na drzwiach jego gabinetu) – ten kryptokapitalistyczny wrzód na ciele ONZ, któremu płacimy pobory, którego personel utrzymujemy w sybaryckiej beczynności, który, co tu ukrywać, wziął na siebie odpowiedzialność za zapewnienie bezpieczeństwa tego lotu... czy jest zbyt obelżywą sugestią, że drzwi może pozostawiono otworem dla tego podniebnego rozbójnika, że były smarowane dłonie, korumpowane dusze, że Malcolm Gregory Philpott, obrońca naszych swobód, filar międzynarodowej prawości, dzielny orędownik uciśnionych i pogromca zbrodniarzy... czy tak trudno sobie wyobrazić, że sam Philpott mógł maczać palce w tym podłym i tchórzliwym akcie przemocy?

Philpott sięgnął do wyłącznika i zanim obraz znikł z ekranu monitora, zdążył jeszcze zobaczyć, jak rosyjska delegacja rozplata założone ręce i wali nimi w stół z cyniczną aprobatą...

Partyzanci Smitha podczepili ciągnik do Air Force One i wciągnęli

maszynę pod osłonę zrujnowanego, ale przestronnego hangaru. Tam pracowity mały dźwig pokrył każdy widoczny cal boeinga brezentowymi płachtami, pozostawiając odsłonięty tylko wąż główny. Podtoczono pod niego schodki i Ahmed Fayed otworzył drzwi. Do hangaru wszedł sztywnym krokiem Smith i przystanął przy schodkach, postukując srebrną gałką hebanowej laski w obleczonej w rękawiczkę dłoń. Otaczali go smagli żołnierze z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi.

Ahmed wyszedł pierwszy i przystanął obok Smitha, uśmiechając się szeroko i po kowbojsku obracając pistolet na palcu. Smith nie odezwał się, tylko wyciągnął rękę i położył dłoń na lewym ramieniu młodego Araba w nieomylnym geście pochwały i braterstwa.

Jeńcy i członkowie załogi schodzili po schodkach o własnych siłach lub byli z nich znoszeni. Za ministrami krajów OPEC postępował Hemmingsway, a za nim Sabrina Carver. Ku zdumieniu Sabriny, nigdzie nie było śladu McCafferty'ego i w jej sercu zrodziła się nagle nadzieja, że mimo wszystko pozostał na wolności i czeka tylko na właściwy moment, by zaatakować i uwolnić więźniów. Wykalkulowała też sobie, że mundur członka załogi Air Force One, który miała na sobie, i oczywista anonimowość ukryją jej prawdziwą tożsamość, przeliczyła się jednak.

W chwili gdy usiłowała posłużyć się Hemmingswayem jako parawanem, na twarzy Smitha pojawił się uśmiech wyrażający niekłamane rozbawienie.

– Przyznać muszę – odezwał się niespiesznie – że nie spodziewałem się spotkać ciebie na pokładzie tego samolotu. Ale po co bawić się w chowanego, moja droga Sabrino? Skromność nigdy do ciebie nie pasowała, jak sobie przypominam z naszego krótkiego pobytu w moim *château* przed tą niefortunną akcją na wieży Eiffla. Zastanawiam się, czy jest do pomyślenia, byś mogła zmienić swoje

powołanie w ciągu – cóż to jest – trzech i pół roku? Już nie niedościgła międzynarodowa złodziejka klejnotów, a mniszka oddana klasztornemu życiu? To mi zakrawa na nieprawdopodobieństwo. Może zechciałabyś wyjaśnić swoją tutaj obecność.

– Nie ma potrzeby, panie Smith – wtrącił się Ahmed. – Mogę panu o niej opowiedzieć. Ona pracuje dla UNACO.

– Aaaach – zdumiał się Smith – a więc... jedna z małych przedsiębiorczych podkomendnych pana Philpotta. Bez wątpienia sprzedawałaś mu się już podczas naszego poprzedniego spotkania? Tak, twoje milczenie i widoczne zmieszanie świadczą, że tak było. No cóż, przyznaję, panno Sabrino Carver, najwyraźniej nie doceniłem cię wtedy. Bądź jednak pewna, że nie popełnię tego samego błędu po raz drugi. Ahmedzie, oddaję ją pod twoją osobistą i specjalną opiekę. Rób z nią, co uważasz – zadbaj tylko, by cierpiała... Dobrze o to zadbaj, Ahmedzie.

Fayeed złapał dziewczynę za przegub i przyciągnął do siebie tak brutalnie, że Sabrina ledwie powstrzymała się przed stawieniem czynnego oporu, ale wytłumaczyła sobie szybko, iż nie jest to odpowiednia pora; musi się najpierw dowiedzieć, gdzie ich przywieziono, i przekazać tę informację Philpottowi. No i zaopiekować się tym chłopcem, Feisalem. Ahmed może poczekać na swoją kolej.

– A ktoś jeszcze do nas nie dołączył? – ciągnął Smith. – Czyżby również cierpiał na chorobliwą nieśmiałość?

– Nic z tych rzeczy, panie Smith – zawołał Jagger od drzwi samolotu.

– Mój drogi pułkowniku – rozpromienił się Smith – prosimy do nas, by dopełnić naszego zadowolenia.

Wszystkie oczy spoczęły na mężczyźnie zstępującym po schodkach – na nim i na pistolecie, który wciąż trzymał w ręku.

– O Boże, nie – jęknęła Sabrina – nie ty, Mac. Tylko nie ty.

– Och, tak – podchwycił szyderczo pan Smith. – Prawdę mówiąc, nie wiem, jak byśmy dali sobie radę bez wszechstronnej pomocy pułkownika McCafferty'ego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Konsul Stanów Zjednoczonych w Bahrajnie był mężczyzną schludnym, pedantycznym i upartym, a nazywał się Mackie-Belton. Natychmiast poczuł uprzedzenie do tego lepiącego się od brudu, zakrwawionego indywiduum, które przy użyciu siły wtargnęło do jego prywatnego mieszkania i przerwało mu kolację spożywaną z arabską damą o nadzwyczajnej dyskrecji, ale niewielkich rezerwach cierpliwości. Teraz własna tolerancja Mackie-Beltona była już na wyczerpaniu.

– Proszę się postawić na moim miejscu – zażądał nie po raz pierwszy – i podać mi choć jeden powód – nie pół tuzina czy dwadzieścia – ale tylko jeden powód, dla którego miałbym panu uwierzyć. Wpada pan tu nieproszony w brudnym arabskim chałacie i w koszuli, bieliźnie i skarpetkach USAF, najwyraźniej prosto z jakiejś podejrzaney libacji, bez najmniejszego dowodu czy legitymacji na potwierdzenie swoich słów i utrzymuje pan, że jest kimś, kim, wiem to z własnego doświadczenia, nie może być. Kiedy ze zrozumiałych względów nie daję wiary pańskiej historii, obraża mnie pan, grozi mi, terroryzuje, usiłuje nakłonić do zatelefonowania do dyrektora UNACO i centrum operacyjnego Pentagonu, a potem wpada we wściekłość, kiedy proponuję, że zamiast tego zatelefonuję na policję. Pozwoli pan, że powiem – i proszę nie podchodzić bliżej – pozwoli pan, że powiem, iż jedynym powodem, dla którego pan jeszcze tu jest, a policji nie ma, jest to, że pańska historia jest tak nieprawdopodobna, tak fantastyczna, że być może tkwi w niej ziarnko prawdy.

Mac westchnął i opadł na wielki fotel, wyciągając przed siebie

nogi i z rozpaczą wyszarpując palcami nitki z tapicerki. Podniósł znużone oczy na Mackie-Beltona i nie zobaczył nawet szparki w niewzruszonej wrogości tego pulchnego człowieka w białym smokingu, o rzednących rudych włosach przylizanych do czaszki i białych zębach połyskujących w małych ustach. Okulary o podwójnej ogniskowej zwisały mu u szyi zaczepione za zauszki na cienkim, złotym łańcuszku, opadając na białą, plisowaną, wieczorową koszulę niczym jakiś ekstrawagancki order od bliskowschodniego potentata.

– No więc, co pan robi, panie Belton? – mruknął Mac.

– Mackie-Belton, jeśli łaska. No więc, na początek, nie skontaktuję się ani z UNACO, ani z Pentagonem, tylko spróbuję znaleźć na tej wyspie kogoś, kto może pana znać i potwierdzić, że przynajmniej z wyglądu przypomina pan pułkownika Josepha McCafferty'ego, o którym wiemy, że znajduje się na pokładzie Air Force One i którym, nawiasem mówiąc, w moim przekonaniu, pan nie jest, chociaż spotkałem tego gentlemiana tylko raz.

Mac jęknął i przejechał po twarzy dłonią. Nagle oderwał ją, usiadł prosto w fotelu, a jego błyszczące oczy i chrapliwy oddech jeszcze bardziej wytrąciły z równowagi Mackie-Beltona.

– Oczywiście! – huknął tryumfalnie, a Mackie-Belton po raz któryś z rzędu wzdrygnął się. – Oczywiście, ma pan rację! Teraz niech się pan zamknie i posłucha, bo powiem panu coś, w co pan uwierzy!

Ankara, nieprawdaż! Nie przerywać, nie ruszać się, nawet nie oddychać... Ankara, taaak, trzy – nie, cztery lata temu. Ukradziono mi portfel i byłem bez grosza przy duszy.

Przyszedłem do pana... – czoło Maka pokryło się brzdami od wysiłku, jaki wkładał w odgrzebywanie wspomnień.

– Przyszedłem do pana do małego, zielonego gabinetu... – zamknął oczy i zacisnął pięści -...z cholernie wielką palmą w rogu.

Na drzwiach było napisane „Konsulat: Wydział Dokumentacji i Kredytów” albo coś w tym rodzaju. Dał mi pan pięćset dolarów, prawda? Z oporami, jak sobie przypominam, ale miał pan możliwość sprawdzenia moich dokumentów i wszystko się zgadzało. Odesłałem dług przekazem pieniężnym, kiedy tylko wróciłem do Londynu. Na miłość boską, było tylko nas dwóch w tym pokoju, panie Mackie-Belton. Żadnej sekretarki, żadnego asystenta. Nie mógłbym tego wiedzieć, gdyby mnie tam nie było. Pamiętam nawet pańskie ostatnie słowa: „Proszę przekazać moje pozdrowienia Fortnumowi i Masonowi”, a ja odparłem, że mojemu poziomowi bliższy jest raczej Selfridge’s Food Hall, czym chyba nie wzbudziłem pańskiego entuzjazmu. No? Zgadza się, do cholery? A jeśli tak, to kim jestem?

Mackie-Belton zmarszczył czoło, podniósł do ust dwuogniskowe okulary w złotej oprawce zawieszzone na cienkim łańcuszku, chuchnął na jedno szkło, potem drugie, wydobyl z górnej kieszonki wykrochmaloną, białą chusteczkę i z drażniącą powściągliwością wypolerował szkła, po czym powiedział powoli:

– Jest pan pułkownikiem Josephem McCaffertym.

Mac opadł na oparcie fotela, skrzyżował nogi, uśmiechnął się i wykrzyknął:

– *Olé*. A więc możemy wziąć się do roboty? Bo najważniejszy, panie Mackie-Belton, jest czas. Ja mówię o Air Force One... o planie uprowadzenia. On jest naprawdę w trakcie realizacji, panie konsulu. – Podniósł się z fotela i spojrzał z góry na swego nieufnego; ale życzliwego gospodarza.

– Teraz jeszcze może być realizowany.

Przez następne pół godziny McCafferty zżymał się, wściekał i wychodził z siebie, gdy tymczasem Mackie-Belton kontaktował się z amerykańskimi ambasadami w Ankarze i Londynie, potem z bazą sił powietrznych Andrews, potem ze swym bratem z Uniwersytetu

Princeton, a na koniec, kiedy się już upewnił, że ma dostateczny parawan osobisty, by zabezpieczyć własną karierę, na wypadek, gdyby Mac okazał się wyjątkowo utalentowanym oszustem, zdecydował się zatelefonować do Basila Swanna – który mu nie uwierzył.

Mackie-Belton zagryzł wargę, wymruczał coś niezrozumiałego i unosząc wyskubaną brew podał słuchawkę McCafferty'emu. Zapisywał skrupulatnie czas trwania każdej rozmowy z myślą o rachunku telefonicznym, który bez wątpienia zamierzał przesłać pod adresem UNACO. Ale jeśli nawet Mac uważał konsula za uparciucha, to pod tym względem dyplomata nie dorastał do pięt Basilowi Swannowi. Nadaremnie brał się za bary z nieugiętą logiką Basila, potem zmienił taktykę i przestawił się na wyciąganie osobistych wspomnień, które przekonały ostatecznie Mackie-Beltona.

Stopniowo do głosu Swanna wkradło się z wątpienie i Mac wykorzystał okazję, by zażądać – tonem, którego Basil (mający już na koncie starcia z McCaffertym) nie mógł nie rozpoznać – skontaktowania go z Philpottem.

W godzinę i piętnaście minut po wparowaniu do stojącej na szczęście na uboczu willi konsula, gdzie całkiem niestoicka wyrozumiałość arabskiej damy minęła w końcu punkt krytyczny, Mac rozmawiał wreszcie z szefem. Wspólnymi siłami zesztukowali historię ze strzępów informacji, jakie każdy z nich posiadał, wypełniając luki wysnutymi w drodze dedukcji przypuszczeniami: Mac nie miał żadnych bezpośrednich dowodów na udział Smitha w tej aferze, ale wniósł od siebie wątek Dunkelsa, Ahmeda i tropu prowadzącego do Jugosławii; Philpott nie wiedział nic o napaści w Bahrajnie, lecz rozgryzł już związek incydentów z radarami i zanikiem śladu systemu kierowania bezwładnościowego Air Force One z wybuchem fałszywego boeinga.

Philpott podjął decyzję szybko. Uznając fakt, że opowieść McCafferty'ego balansuje na granicy wiarygodności, obaj mężczyźni zgodzili się, po pierwsze, że samolot prezydencki został porwany z prawdziwym lub podstawionym McCaffertym na pokładzie, oraz po drugie, że stoi za tym Smith, który jakimś sposobem i w nie wyjaśnionym jeszcze celu uprowadził samolot do Jugosławii, gdzie do akcji włączają się Rosjanie (prawie na pewno KGB).

– W porządku – zdecydował dyrektor UNACO – ruszamy, chociaż obawiam się, że nie do Jugosławii. Musimy bardzo rozważnie wykładać nasze karty, Mac. Wszystko, cokolwiek ma związek z tym krajem, czy każdym innym członkiem czerwonego obozu, to temat tak drażliwy, że aż się wierzyć nie chce. Należą niby do UNACO, ale prycają jak tygrysy, gdy tylko zasugeruję, że któreś z nich może być bezpośrednio w coś wplątane, nawet jeśli jest to nieumyślne.

– A więc dokąd się udajemy i co robimy? – spytał McCafferty.

– Jedziemy do Rzymu – odparł Philpott – i zaczynamy stamtąd. Jak wiesz, to najlepszy punkt w Europie. Pracować z Włochami to prawdziwa przyjemność; dwulicowość tak im weszła w krew, że kantują się regularnie nawzajem.

– A, co zrobimy, kiedy już tam będziemy?

– Przy odrobinie szczęścia znajdziemy tego Dunkelsa i zobaczymy, czy zaprowadzi nas do Air Force One.

– Który znajduje się w Jugosławii – przypomniał McCafferty.

– Do tego czasu – odparł ostrożnie Philpott – przekonam rząd jugosłowiański do ściśle ograniczonej współpracy ze ściśle ograniczonymi siłami UNACO.

– Czyli z panem i ze mną?

– Zgadza się. Aha... eee... i jeszcze z Sabriną Carver, która znajduje się w samolocie.

Po stronie McCafferty'ego zaległa znacząca cisza. Potem z

podejrzliwością i czymś na kształt powoli wzbierającej w nim złości, McCafferty powiedział:

– Nie wiedziałem, że Sabrina Carver jest z nami, sir.

– Zgadza się – przyznał Philpott – nie wiedziałeś, prawda?

Na prawo od kamiennej framugi opadał na pełne sześć stóp, do samej podłogi, gobelin. Podobnie jak wiszący obok niego ciemny olejny obraz utrzymany w soczystych barwach, którego górna krawędź znajdowała się na tym samym poziomie, i który na mniej więcej taką samą szerokość rozciągał się na ścianie, gobelin przedstawiał scenę z polowania. Na wytartej kanwie utrwalono w ciemnych brązach, zieleniach i błękitach zmagania dzika z małym oddziałem myśliwych; walka była nierówna, choć odyniec z pewnym efektem przeciwstawiał włóczniom swoje kły. Temat olejnego obrazu był bardziej pospolity – jeleni osaczony w parowie, opędzający się od szczerzących zęby psów, które szczuli dosiadający koni myśliwi o twarzach zniekształconych żądzą krwi. Tylko jeleni zachowywał resztki godności: jego wielkie brązowe oczy wyrażały bardziej oszołomienie niż strach.

Od obrazu oko wędrowało niemal automatycznie ku trofeum, dominującym w tej długiej sali o bielonych ścianach: ku głowie „królewskiego” albo „cesarskiego” rogacza, lustrzanemu odbiciu skazanego na zgubę olbrzyma z olejnego obrazu, której poroże rzucało na ścianę w świetle lampy chybotliwe, spiczaste cienie. Poniżej królewskiego jelenia, ale jeszcze ponad drzwiami, ciągnęła się wokół sali zastygła w ponurym grymasie gwałtownej śmierci procesja, na którą składało się kilka mniejszych jeleni, jeden czy dwa orły, wędrowny sokół, skrzywiony niedźwiedź, para sów płomykowatych, dwa lisy i kilka poległych w boju psów, urozmaicona mosiężnymi lejkami rogów myśliwskich i niefunkcjonalnymi strzelbami skałkowymi.

Meble były masywne, wykonane z grubo ciosanego drewna, a okna zaopatrzone w kute kraty. Słabe światło dostarczane przez dwie lampy naftowe tworzyło kałuże cienia, mroczne nisze i miejsca, przez które trudno było przejść. Sabrina pomyślała, że to podobne do Smitha, by zamknąć jeńców w swojej sali trofeów. I tak właśnie postąpił.

Strach i desperacja bijąca od spreparowanych łbów i trupów udzieliły się więźniom Smitha. Członkowie załogi rozmawiali; szeptem o niczym, drobniutki Wynanski pocieszał Jeanie Fenstermaker, trzymającą przy oczach chusteczkę; Cooligan, rozwścieczony zdradą McCafferty'ego, rozwalił się z zaciśniętymi ustami przy stole z dala od mechaników; Fairman, Kowalski i Latimer snuli przyciszonymi głosami domysły co do prawdopodobnej lokalizacji ich więzienia, bo chociaż znali mniej więcej okolice Jugosławii, gdzie znajdował się pas startowy, to na czas przejazdu do zamku zawiązano im oczy. Jeśli chodzi o magnatów naftowych, to Dorani bez końca kopał cygara, ku dezaprobachie Hamady'ego, który dyskutował z nim o okupie; natomiast Hemmingsway sączył słowa w obojętne ucho szejka Arbeida. Tylko Zeidan, niczym potężny jelen, pozostawał spokojny i czujny, a jego czarne oczy penetrowały najdalsze zakamarki sali, szukając jakichś słabych punktów, jakichś niedociągnięć...

Przed hangarem w Kosgo zatrzymał się mikrobus o zaciemnionych szybach i szejk Zeidan zadał jedyne pytanie, na które zezwolił jeńcom Smith.

– Kim jesteś, psie? – zapytał stary Arab. Palce Smitha gładziły srebrne ostrze laski. Smith postąpił trzy kroki i mrużąc oczy stanął przed kalekim szejkiem z ustami zatrzaśniętymi niczym pułapka na człowieka. Zeidan nie zadał sobie nawet trudu, by spojrzeć mu w oczy.

– Możesz mnie nazywać panem Smithem.

– Mogę... Smith?

Ahmed dopadł do fotela na kółkach i odwrócił go gwałtownie przodem do siebie.

– Panie Smith, kuzynie – wycedził zgrzytliwie – nie zapominaj o tym.

Zeidan zmierzył go pełnym wzgardy spojrzeniem.

– Rozmawiam z panem, śmieciu – odparł wyniośle – nie z jego zapluta hieną.

Ahmed znowu szarpnął fotelem okręcając go wokół osi i Feisal podskoczył, żeby go pochwycić. Przytrzymał fotel, chłopiec odezwał się przytłumionym głosem, tak że usłyszeć go mogli tylko Ahmed i Zeidan:

– Ty gadzie. Wszystkie te kundle zginą, ale dla ciebie zarezerwuję śmierć tak straszną, że czerw, który nazywasz swoim mózgiem, nie będzie jej w stanie pojąć.

Ahmed wybuchnął śmiechem, ale zaraz jego usta rozciągnęły się w odrażającym grymasie odsłaniając zęby; wyrznął Feisala na odlew w twarz i chłopiec poleciał w tył trafiając w czujne ramiona Sabriny.

– Czym mogą mi zagrozić zgrzybiały kaleka i diabetyczny bachor? – wrzasnął – To wy będziecie...

– Stul gębę! – rozkazał Smith głosem przecinającym jak piła zuchowaty ton młodego Araba. – Milczeć wszyscy! Powiem wam, kiedy będziecie mogli mówić, a teraz tego zakazuję! Ty – wskazał na człowieka w polowym mundurze wyskakującego z mikrobusu – zabieraj ich stąd. Dosyć tej zwłoki!

Smith porwał Branke za rękę i pociągnął ją w stronę swojego samochodu. Fayed, wciąż rozwścieczony, dał znak partyzantom, by spętali jeńców i zawiązali im oczy, po czym potykających się i bezradnych więźniów wepchnięto do podstawionego dla nich

pojazdu.

Od leżącego nad brzegiem morza Zadaru aż do Masienicy autobus jechał cały czas główną szosą w głąb lądu, potem skręcił na Knin w drogę drugiej kategorii i rozpoczął stromą wspinaczkę szosą na Alpy Dynarskie. Jeńcy, sfrustrowani opaskami zasłaniającymi im oczy, nie widzieli zalanego księżycową poświatą krajobrazu, który stopniowo stawał się coraz dzikszy i coraz bardziej nieprzystępny. Droga pięła się zakosami w coraz wyższe partie gór, by po jakimś czasie przejść w bardziej wyboisty szlak, dopóki nie osiągnęli kawałka płaskiego terenu, gdzie nawierzchnia znowu się poprawiła.

Szlak, zabezpieczony z jednej strony niskim, grubym murkiem z kamienia, tulił się do zbocza wzgórza opadającego stopniowo i przechodzącego w płaskie dno krateru, misy wyrzeźbionej w żebrach gór. W tej niecce wznosił się zamek Windischgraetz.

W dzień roztaczał się tutaj nadzwyczajny widok; droga wiła się i zakręcała aż do ostatniego załamania terenu i wtedy, jak spod ziemi, pojawiał się zamek wpasowany w górski stok niczym kawałek węgielka w twarz śniegowego bałwana. Wąski do tej pory szlak rozszerzał się, by przejść w dziedziniec i parking dla samochodów, skąd goście Smitha wchodzili do środka przez zwodzony most przerzucony nad spienionym górskim potokiem. Prowadził on do korytarza i westybulu, odgradzonych od świata zewnętrznego ogromną sklepioną bramą i rzeźbionymi podwójnymi wrotami. Most zwodzony i westybul zajmowały większą część szerokości muru wychodzącego na tę stronę, bo zamek Windischgraetz był budowlą długą, ale wąską, zakręcającą, by wpasować się w profil zbocza.

Wysokie mury podpierały spadziste, kryte dachówką dachy, również ciągnące się aż do skalnej ściany. Nad zamkiem górowało zalesione urwisko i wraz z ziejącą w jego zboczu paszczą groty, która sięgała do samego serca góry, i której wylot wykrzywiał się niczym

aureola nad najwyższym punktem budowli, stanowiło dla zamku wywołujące niezwykle wrażenie tło. Dachówki na dachu pięły się w górę tworząc wieżyczki w kształcie piramid, a pod nimi, w zwietrzałym kamieniu ścian, widniały rzędy zaciemnionych okien.

Zamek Windischgraetz, położony na wysokości tysiąca pięciuset stóp nad poziomem morza, trwał, niczym orle gniazdo, prawie niedostępny, nie zdobyty od czasów Karola Wielkiego.

Jeńców Smitha wprowadzono przez zwodzony most na dziedziniec wewnętrzny, gdzie drugiego kamiennego przejścia strzegły dwa działa. Tam Smith kazał rozwiązać więźniów, zdjąć im opaski z oczu i odprowadzić ich do sali trofeów. Szejka Zeidana wniosło po schodach dwóch krzepkich członków załogi, a za nim wciągnięto jego fotel na kółkach.

Smith stał na zewnątrz z wielkim żelaznym kluczem w ręku.

– Idź do sali radiowej – polecił Fayedowi – i czekaj na wiadomość od Dunkelsa. Powinieneś być już w drodze. Ja zabawię przez jakiś czas naszych gości, ale daj mi znać natychmiast, gdy tylko nawiążesz z nim kontakt.

Ahmed oddalił się pospiesznie, a Smith bezszelestnie przekręcił klucz w zamku. Za nim weszli do sali dwaj strażnicy z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału.

Hemmingsway nadmienił cierpko, iż żywi nadzieję, że Smith przyszedł przedstawić swe warunki. Smith zapewnił go, że tak. Fairman zapytał, jak długo Smith ma zamiar ich przetrzymywać i ten oświadczył, iż zostaną uwolnieni, gdy tylko okup za nich znajdzie się w jego rękach.

– A więc chodzi o okup – westchnął Hamady.

– Naturalnie – powiedział Smith. – Sądziłicie, że porwałem was tylko dla przyjemności przebywania w waszym towarzystwie?

– Zastanawialiśmy się – zauważył ponuro Zeidan – czy nie ma to

czasem czegoś wspólnego z naszym statusem emisariuszy krajów OPEC. Czy twoje motywy nie wynikają bardziej z pobudek, że tak powiem, politycznych niż z chęci zysku.

Smith, który bawił się wspaniale, przyjął tę obelgę bez zmrużenia oka.

– Wasze wysokie stanowiska, szejku, mają dla mnie wyłącznie komercyjną wartość – zadrwił. – Szczerze mówiąc, mierzi mnie to, czemu hołdujecie, wasze dławienie dostaw ropy naftowej dla Zachodu, wasza pazerność i prymitywne okrucieństwo w stosunku do własnego ludu... ale nie jestem ani politykiem, ani moralistą, Wasza Ekscelencjo. Uważam was za średniowiecznych baranów-rozbójników, którzy dojrzeli do oskubania. Do uwolnienia was od nadmiaru olbrzymiego bogactwa, jakie zgromadziliście, dochodzi i tak, według mnie, o wiele za późno. Przykro mi, że znalazł się wśród was niewinny Amerykanin, a członków załogi prezydenckiej zabawki uważam za przypadkowe ofiary. W stosunku do panny Carver mam inne plany. Od was, panowie – tu wskazał na siedzących Arabów – nie żądam niczego, prócz pieniędzy... w naturze.

– Jakich pieniędzy i w jakiego rodzaju naturze? – zapytał Hemmingsway.

Smith przyjrzał mu się ze zdziwieniem.

– Widzę, że życzy pan sobie być ich rzecznikiem, targować się w ich imieniu, panie Hemmingsway. Niech będzie. Okup wynosi pięćdziesiąt milionów dolarów.

Hemmingsway przełknął z trudnością ślinę i oblizał suche wargi.

– A w jakiej postaci?

– W szlifowanych diamentach – odparł stanowczo Smith. – Są takie urocze, i tak łatwo je spieniężać, nie sądzi pan?

Mackie-Belton przekonał wysokiego rangą i dyskretnego oficera policji Bahrajnu, by zaopatrzył McCafferty'ego w ubranie

odpowiednie do czegoś, co Amerykanin określił tylko jako „nieco chłodniejszy klimat”. Zatelefonował Swann, żeby przekazać McCafferty’emu wiadomość, iż w drodze do Zatoki Perskiej jest już samolot odrzutowy, który zabierze go z wyspy do Rzymu.

– Z niewielkim dodatkowym bagażem – wyjaśniał Basil. – Paszport, dokumentacja, broń dla ciebie i dla panny Carver oraz dla agenta Cooligana, lornetki polowe, radiotelefony – tego rodzaju drobiazgi. Wszystko będzie spakowane w plecaku znajdującym się na pokładzie samolotu. Do ciebie należy tylko przeschumowanie tego na lotnisku Leonardo da Vinci w Rzymie. Samolot będzie w Bahrajnie przed świtem. Powodzenia, Mac.

– Dzięki, Basil – powiedział McCafferty i zanim Swann zdążył odłożyć słuchawkę, napomknął jeszcze o pieniądzach. – Rozumiesz, jestem goły – wyjaśnił.

Swann zachichotał, co rzadko mu się zdarzało.

– Może konsul ci pożyczy? – zasugerował i wyłączył się.

– To zaczyna wchodzić w paskudny nawyk – stwierdził później Mackie-Belton wracając z kolejnej kaleczącej miłość własną sesji z arabską damą i potrząsając pięciuset dolarami.

O godzinie 3.00 konsul z żalem pożegnał arabską damę, a o 3.30 McCafferty odebrał od kapitana policji Bahrajnu telefon informujący go, że Siegfried Dunkels opuścił wyspę.

– Dokąd się udał? – spytał z nadzieją w głosie Mac.

Niemal słyszał głupi uśmieszek policjanta.

– Pierwszy przystanek – Ateny, potem Zagrzeb.

O tej porze Philpott był akurat nieosiągalny, bo wezwano go na wytworne cierpkie spotkanie ze srogim i pozbawionym poczucia humoru sekretarzem generalnym ONZ i nie mógł wydać stosownych instrukcji, kiedy więc z UNACO nadszedł rozkaz skierowania samolotu do Jugosławii i zasadzenia się tam na Niemca, Mac był już

w powietrzu...

Odwiedzając więźniów po raz drugi, Smith znowu przyprowadził ze sobą uzbrojonych strażników, a do tego jeszcze trzech partyzantów taszczących trójnogi i wielki akumulator.

– Pomyślałem sobie, że może przyda wam się trochę więcej światła – powiedział pogodnie – a jeśli nie wam, to mnie.

Mężczyźni rozstawili sprzęt i zalali salę powodzią światła z fotograficznych reflektorów. Fayed wśliznął się za nimi z aparatem Polaroida, a Smith upozował jeńców – z przodu ludzie z OPEC, członkowie załogi za nimi – na tle całkowicie neutralnego fragmentu ściany, z której usunął trofea, obrazy, meble... wszystko, co mogłoby dopomóc w identyfikacji pomieszczenia.

Po sprawdzeniu, czy nikt z grupy nie przesyła niedozwolonych sygnałów palcami bądź oczyma, Smith skinął głową do Ahmeda, który pstryknął zdjęcie i wykonał kilka znośnych odbitek. Smith wybrał cztery fotografie i kazał Ahmedowi wysłać je natychmiast przez kuriera do Triestu i Dubrownika.

– Muszą się załapać na pierwsze wydanie porannych gazet – podkreślił z naciskiem – wraz ze szczegółami dotyczącymi żądanej wielkości okupu. I nie zapomnij – jedno ma trafić do agencji Associated Press. Chcę, żeby w Stanach też się o tym dowiedzieli. Mimo wszystko, to ich samolot.

Fairman mruknął coś na temat tego ostatniego stwierdzenia i Smith nadstawił ucha z życzliwym uśmiechem.

– Jeśli dobrze dosłyszałem, pułkowniku – powiedział uprzejmie – to wyrażała pan opinię, że Air Force One może zostać wykryty przez czujniki zainstalowane na satelicie. Nie mylę się?

Fairman skinął niechętnie głową.

– Tak też myślałem – ciągnął Smith – i przykro mi pana rozczarować. Silniki zostały obłożone suchym lodem zaraz po

narzuceniu na maszynę brezentowych płacht. Ostygły w parę chwil. Tego samolotu, przykro mi to mówić, nie można wykryć. A teraz – powiedział zwracając się do wszystkich – bez wątpienia z ulgą przyjmiecie wiadomość, iż nie zamierzam zmuszać was do spędzenia nocy w tych niewygodnych warunkach. Ahmed wskaże wam kwatery, które dla was przygotowano. Przykro mi, ale niektórzy będą musieli zamieszkać parami; mogę tylko żywić nadzieję, że dobór współlokatorów będzie wam odpowiadał. Ahmedzie?

I znowu wyprowadzono więźniów, a jedyną trudnością, na jaką podczas tej operacji natknął się Ahmed, była próba rozdzielenia Sabriny i Feisala. Chciał ją mieć dla siebie; los chłopca go nie obchodził.

– Muszę z nim zostać – odwołała się Sabrina do Smitha. – Jest chory. Na pewno nie chce pan, żeby mu się coś stało. Nie figuruje nawet na liście okupów.

Zeidan poparł jej prośbę oświadczając, że jeśli Feisal dostanie kolejnego ataku, tylko Sabrina może zaaplikować mu lekarstwo. Ku wyraźnemu strapieniu Ahmeda, Smith wyraził zgodę i Sabrinę z Feisalem zaprowadzono innym skrzydłem schodów do komnaty, która wyglądała tak, jakby pośpiesznie przystosowano ją do zamieszkania i nie było w niej nic prócz dwóch łóżek, stolika i miednicy, ale miała toaletę. Jednak jej najbardziej podejrzanym elementem była szczelina biegnąca przez całą długość szczytowej ściany, a zabezpieczona przed najgorszymi wpływami atmosferycznymi okapem sterczącym ponad nią na zewnątrz niczym daszek czapki. Wywietrznik ten był teraz oszklony, ale Sabrina domyślała się, że kiedyś mieściła się tu czatownia i zarazem wartownia, z której roztaczał się widok na całą okolicę, zakładając, iż znajdowali się tak wysoko, jak na to wskazywał zdecydowany chłód panujący w komnacie. Pomieszczenie nie posiadało żadnego

oświetlenia, rozebrali się więc i ledwie Sabrina zdążyła wślizgnąć się do swojego łóżka, usłyszeli warkot motocykla uruchamianego na dziedzińcu.

Ściągnąwszy z łóżka prześcieradło, by się w nie owinąć i okryć nagość, Sabrina podbiegła do wąskiego okna. Po chwili stanął obok niej Feisal. Gdzieś z ich lewej strony rozległ się głośny szcęk.

– To musi być most zwodzony – wyszeptał Feisal.

– Dobrze kombinujesz – pochwaliła go Sabrina, drżąc z zimna szczypiącego jej ciało.

Motocyklista odjechał z rykiem silnika i ze swego wysoko położonego punktu obserwacyjnego mogli śledzić przez, jak się im zdawało, wiele mil, jego światła sunące krętą drogą.

– To była honda – stwierdziła ze znanstwem Sabrina. Znała się na motocyklach prawie tak samo dobrze, jak na samochodach i była mistrzynią w prowadzeniu obu.

Feisal skinął głową.

– Hondamatic 400 – potwierdził. Sabrina spojrzała na niego zaskoczona.

– Skąd wiesz? – spytała. Tym razem Feisal zachichotał.

– Jechał przez co najmniej dwieście jardów nie zmieniając biegu. W Hondamatic 400 nie trzeba zmieniać przełożenia, dopóki nie osiągnie się pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Oczy Sabriny rozszerzyły się.

– Tego nie wiedziałam – przyznała.

– Wcale się nie dziwię – powiedział Feisal. – Po co kobiecie taka wiedza.

Sabrina usiłowała ukryć uśmiech.

– Słuchaj no, spryciarzu, wszytkowiedzący dzieciaku... – zaczęła, ale Feisal wpadł jej w słowo.

– Wszyscy tak uważają – zapewnił ją beztróska. – A nawiasem

mówiąc, zsunęło ci się twoje trochę niestosowne okrycie. Mogę ci pogratulować wspaniałych piersi?

Wskoczył z powrotem do łóżka i zasnął, ledwie przyłożył głowę do poduszki.

Samolot specjalny przemknął po nocnym niebie i wylądował w Zagrzebiu na długo przed pojawieniem się słońca nad wschodnim horyzontem. McCafferty przeszedł dosyć łatwo przez kontrolę celną ze swoim plecakiem objętym immunitetem dyplomatycznym UNACO, co zostało zaznaczone w pośpiesznie spreparowanym *laissez-passer*, który zgodnie z instrukcjami Swanna, Mac znalazł w samolocie wśród kolekcji przydatnych na każdą okazję dokumentów. Jugosłowiański strażnik obejrzał dokument i rzucił podejrzliwe spojrzenie na plecak, ale machnięciem ręki dał mu znak, że może przejść.

Korzystając z nowo pozyskanych kart kredytowych wynajął samochód, małego, ale potężnego polskiego fiata z niesamowitą prędkością maksymalną na liczniku. Nie musiał długo czekać. Rejs Dunkelsa wylądował zgodnie z rozkładem i skulony na tylnym siedzeniu swego pojazdu Mac dojrzał Niemca odstawiającego to samo, co on przedstawienie w komorze celnej. Gdy jednak Dunkels dopełnił formalności, zawołano nań z ulicy.

Niemiec odwrócił się i obaj, on i McCafferty, ujrzeli czarnego mercedesa ze szwajcarskimi tablicami rejestracyjnymi zaparkowanego przy krawężniku i rozmownego szofera doktora Steina, który uśmiechał się, widząc wyraźne zaskoczenie na twarzy Dunkelsa. Niemiec wskoczył na przednie siedzenie obok kierowcy i wóz ruszył – a fiat w dyskretnej odległości za nim. McCafferty zgrzytał zębami dociskając do dechy pedał gazu. Miał rachunek do załatwienia z panem Smithem. Czuł, że ten pościg zapoczątkował ostatnie okrążenie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dunkels kierował się na południe szosą M12a z Zagrzebia na Busevec, Lekenik i Zazinę, jak głosiła tablica informacyjna. Droga była niemal pusta i Mac musiał zachowywać spory dystans między swoim małym fiatem a mercedesem, żeby pozostać nie zauważonym. Po przebyciu około dziewiętnastu mil samochód Dunkelsa skręcił w prawo na Gorę, a potem w lewo, na małe prywatne lotnisko. Była to właściwie duża trawiasta łąka, zapewniająca rozbieg na odcinku zaledwie tysiąca pięciuset stóp w każdym kierunku. W pobliżu grupy skorodowanych baraków z blachy falistej, które spełniały funkcję hangarów, stał helikopter „Kamow” produkcji rosyjskiej.

Jego łopatkki przeciwbieżne obracały się już i mercedes podjechał od razu pod gotowy do startu śmigłowiec. W chwilę później McCafferty zauważył przygarbionego Dunkelsa przebiegającego pod wirnikami, by wsiąść na pokład. Drzwi nie zdążyły się jeszcze zamknąć, kiedy silnik zaczął już zwiększać obroty i niski, głośny, pulsujący ryk obwieścił o odlocie kamowa.

Mac zaklął pod nosem. Powinien był przewidzieć coś w tym rodzaju albo zaczekać na pomoc. Teraz nie miał już możliwości dalszego podążania tropem Niemca. Zaparkował właśnie fiata na skraju łąki, za pełnym śmieci metalowym kontenerem, kiedy mercedes wypadł na pełnym gazie z lotniska i z piskiem opon wszedł w ostry wiraż. Mac naciągnął na głowę kaptur ocieplanej kurtki, żeby ukryć twarz, ale szofer minął go, nawet nie spoglądając w tę stronę.

Potem ryk silnika kamowa narósł do przeciągłego wycia i helikopter przeleciał nad jego głową. Zstępujący prąd powietrza

wzniecany przez wirnik zdzierał liście z drzew i przyginał trawę do ziemi.

Amerykanin zapuścił z ponurą miną silnik samochodu i przejechał kawałek wąską drogą, zatrzymując się tuż za alejką dojazdową do lądowiska by wycofać się w nią na wstecznym biegu i ruszyć w drogę powrotną do Zagrzebia. Oglądał się właśnie przez ramię, żeby spojrzeć na drogę przez tylną szybę, kiedy jego wzrok padł na stadko lekkich samolotów zaparkowane w pobliżu baraków. Gwizdnął i mruknął do siebie:

– No i ani się obejrzeliliśmy, a tu Gwiazdka.

Cofnął fiata aż na płytę lotniska i zaparkował go w przejściu między dwoma barakami; potem wysiadł, żeby obejrzeć swoje prezenty. Stała tam dwusilnikowa cessna, stary piper tripacer, włoski marchetti oraz coś, co wyglądało na kilka wersji jugosłowiańskiego UTVA. Rozejrzał się, czy nikogo nie ma w pobliżu, i sprawdził trzy stojące na przedzie samoloty jugosłowiańskie. Nigdy czymś takim nie latał, ale czytał na bieżąco magazyny techniczne i wiedział, że UTVA charakteryzuje się małą prędkością przeciągania, stosunkowo krótkim rozbiegiem i, co niezwykle, zadziwiającą szybkością.

McCafferty potarł dłonią brodę i wsunął w usta laseczkę gumy do żucia.

– O ile mnie pamięć nie myli, jest z grubsza rzecz biorąc o czterdzieści... czterdzieści pięć mil na godzinę szybszy od kamowa – mruknął w zadumie.

Zaświtała mu w głowie jeszcze jedna myśl: UTVA mógł, zdaje się, latać na wysokości przekraczającej pułap helikoptera o co najmniej siedem tysięcy stóp. Uśmiech rozjaśnił twarz pułkownika.

– No to do dzieła – powiedział głośno. – Zobaczymy, czy ktoś był na tyle nieostrożny, żeby zostawić w jednej z tych zabawek kluczyki.

Jego wybór padł na samolot zaparkowany tuż przy pierwszym

hangarze i z miejsca trafił w dziesiątkę: kluczyki tkwiły w stacyjce. Jak gdyby nigdy nic, wrócił spacerowym krokiem do fiata, bez przerwy wypatrując pilnie jakichkolwiek oznak życia. Zabrał z samochodu plecak i zamknął drzwiczki na klucz. Pobiegnął do samolotu, wskoczył do kabiny i wciskając ciało poniżej dolnej krawędzi szyby, przystąpił do przedstartowej procedury sprawdzania urządzeń.

Nacisnął wyłącznik główny i odczytał ze wskaźnika, że zbiornik paliwa jest pełny. Sprawdził działanie instalacji elektrycznej, po czym poruszył drążkiem sterowym i pedałami orczyka, żeby się upewnić, czy nie zostały zablokowane. Wyszepcawszy sam do siebie „skręć kark”, nacisnął starter.

Była to krytyczna faza akcji, ponieważ warkot silnika musiał go zdradzić – chociaż przy odrobinie szczęścia byłoby już za późno, by go jeszcze powstrzymać. Silnik zaskoczył za pierwszym razem i szczęście nadal mu sprzyjało: wyjrzał przez okno, nie dbając już teraz o to, czy ktoś go zobaczy, czy nie. W rękę trzymał pistolet i był gotów zrobić z niego użytek... ale nadal miał całe lotnisko tylko dla siebie. Wzruszył ramionami i zaryzykował otwarcie na całą szerokość przepustnicy (czego się normalnie nie praktykuje), po czym wykręcił maszynę nosem w kierunku, który w jego ocenie zapewniał mu najdłuższy rozbieg.

Po niecałych stu jardach ogon samolotu zareagował na delikatny nacisk na drążek sterowy. Nos przestarzałej raczej maszyny wypoziomował się w stosunku do ziemi i pole widzenia Maka wzrosło, a po dalszych pięćdziesięciu jardach na wskaźniku prędkości lotu było już pięćdziesiąt pięć węzłów. Przygotował samolot do oderwania się od ziemi, przesuwając dźwignię steru wysokości, i płynnie wzbił się w powietrze, idąc stromą świecą w górę bez żadnego zauważalnego wysiłku.

McCafferty ponownie wrócił myślami do Dunkelsa i oszacował kurs kamowa na jakieś 190 stopni. Obrął ten sam kurs i wzniósł się na cztery tysiące stóp, żeby rozszerzyć sobie pole widzenia i skompensować przewagę, jaką już na starcie uzyskał nad nim Niemiec. Wyliczył, że przy wspaniałych parametrach lotnych UTVA – zwłaszcza jeśli wyciskał z niego nieco więcej, niż to wynikało z zalecanej granicy – dopędzi Dunkelsa bez problemu. Przeczesał wzrokiem obszar poniżej, po obu stronach, każdy cal ziemi i nieba, nie zwracając uwagi na piękno pofałdowanego krajobrazu ani na skąpane w słońcu, zalesione stoki. Szukał tylko wskazówek, które mogłyby mu pomóc w zlokalizowaniu trudnego do zauważenia helikoptera: świetlnego refleksu na wirujących łopatkach; czarnej plamki wielkości muchy na tle jasnobłękitnego nieba; ciemnego cienia sunącego po zielonej łące.

W dole przesunęły się droga, rzeka i linia kolejowa. Po lewej stronie, w fałdzie łagodnych wzgórz przycupnęło małe miasteczko. Mac sięgnął po zmiętoszoną, postrzępioną mapę pozostawioną w kabinie i zidentyfikował to miasteczko jako Glinę. Przyjrzał się mapie dokładniej: następny punkt odniesienia – Topusko po prawej.

Wychylił się w prawo, żeby spojrzeć w dół i poszukać Topusko, i wtedy zobaczył kamowa lecącego tak nisko, że przez jedną absurdalną chwilę wydawało mu się, że śmigłowiec sunie kołami po ziemi jak samochód. McCafferty zachichotał i wypluł gumę do żucia, która i tak straciła już smak...

Skierowawszy McCafferty'ego do Jugosławii, Philpott zdecydował, że on i Sonia powinni trzymać się oryginalnego planu i udać do Rzymu. Załatwieni machnięciem ręki w komorze celnej na Fiumicino jako VIPy – Bardzo Ważne Osobistości – opuścili lotnisko z nie naruszonym minimalnym bagażem podręcznym, zignorowali cwaniaczków o złodziejskich skłonnościach, zarabiających na życie

jako nie licencjonowani taksówkarze, minęli legalne taksówki i skierowali kroki ku samochodowi dla personelu NATO, zaparkowanemu niewinnie pod zakazem parkowania. Znudzony, wysoki rangą oficer w mundurze armii brytyjskiej stojący przy samochodzie rozplótł założone dłonie i przywołał na usta powitalny uśmiech.

Oficer – wysoki, siwiejący i bystrooki, ze szczotkowanym wąsikiem kończącym się precyzyjnie przy kącikach ust – zsalutował, unosząc rękę do czapki ruchem pośrednim między niedbałym machnięciem a sprężystym zrywem semaforu.

– Dzień dobry. Tomlin. Brygadier.

– Dzień dobry. Philpott. UNACO – odparł Philpott.

– Jestem z NATO. Neapol – powiedział Tomlin. – Dowodzę po tej stronie.

– To moja współpracowniczka, panna Kolchinsky – przedstawił Sonię Philpott. – Dowodzimy po obu stronach. – Skinął głową w kierunku Soni i oboje wymienili z wojskowym uściski dłoni.

– Normalnie nie wyjeżdżamy na spotkanie... eee... wizytacjom strażaków – ciągnął poważnie Tomlin, ignorując pochmurniejące czoło Philpotta. – Tym razem jednak otrzymałem taki rozkaz, musicie więc być kimś dosyć ważnym.

– Niezupełnie – odparł bez zastanowienia Philpott. – Jestem po prostu takim sobie zwyczajnym facetem, który chce zadać kilka zwyczajnych pytań, brygadierze.

– Och, wspaniale – powiedział Tomlin, zapraszając ich do samochodu i sadowiąc się również na tylnym siedzeniu.

– Szalenie miła prezentacja. No to w drogę.

Silny uścisk Soni za nadgarstek pomagał Philpottowi w kontrolowaniu wzbierającej w nim złości, chociaż miał właściwie trudności z podsycaniem swego rozdrażnienia w obliczu całkowitej

beztroski Tomlina.

– No więc, żeby od czegoś zacząć, czy wiadomo coś o wraku Air Force One? – zapytał.

– O tak, wiadomo – powiedział Tomlin, pochylając się konspiracyjnie w przód. Kazał ruszać kapralowi siedzącemu za kierownicą, po czym wyjawiał Philpottowi, że zlokalizowano wrak samolotu.

– Ale... – dorzucił i rozdziawił usta, kiedy Philpott skończył za niego:

– Ale to nie jest Air Force One.

– W samej rzeczy – potwierdził Tomlin. – Tylko skąd pan to, do diabła, wie?

Philpott popukał się w bok nosa.

– Sekret strażaka – wyszeptał. – To był boeing 707, zgadłem?

Zgadł, przyznał Tomlin, chociaż o ile zdołali wywnioskować ze znalezionych szczątków, nie był to samolot pasażerski, a transportowiec. Nie miał znaku rejestracyjnego, więc ustalenie jego pochodzenia może zająć kilka dni.

Philpott przetrawił te informacje: miał nadzieję na ostateczne potwierdzenie powiązania Smitha z tym porwaniem na podstawie identyfikacji „podrobionego” boeinga, ale wszystko wskazywało na to, że będzie musiał poczekać na swój dowód. Nie trwało to jednak długo.

Skrzekliwy głos dobiegający z przedniej części samochodu oznaczał nadawany przez radio komunikat. Tomlin odsunął szybę działową i warknął:

– Co mówili, kapralu?

– To ze sztabu, sir – odparł żołnierz. – W Trieście i, zdaje się, w Dubrowniku odebrano żądanie okupu za ministrów krajów OPEC. Wpłynęło też coś do jednej z amerykańskich agencji prasowych, sir.

Brygadier całkiem teraz spoważniał.

– No to do sztabu, i to gazem. – Napuszył się, jakby to on był osobiście odpowiedzialny za wynalezienie radia, i zwrócił się do Philpotta: – A to ci dopiero, nie?

– Nie – odparł Philpott. – Spodziewałem się tego. – Oficer uniósł ekspresyjnie brew, ale nic nie powiedział. Philpott dalej podstawiał głowę pod topór. – Co więcej, brygadierze – ciągnął chytrze – załóżę się z panem, że facet podpisujący się pod żądaniem okupu nosi nazwisko Smith.

Tomlin pociągnął nosem.

– Trochę, eee, jakieś takie... pospolite, co?

– Nazwisko, może – zachichotał Philpott – ale nie ten człowiek.

Znalazłszy się w sali operacyjnej kwatery głównej NATO, Philpott i Sonia przestudiowali powiększenia wykonanych polaroidem fotografii przesłanych telegraficznie z Triestu i z biura Associated Press w Belgradzie. Tomlin wsunął jedną z odbitek pod biurkowy powiększalnik i rzucił obraz na ścienny ekran.

– Wszyscy obecni i prawdziwi, sir? – zapytał. Spuścił stosownie z tonu, od kiedy wiedział, że porywacz faktycznie nazywa się Smith.

Philpott i Sonia odfajkowali w pamięci ministrów i członków załogi, wszystkich, których znali z akt UNACO. Przyjrzeni się dyskretnie zwłaszcza jednej spośród tych kilkunastu twarzy – bo Jagger znajdował się, naturalnie, w grupie zakładników na fotografii.

– Niewiarygodne – mruknął Philpott.

– Do złudzenia – stwierdziła Sonia. – To najwspanialsza robota chirurgiczna, jaką w życiu widziałam. Wszystko... nawet matka Maka przysięgłaby...

– Brygadierze... – przerwał jej Philpott apodyktycznym, chociaż nie obraźliwym tonem – czy ma pan już jakąś opinie co do tła tego zdjęcia?

Brygadier odparł bez wahania, że to jakiś zamek.

– Kamienna podłoga – wyjaśnił niedbale – goły tynk na ścianach.
Wie pan, mamy w Anglii parę takich.

– Nie, nie wiedziałem – zainteresował się Philpott. – Musi mi pan kiedyś o nich opowiedzieć.

Ten sarkazm spłynął nie zauważony po Tomlinie, który tylko skinął ze znawstwem głową i powtórzył:

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zamek.

Philpott przyznał mu rację i spytał brygadiera, czy wie o jakichś zamkach w Jugosławii.

– To ma być właśnie tam? – bąknął Tomlin. Philpott skinął głową. Brygadier wzruszył ramionami. – Setki?

– Prawdopodobnie nie – powiedział Philpott. – Ale jest ich tam wystarczająco wiele, by utrudnić odszukanie tego właściwego bez bliższych danych.

Urzędnik przyniósł kopie noty z żądaniem okupu i Philpott, podobnie jak wcześniej Hemmingsway, aż gwizdnął, przeczytawszy, że Smith żąda szlifowanych diamentów wartości pięćdziesięciu milionów dolarów.

– To od cholery pieniędzy – mruknął w zadumie.

– A co z resztą? – bąknął drżącym głosem Tomlin.

– Z resztą? – powtórzył za nim jak echo Philpott. Tomlin pomachał kartką z Associated Press, zawierającą pełną historię, w odróżnieniu od raportu UNACO rozbitego na paragrafy z analizą, z których Philpott posiadał tylko pierwszy.

– O ile kraje arabskie – streszczał notatkę Tomlin – albo ktoś... tu wymienione jest UNACO, nie spełnią żądań Smitha, będzie co trzy godziny zabijał jednego ministra.

– Mój Boże – wyszeptał brygadier – ten człowiek musi być szalony. Sądzi pan, że mówi poważnie?

Philpott spojrział na niego znad raportu UNACO.

– Tak, jak najpoważniej – przyznał grobowym głosem. – I może być również wystarczająco szalony, by spełnić swoją groźbę.

Sonia Kolchinsky zacisnęła usta w wąską linię.

– Czy jest tam wymieniony jakiś ostateczny termin, brygadierze?

Tomlin spuścił ponownie wzrok na trzymaną w ręku kartkę.

– Jest – powiedział po chwili. – Godzina od... – zerknął na zegarek -...od mniej więcej teraz. Akceptacja warunków Smitha przez UNACO musi zostać nadana Siecią Wojsk Amerykańskich z Rzymu dokładnie o godzinie 10.00 czasu lokalnego. – Podniósł wzrok na Philpotta. – Pozdrowienia dla pana, sir – dodał.

Philpott wciągnął w płuca ogromny haust powietrza i wypuścił je pod postacią westchnienia, w którym było tyle samo rezygnacji, co frustracji.

– Godzina – mruknął – tylko jedna godzina i możemy stracić Hawleya Hemmingswaya.

– Dlaczego akurat Hemmingswaya? – zdziwiła się Sonia.

Philpott uśmiechnął się.

– A wyobrażasz sobie Smitha dokonującego egzekucji cennego Araba przed nie wchodzącym w zakres negocjacji Amerykaninem?

Chłodna bryza mierzwiła włosy Philpotta, a ciepłe promienie słońca zalewające Piazza Barberini zmuszały go do osłaniania oczu dłonią i zerkania w górę na kelnera spod przymrużonych powiek.

– *Signore?* - spytał kelner.

– *Eee... capuccino* - zamówił Philpott. I w tym momencie dostrzegł postać mężczyzny wychodzącego ze stacji metra i przecinającego ulicę.

– *Signore!* - zawołał za odchodzącym kelnerem. Kelner odwrócił się z wyczekującym błyskiem świeżo odprasowanego, białego kitla. – *Due capuccine* - powiększył zamówienie Philpott.

– *Due* - powtórzył za nim jak echo kelner. – *Prego, Signore* - i oddalił się pośpiesznie. Człowiek z metra podszedł do stolika Philpotta i przysiadł się nie czekając na zaproszenie ani się nie uśmiechając...

Priorytetowym zadaniem, jakie postawiła przed sobą UNACO po przeanalizowaniu każdego aspektu noty z żądaniem okupu, było znalezienie wybiegu, który pozwoliłby zyskać na czasie. Po drugie, trzeba będzie zebrać ten okup. To ostatnie było łatwiejsze. Sonia, z polecenia Philpotta, odbyła rozmowy telefoniczne z giełdami diamentów w Johannesburgu i Amsterdamie oraz z naczelnym dyrektorem De Beersa. Kredyt UNACO opiewał na tę sumę. Dostawa ekwiwalentu w szlifowanych diamentach miała dotrzeć z Amsterdamu następnym rejssem z Schipol na Fiumicino.

Tymczasem Philpott sondował ostrożnie sytuację.

– Muszę mieć czas na znalezienie Smitha – żądał waląc otwartą dłońią w stół w sali operacyjnej NATO. – Nie można dopuścić, by przejął inicjatywę. Kiedy tylko nadamy przez radio naszą zgodę na jego warunki, wskaże od razu miejsce, gdzie okup ma zostać dostarczony i zwieje z nim, zanim się obejrzymy.

– Ale nada pan tę zgodę? – spytał ostrożnie Tomlin. – Wiem, że to wbrew wszelkim zasadom, sir, ale chyba zgodzi się pan ze mną, iż nie możemy ryzykować życia któregokolwiek z ministrów OPEC. Chyba że pan przeczuwa, iż Smith blefuje.

Philpott przesunął powoli dłońią po czole i pozwolił palcom ześlizgnąć się na twarz. Spojrzał w okno i zapatrzył się na cichy zamęt rzymskiego ruchu ulicznego daleko w dole.

– Może blefować w tym sensie, że ja nie wierzę, aby sam zabił jakiegoś ministra – odparł w końcu. – Zabijanie nie pasuje do stylu Smitha. Są z nim jednak ludzie niezrównoważeni... Mam przybliżone charakterystyki dwóch z nich. A poza tym Smith nie zawaha się na

pewno przed zainscenizowaniem egzekucji na tyle przekonywająco, by skłonić jednego z pozostałych zakładników do przekazania nam wiadomości o niej jako faktu. Nie mam żadnych wątpliwości, że Smith dysponuje nadajnikiem radiowym – i wykorzysta go, by nas szantażować, nadając krótkimi wiązkami, żeby uniemożliwić nam określenie częstotliwości transmisji.

Tomlin pokiwał ponuro głową.

– Nie wiedzielibyśmy nawet, czy to prawda, czy nie – przyznał. – Musielibyśmy przyjąć, że to się rzeczywiście stało. To byłby błąd, którego nie bylibyśmy w stanie zdemaskować.

Obaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Raptem Philpott przesunął się gwałtownie na brzeżek fotela i zapisał coś w leżącym przed nim notesie. Wydarł pierwszą stronę i podał ją Tomlinowi.

Brygadier przeczytał tekst i uśmiechnął się oszołomiony.

– Takie to proste? – zdumiał się.

Philpott wzruszył ramionami.

– Musimy zyskać na czasie.

– Ale nie ma pan zielonego pojęcia, jak skontaktować się ze Smithem, bo nie wiemy, gdzie on się znajduje – wysunął obiekcję brygadier.

– Właśnie usiłuję się tego dowiedzieć – odparował Philpott. – Muszę go wykurzyć. Niech pan każe nadać komunikat o naszej zgodzie Siecią Wojsk Amerykańskich o godzinie dziewiątej trzydzieści, a potem jeszcze raz o dziesiątej i Smith, gwarantuję to panu, odezwie się. Wtedy znajdę sposób, aby go dopaść.

– A jeśli pan nie znajdzie?

– Jeśli nie znajdę, stracimy Hemmingswaya.

Tomlin zacisnął ze smutkiem usta.

– Całe szczęście, że to nie ja muszę podejmować tego rodzaju

ryzyko – powiedział. – Wasz prezydent będzie niepokieszony tracąc za jednym zamachem i przyjaciela, i samolot, jeśli pan daruje tę lekkość tonu, sir.

Philpott przekrzywił głowę.

– Mając do czynienia ze Smithem, musimy chwytać się każdej szansy, brygadierze – podjął. – I niech pan będzie spokojny – zapewnił Tomlina – nie mam najmniejszego zamiaru poświęcać bez potrzeby Hawleya Hemmingswaya ani żadnego z ministrów od ropy naftowej, o czym prezydent Wheeler wie doskonale. Wydaje mi się, że potrafię dobrze rozegrać tę partię, ale to zajmie trochę czasu – a czasu akurat nie mamy. Mógłby mnie pan teraz zostawić na parę minut?

Tomlin skinął głową i odszedł w drugi koniec centrum operacyjnego. Philpott podniósł słuchawkę telefonu i odpowiedział po rosyjsku, gdy człowiek z ambasady Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich zgłosił się ze słowami:

– *Buon giorno, signore.*

Philpott podejmował grę, która, jeśli był w błędzie, nie tylko pozostawi ich całkowicie na łasce Smitha, ale również doprowadzi do zamordowania amerykańskiego sekretarza do spraw energetyki. Przełknął kulę, która napęczniała mu w ustach i powiedział:

– Chciałbym rozmawiać z generałem Aleksiejem Nesterenko.

Nastąpiła spodziewana chwila milczenia, zanim człowiek po tamtej stronie drutu udzielił również spodziewanej odpowiedzi: że w ambasadzie nie ma żadnego generała Aleksieja Nesterenko.

– Może znacie go lepiej pod kryptonimem: Myszkina – podsunął bez zająknięcia Philpott. Usłyszał cichy trzask oznaczający, że do rozmowy włączył się dyskretnie miejscowy komendant posterunku KGB.

– Nie znamy nikogo o tym nazwisku i nie wiemy, co pan rozumie

pod określeniem „kryptonim” – odparł powściągliwie operator.

– Bardzo dobrze – powiedział Philpott – będę musiał przyjąć, że odmawiacie przekazania swoim przełożonym pewnej ważnej, decydującej dla powodzenia ich planów informacji, którą powinni otrzymać. A więc żegnam.

– Ej, niech pan chwileczkę zaczeka, *signore* - wpadł mu w słowo operator przechodząc na włoski. – Pan... pan nie... – wyraźnie starał się tłumaczyć na bieżąco instrukcje przekazywane mu inną linią -... nie podał nam pan swojego nazwiska.

– Nazywam się Malcolm Philpott i jestem dyrektorem Organizacji do spraw Zwalczenia Przemocności przy ONZ. Nie bardzo rozumiem, dlaczego was to interesuje, skoro twierdzicie, że nic nie wiecie o człowieku, któremu chcę przekazać tę informację.

Znowu zapadło milczenie i Philpott słyszał w słuchawce tylko kanonadę trzasków, jakby na linii kopulowały pasikoniki. Po chwili operator znowu się odezwał.

– Jest, jak pan mówi, panie Philpott, nie znamy człowieka, o którego pan pytał, ani tego drugiego nazwiska, którego pan użył. Ale dałoby się może coś zrobić, gdyby powiedział nam pan, gdzie można pana w najbliższym czasie znaleźć.

– A po co? – spytał niewinnie Philpott.

Po tych słowach operator znowu się zaciął, a potem wydusił z siebie kulawą wymówkę, że mogłoby to pomóc w poruszanej sprawie.

Philpott bawił się z nim tak jeszcze z minutę, po czym powiedział z odcieniem szorstkości w głosie:

– No dobrze. Będę w Ristorante Aurelio na Piazza Barberini dokładnie za dziesięć minut. Będę pił kawę przy stoliku ustawionym na trotuarze. Mogę też palić cygaro. Bez wątpienia obrażę kelnera i odmówię zapłacenia rachunku. Piazza Barberini, jak zapewne wiecie,

znajduje się dość blisko ambasady amerykańskiej na Via Veneto.

– Wiemy, gdzie się mieści ambasada amerykańska, *signore* - odparł sztywno operator i przerwał połączenie.

– Musiał się pan spodziewać mojego telefonu – zauważył figlarnie Philpott, kiedy na stoliku zjawiła się kawa. Myszkin prychnął z dezaprobatą i zmienił zamówienie na *caffé negro*. Philpott przeprosił i przesunął na swoją stronę stolika drugą filiżankę *capuccino*.

– Niech pan mówi, co ma mi do powiedzenia, i proszę się z tym pospieszyć – oznajmił cierpko Myszkin.

– Nie interesuje pana, skąd wiem, że jest pan w to zamieszany, a nawet, że jest pan w Rzymie? – spytał Philpott.

– Nie wiedział pan tego – odparł Myszkin. – To strzał w ciemno. Nie może też pan wiedzieć nic pewnego o jakimkolwiek zamieszananiu mnie, czy mojego kraju w aferę, która zaprzęta obecnie pańską uwagę.

– No to dlaczego pan tu przyszedł? – naciskał delikatnie Philpott. Nie mógł ryzykować spłoszenia Rosjanina, chociaż słusznie podejrzewał, że Myszkin nie ma najmniejszego zamiaru dać się zastraszyć.

Myszkin wspaniałomyślnie pozwolił namiastce uśmiechu rozjaśnić swą lodowatą twarz.

– Ciekawość, panie Philpott, nic więcej. Mój... eee... szybki awans na kierownicze stanowisko w Biurze Politycznym zainteresował najwyraźniej nie tylko zachodnie tajne służby, ale i UNACO, w przeciwnym przypadku nie znałby pan nawet mojego prawdziwego nazwiska, nie mówiąc już o kryptonimie. Niewykluczone również... – zawahał się, jakby miał trudności z przystaniem na kompromis -... niewykluczone również, że możemy sobie nawzajem pomóc.

– Tak głęboko w tym siedzicie, Myszkin? – zapytał ironicznie Philpott.

– Nic z tych rzeczy – zaprotestował Myszkin. Zapalił cuchnącego papierosa zapalniczką Dupont i łyknął kawę. Potem przyjrzał się swoim paznokciom i zerknął z uznaniem na plac; w kierunku Via Veneto zmierzała grupka czterech pięknych i wyzywająco umalowanych dziewcząt. Były młode i ponętne. – Czyżby jakaś potajemna randka? – wyszeptał do Philpotta. – Spotkanie z podtatusiałymi facetami w którymś z tych rujnująco drogich hoteli?

– O tej porze? – pokręcił głową Philpott, ubawiony dylematem Rosjanina. Potem spojrział na zegarek i doszedł do wniosku, że tę szaradę trzeba wreszcie rozwiązać. KGB wyraźnie nie mogła przejąć inicjatywy; musi więc to zrobić UNACO.

Zaczął powoli, zapaliwszy przedtem papierosa i wydmuchnąwszy w kierunku Myszkina kunsztowne kółko dymu.

– Skoro wspomniał pan już o sprawie, która obecnie zaprzęta moją uwagę, tak pan to chyba ujął, to czy nie uzna pan tego za nieuprzejmość albo *outré*, jeśli bezpośrednio do niej nawiążę?

Myszkin zdawał się go nie słyszeć. Philpott uśmiechnął się i strzepnął popiół na chodnik.

– Zaangażowanie UNACO w tę sprawę jest oczywiste – ciągnął Philpott. – Atak na osobisty samolot prezydenta Stanów Zjednoczonych to przestępstwo dostatecznie samo w sobie poważne, ale kiedy wśród pasażerów znajdują się czołowe postaci OPEC, jest to już coś, co cały świat na pewno musi potępić – a przynajmniej nie może zignorować. Ten kryminalista Smith, którego nazwisko nie może być panu obce – Myszkin zastanawiał się przez chwilę ostentacyjnie, w końcu pokręcił głową – a więc wspomniany przeze mnie Smith stanął pod pręgierzem światowej opinii publicznej; protesty płyną ze wszystkich stron. Jest to akt cynicznego bandytyzmu i trzeba go ścigać wszelkimi środkami dostępnymi praworządnym narodom, mając na uwadze bezpieczeństwo

cywilizowanego świata.

Myszkin słynął ponuro głową i metodycznie rozduśił w popielniczce niedopałek papierosa. Spojrzał pytająco na Philpotta i poczęstował się cygarem z eleganckiego skózanego futerału Amerykanina, który zdobiła kaligrafowana złotymi literami inskrypcja: „Z wyrazami sympatii i uznania: Leonid Breżniew”.

– Naturalnie – podjął Philpott – Smith musi działać sam, bo jest nie do pomyślenia, by jakkolwiek kraj – powiem, więcej, kraj który mógłby się okazać klientem UNACO – zaoferował takiej kreaturze poparcie, nie mówiąc już o pomocy.

– Naturalnie – zgodził się z nim Myszkin.

– Kraj taki, jeśli istnieje, wzbudziłby w stosunku do siebie wrogość każdego członka ONZ, a zwłaszcza państw posiadających wpływ w tak wrażliwych rejonach świata, jak Bliski Wschód, w miejscach, które mogłyby mieć decydujące znaczenie dla takiego hipotetycznego państwa na tyle lekkomyślnego, by wspierać pirata pokroju Smitha, człowieka nie związanego z nikim politycznie ani nie posiadającego sumienia.

– Fakt – skomentował Myszkin odczytując z wystudiowanym skupieniem rachunek za kawę. – Te modne *ristoranti* nie są tanie, panie Philpott.

– Podobnie jak międzynarodowy szacunek, generale Nesterenko – odparował Philpott. – Ale wracając do tematu – kraj taki popełniłby niewybaczalny błąd zakładając, że Ameryka wzięłaby na siebie całą winę za ten niefortunny incydent, w wyniku którego, co wcale niewykluczone, zginąć może jeden albo kilku ministrów OPEC.

Myszkin spojrział na niego przenikliwie.

– Czemu pan mi to mówi? – zapytał obcesowo.

Philpott zapoznał go z warunkami żądania okupu przedstawionymi przez Smitha i z towarzyszącą im groźbą.

– Wszystko wskazuje na to, że właśnie na Ameryce, przynajmniej w tym momencie, skupia się lwia część międzynarodowej krytyki – zauważył Rosjanin.

– Ale to – odparł bez ogródek Philpott – trwać będzie dopóty, dopóki świat nie pozna nazwy kraju, który pomógł Smithowi w przygotowaniu tego porwania. A kiedy już wyjdzie na jaw, że Smith korzystał z aktywnego poparcia i pomocy, z dostarczeniem mu ludzi i broni oraz umożliwieniem poruszania się w nieprzyjaznym środowisku włącznie, oburzenie poszkodowanych państw zwróci się, bez cienia wątpliwości, na kraj, dzięki któremu stało się to możliwe.

Rosjanin uśmiechnął się niemal z podziwem.

– Pańska dieta musi być oparta wyłącznie na marchwi i rybach, panie Philpott – powiedział sucho. – Jest pan wytrawnym mistrzem w strzelaniu w ciemno.

Philpott przywołał kelnera i uregulował rachunek, nie otrzymując należnej reszty, której się, prawdę mówiąc, nie spodziewał. Na stoliku, między sobą a Rosjaninem, położył z namaszczeniem kopię dziennika *Il Messaggero*.

– Wiem, że pańscy rodacy szczytą się śledzeniem na bieżąco włoskiej myśli politycznej – powiedział. – Na pierwszej stronie tej gazety zamieszczony jest tekst komunikatu, który będzie nadany za pośrednictwem Sieci Wojsk Amerykańskich za mniej więcej trzy minuty. Zostanie on powtórzony o godzinie dziesiątej. Nie jest to wiadomość, której oczekuje Smith. Jest to prośba o dwugodzinną zwłokę. Jako dyrektor UNACO doceniłbym, naprawdę uznałbym to za wielką przysługę, gdyby można było wywrzeć na Smitha jakiś nacisk, by przychylił się do tej prośby. Ma się rozumieć, gdyby któremuś z ministrów stała się jakaś krzywda, Smith będzie ścigany na krańce świata. Może zechciałby pan rozważyć, drogi panie Myszkin, jak by tu najlepiej przekazać tę informację panu Smithowi.

Myszkin spojrzał na niego dobrotliwie.

– Ja, panie Philpott? Jakaż to możliwa do wyobrażenia przyczyna mogła podsunąć panu myśl, że dysponuję jakimś kanałem łączności z tym potworem?

Philpott skłonił głowę.

– Jeśli tak odebrał pan moje słowa, generale, to bardzo pana przepraszam. Na pewno wkrótce znowu się spotkamy.

Wyszedł z restauracji na Piazza Berberini i pod krawężnik podjechał natychmiast długi, granatowy samochód dla personelu NATO, z proporczykiem trzepoczącym na przedzie maski. Philpott wszedł i wóz ruszył.

Myszkin jeszcze raz zaciągnął się z namaszczeniem kubańskim cygarem, pozbawił je stożkowego czubka popiołu, po czym rzucił na ziemię jarzący się wciąż niedopałek i przydepnął go wychodząc na plac. Od tyłu podjechała natychmiast czarna limuzyna marki Zil z radziecką flagą trzepoczącą na przedzie maski. Myszkin odwrócił się i w tym samym momencie otworzyły się drzwiczki...

Pięć minut po godzinie dziesiątej w sali operacyjnej NATO zadzwonił telefon i w słuchawce rozległ się głos Smitha:

– Dwie godziny, Philpott, i ani sekundy dłużej.

– Masz moje słowo – odparł Philpott bacząc, by nie zdradzić tożsamości swego rozmówcy przed stojącym obok Tomlinem. – To konieczne dla załatwienia pewnych formalności.

– Tylko żadnych sztuczek, Philpott – ostrzegł go Smith. – Pamiętaj, że na moją łaskę zdani są nie tylko Amerykanie i Arabowie, ale i twoja szanowna Sabrina Carver.

– Racja – przyznał Philpott – chociaż ufam, że nie wyrządzisz im krzywdy. Sądzę, że musisz już wiedzieć od Dunkelsa, iż mój przyjaciel, do niedawna szef ochrony Air Force One, zbiegł z aresztu w Bahrajnie. Był w twoich rękach jedyną kartą, którą mogliby się

ewentualnie zainteresować Rosjanie. Wiem, że nie przyjmą ze szczególnym entuzjazmem faktu, iż nie zdołałeś go przytrzymać dla ich oficerów śledczych. Bez wątpienia spreparowałeś na poczekaniu jakąś historyjkę, żeby na razie uśpić ich czujność, ale kiedy dowiedzą się ode mnie o jego ucieczce, na pewno mi uwierzą, Smith. Nie sądzę, byś sobie życzył, żeby to do nich dotarło.

– Stąd właśnie moja zgoda na zwłokę, o którą prosiłeś – odparł Smith. – Mądrze wykorzystaj ten czas, dyrektorze.

– Taki też mam zamiar – powiedział Philpott podnosząc wzrok na Tomlina.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Na ile McCafferty się orientował, pilot kamowa musiał stosować się do rozkazów, które zalecały mu lot na małej wysokości, celem uniknięcia wykrycia przez radar. Mac przymknął gaz zostając trochę z tyłu, skąd mógł w racjonalniejszy sposób wykorzystać swoją przewagę wysokości do śledzenia poczynąń Dunkelsa. Helikopter najwyraźniej starał się omijać nawet najmniejsze wioski, nie mówiąc już o większych skupiskach ludzkich.

Amerykanin doszedł do wniosku, że wszystkie środki ostrożności podejmowane przez pilota kamowa wskazują na to, że jedyne źródła zagrożenia będzie on upatrywał nad sobą, i baczył pilnie, co się dzieje w górze. Mac zdecydował, że wobec tego najlepsze miejsce dla kogoś, komu zależy na dyskretnym następowaniu mu na pięty, znajduje się za ogonem i poniżej helikoptera.

Przymykając przepustnicę, kopnął z całej siły orczyk, ściągnął do siebie drążek sterowy i kładąc maszynę na skrzydło, ześlizgnął się w kierunku ziemi. Podjął ponownie poziomy lot po prostej, znalazłszy się na wysokości około pięćdziesięciu stóp i w odległości mniej więcej ćwierć mili za małym kamowem, który dosłownie ocierał się o wierzchołki drzew.

Przez następne sto mil, albo coś koło tego, McCafferty nie widział praktycznie nic prócz smug zieleni i brązów przemykających przez peryferia jego pola widzenia. Koncentrował się na stalowoszarej sylwetce kamowa przelatującego nad płytkimi dolinami, tańczącego nad szczytami wzgórz, flirtującego z koronami wysokich leśnych drzew i burzącego powierzchnie około tuzina szafirowobłękitnych jezior.

I tak na zmaganiu się ze sterem wysokości, z orczykiem i z lotkami, na otwieraniu i przymykaniu po tysiącokrotnie przepustnicy, by pozostać niezauważonym, a jednocześnie zachować kontakt wzrokowy z obiektem, którego szybkość wahała się pomiędzy dziewięćdziesięcioma milami na godzinę (z dostosowaniem się do której McCafferty nie miał większych trudności) a niecałymi pięćdziesięcioma, upłynęło McCafferty'emu półtorej godziny. Najgorsze były okresy, kiedy kamow leciał z minimalną szybkością, bo wtedy UTVA zmuszony był do wytracania szybkości do punktu przeciągania, przy którym maszyna zataczała się, opornie reagując na stery, a zbyt mała wysokość wykluczała naprawienie skutku najmniejszego nawet błędu pilota. Pot ściekał po twarzy Maka, a jego przekleństwa dorównywały głębią błękitowi nieba i wody.

Nagle teren zaczął się pięć stromo w górę. Wysokościomierz Maka wskazywał tysiąc dwieście stóp ponad poziom zerowy, który nastawił przed startem z leżącego na nizinie lądowiska w okolicach Gory. Spojrzał czujnie przed siebie. Wznosiły się tam wysokie na pięć albo i sześć tysięcy stóp górskie szczyty. Jeden rzut oka na zmiętoszoną, leżącą przed nim mapę pozwolił mu zidentyfikować górskie pasmo jako Alpy Dynarskie.

Kiedy poderwał wzrok znad mapy, nie zobaczył już kamowa.

Opanował i stłumił ogarniającą go zrazu panikę. Był przekonany, że helikopter nie mógł tak po prostu rozwiać się w powietrzu albo zapaść pod ziemię. W pierwszym odruchu chciał już otworzyć do oporu przepustnicę i wyrwać przed siebie z maksymalną szybkością, ale instynkt i ostrożność powstrzymały go przed tym krokiem. Tłumaczył sobie, że kamow wciąż gdzieś tu jest; problem w tym, że nie potrafił go wypatrzyć.

Poderwał UTVA w górę stromą, spiralną świecę, by nie przyciągając niczyjej uwagi, wlecieć za chwilę na rozciągające się

przed nim tereny. W niewiele ponad trzy minuty później na podziałce wysokościomierza przybyło już cztery tysiące stóp i wtedy Mac powrócił na poprzedni kurs. Wyrżał na prawo przeczesując wzrokiem skalisty teren. Potem uśmiechnął się i powiedział:

– A to się zamelinował.

Tajemnica się wyjaśniła. Helikopter przemknął nad krawędzią naturalnej formacji lodowcowej i ześlizgnął się w znajdującą się po drugiej stronie dolinę o stromych zboczach. Przypominała odcisk kciuka pośród poszarpanych, spiczastych gór, a u szczytu wijącej się serpentynami drogi widniała okolona drzewami, trawiasta platforma wpasowana w zbocze wzgórza.

Naprzeciw tej naturalnej półki, która z początku zdawała się być ledwie ciemniejszą smugą, ale teraz rosła Makowi w oczach do właściwych proporcji, wznosił się zamek wtłoczony kunsztownie w górski załom.

Nieco niżej wykuto w skale i wygładzono płaski taras. Kamow przysiadł na nim i łopatki wirnika zwolniły obroty do tempa spacerowego.

Siegfried Dunkels przybył na miejsce przeznaczenia...

Do centrum komputerowego NATO wpadł zdyszany adiutant i spytał o Philpotta. Odesłany do właściwej osoby poirytowanym machnięciem ręki rudowłosego amerykańskiego majora, kurier szepnął szefowi UNACO, że czeka na niego transport, który odwiezie go na lotnisko Leonardo da Vinci, skąd wkrótce odlata samolot do Zagrzebia. Philpott był akurat zajęty wysłuchiowaniem zapewnień Soni, że diamenty zostały zebrane i wysłane pod opieką czołowego członka Amsterdamskiej Giełdy Diamentów, i jednocześnie borykaniem się z oczywistą operatywnością Tomlina, którą ten usiłował wyrzucić na UNACO wrażenie swej oczywistej operatywności.

– Poderwałem też w powietrze dywizjon myśliwców P-90 z zadaniem przeczesywania kwadratami plaż, mielizn, słowem – wszelkich otwartych terenów mogących pomieścić 707 – rozwoził się brygadier.

– Jugosłowiańskich plaż? – spytał ze zdziwieniem Philpott. – Przecież Jugosławia nie jest członkiem NATO, brygadierze.

Tomlin gapił się na niego jak uczeń przyłapany na wychodzeniu z klubu striptizowego.

– Wiem o tym, sir – warknął – i chociaż wygląda na to, że włączamy Jugosławię do obszaru poszukiwań tylko formalnie, by mieć sprawdzony cały ten obszar obejmujący poza tym Włochy, Sycylię, Grecję i jej wyspy, Korfu oraz wybrzeże Albanii, mimo to nawiązałem kontakt z władzami jugosłowiańskimi i naświetliłem problem, o którym, naturalnie, już wiedzą, ponieważ afera wyszła na jaw w ich własnym kraju. Również podejrzewają, że Air Force One i zakładnicy znajdują się na terenie Jugosławii i...

– I w związku z tym uważają, że marnuje pan paliwo lotnicze szukając gdzie indziej, a jednocześnie nie zapraszają pana do siebie. Zgadza się, brygadierze?

– Coś w tym rodzaju, sir – bąknął Tomlin.

– I dlatego właśnie udaję się do Zagrzebia – oznajmił Philpott – bo nawet jeśli nie chcą, aby NATO buszowało po całym ich pięknym kraju, to wpuszczą do siebie – są do tego zobowiązani z racji swego członkostwa – mały kontyngent UNACO.

Tomlin przyznał następnie, uśmiechając się z zakłopotaniem, że jego piloci otrzymali instrukcje nie przesadzania ze skrupulatnością przy przeszukiwaniu rejonów leżących poza obszarem powietrznym Jugosławii.

– Nie zmarnujemy zbytnej ilości paliwa, sir – dodał – choćby tylko z tej przyczyny, że nie mamy zielonego pojęcia, gdzie można ukryć

tak wielki samolot.

Philpott przerwał wkładanie dokumentów do aktówki i zaszczyił wojskowego współczującym, acz wyrozumiałym spojrzeniem.

– Nie znajdziecie go, brygadierze. Nie można, go zamaskować, a więc Smith ukryje go i wyeliminuje wszelką możliwość wyśledzenia maszyny czujnikami ciepła ochładzając ją, albo coś w tym rodzaju. O ile go znam, samolot znajduje się już pod dachem i jest owinięty brezentem.

Tomlin pokiwał głową.

– Chyba ma pan rację – westchnął. – Odwołam te psy gończe. Ale nawiasem mówiąc – dorzucił – jest jeszcze coś, co mi nie daje spokoju. – Zaczekał na zachęcające przekrzywienie głowy szefa UNACO i podjął: – Chodzi o to, że Triest leży sporo poza naszym zasięgiem. Dlaczego, według pana, Smith przesłał żądanie okupu właśnie tam?

Philpott przeanalizował w myślach to pytanie.

– Słusznie, brygadierze; bardzo słusznie. – Tomlin aż pokraśniał z zadowolenia. – Mogę tylko zakładać – ciągnął dyrektor – że miało to nas naprowadzić na fałszywy trop. Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, coraz bardziej skłaniam się ku opinii, że bliższy przypuszczalnego centrum naszej działalności jest Dubrownik, tak więc Zagrzeb będzie dobrym punktem wyjściowym. Niech pan myśli dalej. Jest pan w tym naprawdę niezły, brygadierze.

Z tymi słowami Philpott schylił się, żeby pocałować Sonię, na widok czego Tomlin jeszcze bardziej się zaczerwienił i wyszedł z pokoju, wyprowadzając za sobą grupę umundurowanych akolitów.

Trzy minuty po starcie samolotu rejsowego, którym odleciał Philpott, na biurku Soni Kolchinsky zadzwonił telefon i zdyszany głos w słuchawce wysapał: Soniu, jest tam szef? Muszę z nim mówić. Tu Joe McCafferty. Znalazłem Smitha.

Sonia skinęła palcem na rudowłosego majora, który podskoczył ochoczo na to wezwanie i zatrzymał się z poślizgiem przed jej fotelem.

– Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało ani ile trudności przysporzy – oznajmiła – ale trzeba przełączyć rozmowę z tej linii – wskazała na trzymaną w ręce słuchawkę – na pokład samolotu, którym leci pan Philpott. I to już.

– Tak jest, pszepani – wyrzucił z siebie major – się robi, pszepani, – Wypadł na korytarz i pognał do centrum łączności, jakby od tego zależało zapobieżenie wybuchowi trzeciej wojny światowej...

Sabrina i Feisal odmówili jedzenia śniadania, ale Feisal musiał spożywać posiłki o ustalonych porach, zaczęli więc skubać bez apetytu przekąski, jakie Smith przysłał do attyckiej komnaty na drugie śniadanie. Była to jakaś papka okraszona przypalonymi grzankami i szybko uznali ją za niejadalną.

– Nie miałam pojęcia, że jugosłowiańska kuchnia jest taka niedobra – zaczęła Sabrina i zaraz tego pożałowała, bo Feisal wdał się w dysertację na temat środkowoeuropejskich tradycji kulinarnych.

Porzucił jednak ten temat, gdy wzniosła oczy do nieba w parodii przerażenia; i poszedł za jej spojrzeniem, gdy to, zamiast z powrotem opaść, pozostało w górze. Dostrzegła tam coś, czego przedtem nie zauważyli – mały otwór w suficie, w miejscu, gdzie ten łączył się z nagą skałą górskiej ściany. Sabrina podeszła do narożnika komnaty i mrużąc oczy, spojrzała przez otwór.

– Hej – wykrzyknęła – widzę dzieńne światło, Feisalu.

Mały Arab podszedł do niej i oboje przesunęli palcami po skalnej ścianie. Złącze było w rzeczywistości płytką rynną wybiegającą ponad sufit i wpuszczającą, jak zauważyła Sabrina, światło dnia przez dziurę powstałą u samego jej szczytu.

– Nie sędzę, żebym się przez nią precisnęła – powiedziała z

powątpiewaniem Sabrina, przymierzając ciało do szczeliny.

– Ale dla mnie jest w sam raz – stwierdził Feisal. – My, Arabowie, dbamy o ciała. Rozumiesz, mówię o naszej diecie.

– Tak, rozumiem, – pośpieszyła z zapewnieniem Sabrina. – Słuchaj, wiem, że chcesz jak najlepiej, Feisalu, ale nie jestem pewna, czy powinnam ci pozwolić na takie ryzykowne przedsięwzięcie, jak przeciskanie się przez tę dziurę. Twój dziadek byłby na mnie wściekły, gdyby...

– Byłby wściekły i na mnie, gdybym nie poszedł – odparował Feisal – tak więc postanowione. Teraz może będziesz tak miła i podsadzisz mnie do góry...

W chwili gdy Sabrina pochyliła się, żeby mógł jej wejść na plecy, usłyszeli chrobot żelaznego klucza w zamku. Gdy drzwi otworzyły się z impetem i do komnaty, potykając się po drodze, wpadł Bert Cooligan, siedzieli już jak gdyby nigdy nic przy stole.

– Był na tyle głupi, żeby próbować ucieczki – powiedział Ahmed Fayed, który pojawił się za agentem. – Jak sobie zapewne uświadamiacie, ucieczka z zamku Windischgraetz jest niemożliwa. Za swoje daremne wysiłki pan Cooligan posiedzi sobie teraz z wami.

Cooligan przysiadł na łóżku i rozcierał poobijane członki. Powiedział im, że urwał się strażnikowi podczas wizyty w toalecie i zdołał dotrzeć aż na dziedziniec, ale Fayed podniósł mu przed samym nosem most zwodzony.

– Dzielnie się spisałeś, Bert – pocieszyła go Sabrina – ale wydaje mi się, że ten człowiek miał rację mówiąc, że to beznadziejna sprawa.

Cooligan popatrzył na nich chytrze.

– Nie wierz w to, kochana – wyszeptał. – Skoro raz już uciekałem i złapali mnie, to jestem teraz ostatnim facetem, po którym spodziewaliby się ponownej próby. A ja właśnie to zamierzam zrobić: spróbować jeszcze raz.

– Dobra robota – pochwalił Cooligana Feisal. – Bądź pewien, że udzielię ci wszelkiej pomocy.

Cooligan wybałuszył oczy na chłopca.

– Nie gadaj – wybąkał zaskoczony.

Sabrina uśmiechnęła się.

– W tym właśnie rzecz, że cały czas gada – poskarżyła się. – Buzia mu się ani na chwilę nie zamyka. Ale teraz wie, co mówi. – I wskazała na rynnę w kącie komnaty.

Agent podszedł tam z nimi i kiwając z aprobatą głową podniósł Feisala w górę jak piórko. Wyciągnął na całą długość ramiona i wsunął chłopca w otwór. – Nie za ciasno? – zawołał.

– Lepiej niż w sam raz – odkrzyknął Feisal i wcisnąwszy się w rynnę przesłonił maleńki spłachetek światła...

Mac położył maszynę na skrzydło i ominął zamek z daleka. Poleciał nad doliną odnotowując w pamięci wyboisty, nie wykończony szlak, który służył za drogę. Dolina, łudząco mała z tej wysokości, przeciskała się przez wąwóz i przechodziła meandrami w płaską równinę. Nie dostrzegał w niej żadnego innego zamieszkanego obszaru. Z wysokości, na której teraz leciał, Amerykanin sięgał wzrokiem aż po Adriatyk i ławice maleńkich wysepek odpływających od wybrzeża.

Jego plan działania był pokrzepiająco prosty: musi gdzieś wylądować i skontaktować się z Philpottem, bo nie miał najmniejszych wątpliwości, że zlokalizował kwaterę główną Smitha, a zarazem miejsce uwięzienia zakładników. Obszar w kształcie patelni, nad którym teraz przelatował, był wylotem doliny, i Mac dostrzegł tam miejsce, o jakie mu właśnie chodziło: zrujnowany budynek i widoczne nadal z powietrza ślady wspaniałych niegdyś, rozległych i wypielęgnowanych ogrodów. Tam, gdzie kiedyś rozpościerał się wielki trawnik, teraz pasły się owce i kozy, ale teren

odpowiadał jego potrzebom, bo wyglądał na dosyć płaski i równy, i miał całe trzysta stóp długości.

Mac zszedł niżej i dokonał jednego szybkiego przelotu na małej wysokości, żeby lepiej przyjrzeć się nawierzchni i przepłoszyć zwierzęta w koniec pastwiska. Potem położył maszynę w ciasny skręt i przygotował się do lądowania. UTVA przemknął nad rozsypującym się kamiennym murkiem granicznym z szybkością dokładnie czterdziestu pięciu węzłów i pilot sprowadził go do idealnego, trzypunktowego przyziemienia, po czym wyhamował łagodnie i zatrzymał się wykorzystując tylko dwie trzecie dostępnej długości lądowiska.

Ujrawszy wielką, otwartą na oścież stodołę sąsiadującą z kępą wysokich drzew rosnących w pobliżu ruin domu, Amerykanin otworzył ponownie przepustnicę i podkołował w tamtym kierunku. Stodoła, chociaż sprawiała wrażenie, że się zaraz zawali i afiszowała się kilkoma dziurami w dachu, bez trudu połknęła mały samolocik.

Kilka chwil później Mac, który jeszcze z powietrza dostrzegł wioskę w niewielkiej, jak mu się wtedy wydawało, odległości, maszerował wydłużonym krokiem połą dróżką niczym rasowy turysta, co zboczył z bitego traktu. Dźwigał plecak, kurtkę miał przerzuconą przez ramię i pogwizdywał z pewnym zażenowaniem „Wesołego wędrowca”.

Wymienił z ogromną stratą dolary z Mackie-Beltonowskiej pożyczki na dinary, wychylił w gospodzie parę kufli piwa i dał łapówkę za wpuszczenie do wiejskiego urzędu pocztowego, w którym, jak się wcześniej upewnił, znajdował się jedyny w promieniu kilku mil telefon.

W dwadzieścia dosyć znojących minut, wykorzystując szesnastoletnią córkę urzędnika pocztowego w charakterze tłumaczki, Mac uzyskał wreszcie w magiczny sposób połączenie z Philpottem

szybującym na wysokości pięciu mil.

Poinformował dyrektora UNACO o lokalizacji zamku – który, jak się dowiedział od swych nowych przyjaciół, nosił nazwę Zamku Windischgraetz – i pouczył go, jak trafić do wioski Luka, gdzie się obecnie znajdował. Philpott ustalił czas ich spotkania na wczesny wieczór.

– Prawdopodobnie przyjadę sam – ostrzegł go Philpott. – Jeszcze nie skompletowałem obsady na Jugosławię. Nie mam pojęcia, na jaką mogę liczyć pomoc czy współpracę ze strony miejscowych władz, nie będę ci więc lepiej obiecywał odsiecz w sile armii. Wiele wskazuje na to, że będziemy to ty i ja, Joe.

– No to lepiej bądź w dobrej formie – poradził mu wesoło Mac, choć daleki był od pewności siebie w obliczu tego, co ich czekało.

Philpott rozłączył się i kiedy McCafferty wyruszał, trochę na osiołku, trochę piechotą, na rekonesans po okolicach zamku, samolot, którym leciał dyrektor UNACO, rozpoczął wytracanie wysokości przed lądowaniem w Zagrzebiu...

Feisal wysunął swe szczupłe ciało z dziury i spojrzał w dół urwistego zbocza góry. Przełknął ślinę, cofnął głowę, po czym zerknął w górę i rozejrzał się na boki. Rynna znikła w wylocie jaskini ziejącym powyżej zamku i chłopiec bez trudu pokonał dzielącą go jeszcze od niej odległość. Znalazł się teraz praktycznie na dachu zamku. Stał ostrożnie na jednej z piramidowatych wieżyczek, skąd roztaczał się widok na urwisko, drogę i dolinę za nią, oraz skąd widać było kawałek spadzistego okapu nad wąskim oknem dla wartowników w jego komnacie.

Stopa za stopą przesunął się po krawędzi piramidy aż do jej przeciwległego boku i opuścił na bardziej płaską część dachu. Spoglądając w górę ujrzał maszt flagowy sterczący ze szczytu wieżyczki; od nagiego słupa ciągnęła się linka mocująca.

Chłopiec uśmiechnął się i chciał już z powrotem wspiąć się na wieżyczkę, kiedy z dołu doleciał go gwar głosów. Feisal ukląkł i podpełzł do samej krawędzi dachu. Głosy dochodziły z otworu wentylacyjnego widniejącego wysoko w murze za którym, według oceny chłopca, znajdowała się sala trofeów, gdzie na początku osadzono zakładników. Właśnie mówił Smith...

– ...wynikałoby stąd, panowie, że poszczególnym rządóm panów mniej zależy na ich osobach, niż na stosunkowo drobnej kwocie, której wyłożenie ocaliłoby wam życie. W każdym razie nie widzę żadnego innego uzasadnienia dla prośby o dwugodzinną zwłokę, z jaką się do mnie zwrócili. Nie sądzę, aby byli tak głupi, żeby brać pod uwagę możliwość wytropienia nas w tym miejscu, ponieważ próbując tego, nieuchronnie wydaliby na was wszystkich wyrok. A zatem, powtarzam, mogę tylko zakładać, że kładą wasze życie na szali przeciw zaledwie pięćdziesięciu milionom dolarów w diamentach.

Smith oddzielił ministrów od bezwartościowej dlań załogi. Po jednej ręce miał Dunkelsa, a po drugiej Jaggera, uzbrojonych w pistolety maszynowe typu schmeisser, Fayed zaś dowodził oddziałem partyzantów, którzy trzymali pod lufami resztę sali trofeów.

Howley Hemmingsway, bez wątpienia najwyższy i najsilniejszy człowiek w sali, założył ręce na piersi i powiedział z pogardliwym uśmieszkiem:

– A może po prostu nie mają ochoty na wchodzenie w układy z takim śmieciem, jak ty, Smith. To przynajmniej byłoby zrozumiałe.

Smith spojrzał na niego z pełnym tolerancji rozbawieniem, ale ta uwaga ubodła go do żywego. Nie cierpiał, kiedy go krytykowano; część jego megalomańskiego pancerza stanowiło przekonanie, że zawsze musi mieć absolutną, nie podlegającą dyskusji rację, że trzeba go wielbić i podziwiać za estetyczne piękno popełnianych przezeń

zbrodni. Ponad wszystko szczyił się jednak swoją żelazną samokontrolą, która rzadko go opuszczała i której teraz potrzebował, by stłumić wściekłość, jaka w nim narastała. Formułował właśnie odpowiednio ciętą ripostę, kiedy szejk Zeidan wybawił go z kłopotu.

Stary Arab uniósł ostrzegawczo rękę i warknął pod adresem Hemmingswaya:

– Tylko spokojnie, przyjacielu, tylko spokojnie. Cierpliwości. Nie będzie się pan chyba licytował w obrzucaniu obelgami z wściekłym psem? Nie, niech pan zachowa milczenie i usunie się z placu boju.

Smith zacisnął zęby i wwiercił się wzrokiem z Zeidana, nie potrafił jednak wytrzymać płonącego, pogardliwego spojrzenia kaleki. Ale Hemmingsway, bostoński arystokrata o płynącej w żyłach angielskiej i kolonialnej krwi z sześciusetletnią, udokumentowaną metryką, nigdy nie musiał powściągać swoich emocji wobec takich kreatur, jak ta, którą miał przed sobą.

Rozplótł założone ręce i oddychając głośno przez rozchylone usta, opuścił je swobodnie wzdłuż ciała; oczy miał dzikie – obrażono istotę jego kultury i cywilizacji.

– Dziękuję za radę, Wasza Ekscelencjo – wycedził – ale długie lata spędziłem radząc sobie z takim jak ten elementem w warunkach wojennych i na polu polityki. Należy im do końca uświadomić, że ludzi takich jak pan, ja i pańscy koledzy nie da się zastraszyć. Nie można nas wykorzystywać i nie damy się wykorzystać w charakterze pionków w grze tych nędznych najemników, sprzedawać w ich marnym sklepiku jak towar, który przyniesie pieniądze na przedłużenie ich odrażającej egzystencji, który da im...

– Czemu nie zamkniesz gęby, jak ci radzi ten człowiek? – Suche, wypowiedane cichym głosem przez Cody Jaggera słowa wdarły się w wybuch Hemmingswaya i położyły na całej sali aurę pogroźki, której dotąd tam nie było. Doktor Hamady poszukał wzrokiem

źródła tego dźwięku i wyraźnie się wystraszył napotkawszy zimny wzrok Jaggera. Dorani pociągnął Hemmingswaya nerwowo za rękaw, ale Amerykanin wyrwał mu się. Szejk Arbeid oderwał wzrok od Jaggera i gdziekolwiek spojrzał, napotykał inne oczy... martwe oczy orłów, jeleni, niedźwiedzi, wielkich, rozwścieczonych psów; oczy oskarżające i bezlitosne.

Był to jednak dla Hemmingswaya punkt przełomowy. Smith działał przynajmniej na własny rachunek i brał na siebie odpowiedzialność za swe czyny, ale Jagger, amerykański renegat, zdrajca powodowany chęcią zysku, stał tak nisko w hierarchii wzgardy Hemmingswaya, że puściły ostatnie hamulce, jakie go jeszcze powstrzymywały.

– Ty, McCafferty – wysapał – ty... bez ciebie wszystko to nie byłoby możliwe. Zaprzedałeś siebie, swój kraj i honor tej bandzie wszy, żeby napchać sobie kieszenie i odpłynąć do rynsztoka, który zechce cię jeszcze przyjąć. – W kącikach ust sekretarza pojawiły się płatki piany. Postąpił jeden, dwa kroki w kierunku Jaggera i teraz dzieliło ich nie więcej niż dziesięć stóp.

– Wracaj, Hemmingsway – jęknął błagalnie doktor Hamady.

– Ani kroku dalej, chłopie – warknął Jagger. – Ostrzegam cię. – Ale Hemmingsway nawet go nie słyszał. Dygotał teraz z furii, a jego oczy i zmysły potrafiły rejestrować tylko stojącego przed nim człowieka.

– To, że mimo wszystko ośmieliłeś się odezwać do mnie, napawa mnie takim obrzydzeniem, że zbiera mi się na wymioty na samą myśl o tobie – zagrzmiał. – W porównaniu z tobą Smith jest rycerzem w lśniącej zbroi. Choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię, McCafferty, dopilnuję, żebyś poniósł karę za swą zdradę. Zadbam o to, żebyś zapłacił za skalenie munduru, który wciąż jeszcze nosisz. Słyszysz, ty gnido, ty śmieciu... słyszysz? Rozedrę cię na strzępy

własnymi rękami... – postąpił jeszcze jeden krok – wydrę ci...

Nie celując, nie poruszając się nawet, Jagger zacisnął palec na spuście pistoletu maszynowego i posłał serię pocisków w Hemmingswaya, który nadal zbliżał się do niego z rozrzuconymi ramionami. Jedna z dłoni odleciała w bok, oderwana na wysokości nadgarstka; twarz Hemmingswaya znikła, jej kontury i rysy rozmasowały się w miazdze krwi i kości; tułów został niemal przecięty na dwoje przez przeszywające go pociski, a zmysły każdego z ludzi obecnych w sali poraził smród spalonego prochu.

Smith podjął niezdecydowaną próbę powstrzymania dublera, ale to nie miało sensu, bo Cody Jagger był człowiekiem dżungli; nie miał sumienia, nie miał litości, nie miał skrupułów. I nie potrafił nad sobą panować, bo nigdy nie musiał tego robić. Hemmingsway naprawdę sądził, że miewał do czynienia z ludźmi najgorszego pokroju, ale nie spotkał jeszcze kogoś takiego, jak Jagger, całkowicie amoralnej kreatury z samego dna podziemnego świata.

Gdy było już po wszystkim, Smith położył dłoń na ramieniu Jaggera i nie cofając jej, patrzył dublerowi w oczy zimnym, spokojnym wzrokiem, dopóki nie wygasł w nich morderczy blask.

– Tak więc panowie – odezwał się Smith ponuro, zwracając znowu swą fałszywą i przystojną twarz ku Arabom – doszło do tego. Zraniliście mój honor i honor moich ludzi. Jestem, chociaż możecie się z tym nie zgodzić, człowiekiem honoru. Nie planowałem tego... nie możecie mieć co do tego żadnych uzasadnionych wątpliwości. Może jednak incydent ten posłuży za ostrzeżenie wam i tym rządóm, które wykazują dla was tak mało szacunku, że nie potraktowały mnie poważnie.

Jak już powiedziałem – ściszył głos tak, że musieli wyteżać słuch, by zrozumieć, co mówi – jak już wam powiedziałem, jestem człowiekiem honoru. Dotrzymuję słowa. Powiadomiłem Malcolma

Philpotta z UNACO, że jeśli wasze kraje nie zbiorą należnego mi okupu i nie powiadomią mnie o tym, będę co trzy godziny dokonywał egzekucji jednego z was. Chyba powinienem was teraz poinformować, że zamierzałem stracić pana Hawleya Hemmingswaya dokładnie w południe. Swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem pozbawił się godziny życia. Tacy ludzie są głupcami. Wy, jak sądzę, do nich nie należycie.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł pozostawiając zakładników zmartwiałych z przerażenia niczym żywy obraz uwięziony w bryle lodu.

Odgłosy potwornej zbrodni popełnionej w sali trofeów przyniosła Feisalowi lekka bryza i chłopiec tulił się teraz kurczowo do wieżyczki, powstrzymując całą siłą woli napływające do oczu łzy. Postanowił zakończyć na tym swoją misję i pomagając sobie łokciami, ramionami i dłońmi spuścił się rynną z powrotem w dół.

Gdy jego nogi wysunęły się z dziury w suficie, Cooligan krzyknął:

– Skacz, synku. Złapię cię. – Feisal zrobił, jak mu kazano. Bert przeniósł go na łóżko i zaniepokojona Sabrina pochyliła się nad małym Arabem. Chłopiec był silnie zarumieniony, a na jego brwiach perlił się pot. Sabrina zrobiła mu kolejny zastrzyk i zmusiła do zjedzenia paru łyżek kleiku i kromki czarnego chleba. Gorączka, tak jak poprzednio, stopniowo spadła.

Cooligan czekał cierpliwie, aż chłopiec przyjdzie do siebie, bo oboje z Sabrina słyszeli strzelaninę i domyślali się, że Feisal będzie im potrafił podać jakieś szczegóły. Arab zakrztusił się jedzeniem i nie mógł złapać tchu. Sabrina klepnęła go w plecy i otarła mu usta.

– Jeśli możesz, opowiedz nam wszystko, Feisalu.

Chłopiec wyprostował się na krześle i przywarł do ramienia dziewczyny.

– Zabili go, Sabrino, zabili – zaszlochał.

– Kogo? – spytał Cooligan.

– Pana Hemmingswaya, tego amerykańskiego gentlemana. Wybuchła straszna kłótnia między panem Hemmingswayem i panem Smithem i dziadek poradził panu Hemmingswayowi, żeby był cicho, i wtedy odezwał się jeszcze ktoś, i pan Hemmingsway z... zaczął krzyczeć na tego kogoś, i wyzywać go, i... – głos mu się załamał.

– I co? – naciskała Sabrina.

– I...i ten drugi człowiek go zastrzelił. Na pewno nie żyje, ja to wiem. Było dużo pocisków. Tak długo to trwało, potem długo nikt się nie odzywał, a w końcu pan Smith powiedział, że i tak zamierzał zabić pana Hemmingswaya, ale jeszcze nie t...teraz.

Cooligan poczekał, aż chłopiec wyszłocha się w ramionach Sabriny. Po chwili Feisal pociągnął nosem i powiedział:

– Wiem, co pan chce ode mnie usłyszeć, panie Cooligan. I ja powiem panu, co wiem. Człowiekiem, który zabił pana Hemmingswaya był, jak sądzę, pułkownik McCafferty. Nie jestem tego pewien, ale tak mi się wydawało tam na górze, na d...dachu zamku.

Agent zesztyniał.

– To nie... to po prostu nie... nie wydaje mi się możliwe. Wiem, że Mac się zaprzedał, ale na Boga, on przecież nie jest mordercą; nie zabiłby ze złości czy z zemsty. To... to się nie trzyma kupy. Czy mogłeś się pomylić, Feisalu? – Arabski chłopiec pokręcił głową.

– Nie sądzę.

Cooligan zacisnął usta i podrapał się po brodzie.

– A więc to zamyka sprawę – ciągnął powoli. – Pierwszą rzeczą, jaką zamierzam zrobić, kiedy się stąd wydostanę, to posłać tego wcielonego diabła tam, gdzie jego miejsce... sześć stóp pod ziemię, razem z człowiekiem, którego zamordował.

Dopiero teraz Sabrina, wciąż kołysząca Feisala w ramionach, wyczuła linę owiniętą ciasno wokół jego ciała. Ze zdziwieniem przesunęła po niej palcami, a chłopiec pozwolił jej, żeby ją poluzniła.

Cooligan dopadł do łóżka i porwał za linę.

– Skąd ją masz?

Feisal wyjaśnił, że była przymocowana do masztu flagowego. Uznał, że lina będzie wystarczająco długa, żeby Cooligan mógł się na niej opuścić i uciec.

– Może się pan precyzyjnie przez szczelinę okienną – wskazał na szczytową ścianę. – Nie założyli w tym oknie krat, bo nie przyszło im do głowy, że ktoś będzie na tyle głupi, żeby ryzykować wspinaczkę po murze. No, ale jeśli ma się linę. – Feisalowi wracała wyraźnie pewność siebie i popadał w nastrój dydaktyczny. Cooliganowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy.

Podszedł do ciągnącej się przez całą ścianę szczeliny okna.

– Teraz albo nigdy – mruknął rozglądając się za czymś do wybicia szyby...

W porcie lotniczym Zagrzeb Philpotta oczekiwała kadra zdenerwowanych przedstawicieli władz jugosłowiańskich z ministrem spraw wewnętrznych na czele.

– Mój rząd – oznajmił polityk – pragnie uczynić, co w jego mocy, by doprowadzić tę sprawę do pomyślnego rozwiązania. Jako lojalny kraj członkowski UNACO zdecydowani jesteśmy dokładać wszelkich starań, by tępić kryminalistów pokroju Smitha i zwalczać międzynarodowy terroryzm.

– To bardzo przyzwoicie z waszej strony, panie ministrze – odparł Philpott domyślając się, że Myszkini już zadziałał. – Zakładam zatem, że będziecie przygotowani do udostępnienia mi wszelkich środków, jakich potrzebuję, by wziąć szturmem warownię Smitha?

– Eeee... wie pan, gdzie on jest, panie Philpott?

Dyrektor przyznał, że wie. Minister zapytał, czy wprowadzenie do akcji dużego oddziału szturmowego byłoby rozsądnym posunięciem.

Philpott uśmiechnął się odgadując, że minister wolałby nie mieszać jugosłowiańskich sił zbrojnych do operacji, w której nie wykluczona była możliwość natknięcia się na Rosjan. Zapewnił polityka, że on również jest zdania, iż niewielkie siły UNACO będą zdolne do spenetrowania legowiska Smitha w sposób o wiele skuteczniejszy, niż zrobiłby to oddział szturmowy dokonujący frontalnego ataku.

– Czy mogę jednak liczyć na jakiś środek transportu? – dodał.

– Ależ ma się rozumieć – wykrzyknął minister – właśnie na tym lotnisku czeka na pana jeden z naszych najbardziej niezawodnych helikopterów. Może pan nim dysponować według uznania.

Wskazał palcem na drugi koniec płyty lotniska, gdzie stał, prężąc się dumnie, niezawodny helikopter. Dyrektor dowiedział się, że pilot będzie dysponował mapami rejonu, w którym znajduje się kryjówka Smitha – gdziekolwiek by to było – jak również każdego innego miejsca. Philpott wyraził swą wdzięczność i ruszał już w stronę śmigłowca, kiedy usłyszał, że ktoś wywołuje jego nazwisko. Minister poinformował go, że to telefon z UNACO z pilną wiadomością.

Gdy tylko rozpoznał w słuchawce głos Soni, wiedział już z jej tonu, że ma dla niego niepomysłne wieści.

– Smith wydał instrukcje dotyczące warunków przejęcia okupu – powiedziała Sonia, kiedy Philpott dowiedział już swej tożsamości. – Podam ci je teraz, chcesz?

– Nie – odparł Philpott – najpierw ta zła wiadomość.

– Zła wiadomość? – powtórzyła za nim. – No, tak... jest taka... Malcolmie, on zabił Hawleya Hemmingswaya.

– O Boże! – jęknął Philpott – Nie sądziłem, że naprawdę to zrobi. To moja wina, Soniu; ryzykowałem życiem biednego Hawleya.

Zrugła go, że się obwinia, i wyjaśniła, że Hemmingsway nie został stracony na mocy ogłoszonego przez Smitha planu egzekucji.

– Ten drań nie zrobił tego osobiście. W komunikacie radiowym, jaki nadał, oświadczono, że Hemmingway został zastrzelony za brak chęci do współpracy i znieważenie Smitha.

– Kto strzelał?

– Tego nie wyjawili.

Philpott westchnął ponuro.

– A więc Smith do tego dopuścił – powiedział z naciskiem – bo nadal mogę się założyć, że było to częścią jego planu. Może nie był w stanie temu zapobiec, ale wątpię, czy bardzo się starał, jeśli nawet próbował. Z punktu widzenia Smitha dobrze się złożyło, że jeden z jego ludzi dostał małego rozumu.

Sonia zachowywała przez chwilę pocieszające milczenie, a potem przerwała je, żeby zakomunikować Philpottowi, iż Smith obiecał teraz zabić wszystkich zakładników, Arabów i członków załogi Air Force One, jeśli podjęta zostanie jakakolwiek próba ich odbicia.

– Sądzę, że on mówi poważnie, Malcolmie – wyszeptała Sonia. – Sądzę, że skądś wie, iż go osaczamy. Powiedziano mu o ucieczce McCafferty’ego z Bahrajnu i musiał się domyślić prawdy: że Mac śledził tego Niemca – znaczy, Dunkelsa – aż do zamku. Wie, że jesteś w Zagrzebiu – Rosjanie musieli się wygadać – i wyobraża sobie prawdopodobnie, że ciągniesz na zamek na czele wielkiej armii. Przypuszczam, że prędzej zgładzi wszystkich, z sobą włącznie, niż pomyśli o poddaniu.

Philpott zachichotał sucho bez śladu wesołości.

– Wielka armia – mruknął. – Wapniak w średnim wieku i poturbowany lotnik. Daj spokój!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gałęzie smagały po głowie poturbowanego McCafferty'ego, klnącego po raz setny, po tysięcznym chyba upadku. Gdyby nawet nie został wcześniej tak drastycznie poturbowany, to teraz obrywał za swoje z nawiązką. Jego plan, który wciąż usiłował realizować, polegał na podejściu do zamku nie od dołu ani od poziomu drogi, ale od góry. Jak ze skruchą przyznał przed samym sobą, żegnając się ze swym smutnookim osiołkiem, oznaczało to wspinanie się na górę. Wjechał na ponurym zwierzęciu tak wysoko, jak było można, by uniknąć jeszcze dostrzeżenia z zamku albo zrzucenia z grzbietu osła, bo teraz pieli się z mozołem pod niemal pionowe zbocze.

W końcu osioł parsknął i rzeniem wyraził odmowę postąpienia choćby o krok dalej i McCafferty bynajmniej nie mógł mieć mu tego za złe. Patrzył za osłem, który to zjeżdżając na wyprostowanych nogach, to znów sadząc wielkimi susami, pędził w dół zbocza, i miał tylko nadzieję, że znajdzie jeszcze zwierzę gdzieś w pobliżu, kiedy będzie go potrzebował, udając się za jakiś czas na spotkanie z Philpottem. Ciężki plecak zostawił pod opieką córki naczelnika poczty i pozostawało mu ufać, że zdecydowanie teraz bogata panienska nie ulegnie pokusie i nie zajrzy, co jest w środku.

Chcąc nie chcąc, ruszył dalej pieszo, powierzając swe drogie życie karłowatym krzakom, ocierając łzawiące oczy z pyłków kurzu, obdzierany powoli ze skóry przez drzewa. Zabrał ze sobą parę radiotelefonów oraz gotowy do użycia pistolet maszynowy na skórzanym pasie i w miarę wspinaczki przewieszony przez plecy pistolet zaczynał mu ciążyć niczym haubica. Dotarł wreszcie do skalnej półki na tyle szerokiej, żeby można się było na niej

wyciągnąć i odsapnąć. Usiadł, rozmasowując obolałe mięśnie, podciągnął pod brodę suwak kurtki, chroniąc się przed przenikliwym chłodem, i spojrzał w dół na zamek Windischgraetz.

Oglądany z tej podniebnej półki jakby z lotu ptaka, przedstawiał się jeszcze bardziej malowniczo. Mac zauważył dwa dziedzińce i rozpadlinę, przez którą przerzucony był normalnie most zwodzony, a po lewej ręce zalesioną krainę, przy czym drzewa rosły gęsto przy samej drodze, gdzie stok wzgórza wznosił się łagodnie, potem przeredzały się kilkaset jardów wyżej, by praktycznie zniknąć na wysokości, na której się teraz znajdował.

Mac odkrył, że jego półka obiega niemal całą górę, i postanowił wykorzystać tę okazję, by obejrzeć sobie zamek i wszystkie przylegające do niego tereny. Przesunął się wzdłuż krzywizny zamku tulącego się do wypukłego wybrzuszenia góry i zauważył kamowa z obracającymi się wirnikami, stojącego wciąż na prowizorycznym lądowisku. Po lewej stronie zamku, z punktu widzenia Amerykanina rozpościerał się wielki parking, sięgający aż do górskiego zbocza. Ocieniały go drzewa, które pięły się następnie po łagodnym stoku. Tam właśnie po raz pierwszy zobaczył Mac biegnącego człowieka.

Wyregulował lornetkę i był tak pochłonięty naprowadzaniem jej na pędzącą, skuloną postać, że znaczenie obracających się wirników kamowa dotarło do niego dopiero wtedy, gdy mały helikopter naprawdę wystartował i zaczął krążyć nad pochyłą, lesistą krainą. Jednocześnie Mac spostrzegł – i sklął się soczyście za to, że nie zauważył tego wcześniej – iż dolne partie wzgórza, poniżej zamku, przeszukują jacyś ludzie, a helikopter byczy nad nim niczym zła muszka.

Ale ich zwierzyna – bo któż mógłby nią być, jeśli nie biegnący człowiek? – znajdowała się powyżej zamku. Punkt dla uciekiniera, pomyślał Mac, bo ten człowiek musiał wydostać się na wolność z

zamku... i teraz trwało polowanie. McCafferty naprowadził wreszcie lornetkę na zbiega, ale jeszcze zanim go rozpoznał, był już pewien, że to Bert Cooligan.

Agent uwiązał starannie linę do belki okapu i opuścił się po niej na niższe piętro, na balkon nie zajmowanej komnaty. Dał znak Sabrinie, która odwiązała linę i zrzuciła mu ją na dół.

Wyłtkł drugie okno i powtarzając tę samą sztuczkę opuścił się jeszcze niżej, ale od ziemi dzieliło go jeszcze dobre dziesięć stóp, a każda sekunda wystawiania się na widok publiczny na tle zamkowego muru zwiększała groźbę wykrycia. Omiótł wzrokiem teren pod sobą, ale nie dostrzegł niczego prócz okrytego brezentem kształtu, który wydał mu się dziwnie znajomy.

Puścił linę i szukając po omacku punktów oparcia dla stóp na kamiennej ścianie, rozpoczął ostatni etap schodzenia... Nagle zamarł; z drzwi wyszedł uzbrojony strażnik i ściągnął plandekę z kurierskiego motocykla. Gdyby podniósł wzrok choć o sześć cali, musiałby zauważyć agenta przywierającego w bezruchu do ściany tuż nad jego głową. Bert nie śmiał nawet oddychać; nie wierzył, że szczęście nadal będzie mu sprzyjać i że ze środka nie wyjdzie ktoś jeszcze.

Ale skończyło się na tym jednym wartowniku, który po chwili, potrząsając głową – bo nigdy nie będzie go stać na taki motocykl – oddalił się, by zająć posterunek przy bramie głównej.

Cooliganowi pozostały jeszcze do ziemi jakieś dwa jardy, zdecydował się więc na skok, lądując niemal na motocyklu i wtedy z czatowni na górze doleciał go ostatni dźwięk, jaki życzyłby sobie usłyszeć: ostrzegawczy okrzyk.

Był w pewnym stopniu osłonięty przez naturalne wybrzuszenie zamkowego muru i lekki występ na poziomie pierwszego piętra, przez który nie zauważył motocykla od razu. Jednym skokiem dopadł maszyny, włączył zapłon i przekręcił rączkę gazu; silnik obwieścił

rykiem swe wyzwanie Ahmedowi, który odkrył przed chwilą zniknięcie Cooligana z attyckiej komnaty.

Arab miał przesłonięty widok i tylko huk silnika dawał mu pewne pojęcie o kierunku, w jakim pędzi motocykl, ale posłał za nim serię pocisków z pistoletu maszynowego. Tym samym ostrzegł strażnika przy łukowato sklepionej bramie wejściowej, ale Bert przemknął już tymczasem przez dziedziniec wewnętrzny i wszedł w wiraż śmierci kierując się ku wolności.

Strażnik popełnił błąd, oddając do skręcającego na pełnym gazie celu dwa pojedyncze strzały. Po chwili zdał sobie sprawę, że nie ma żadnych szans na trafienie Cooligana, cisnął więc karabin na ziemię i rzucił się do podnoszenia zwodzonego mostu.

Bert widział obracającą się korbę i odrywający od ziemi pomost z grubych dębowych bali zawieszony na zardzewiałych łańcuchach. Słyszał zboląły zgrzyt mechanizmu, którego nie zagłuszył nawet ryk silnika, i kiedy mijał strażnika, most znajdował się trzy stopy nad ziemią. Ale dla Cooligana nie było już drogi odwrotu.

Gdy honda wpadła na zwodzony most, strażnik puścił korbę i most zaczął się opuszczać z jeszcze bardziej ochrypłym protestem. Motocykl wystrzelił jak z procy z jego uniesionej krawędzi i przeleciawszy kawałek w powietrzu, spadł z podskokiem dobre kilkanaście stóp po drugiej stronie. Bert wydał okrzyk tryumfu i dodając gazu pognął na złamanie karku, byle dalej od zamku, pod gradem pocisków posyłanych w ślad za nim przez Fayeeda tkwiącego wciąż w rozbitym oknie i przez jeszcze dwóch strażników na moście. Cooligan wszedł w ostry wiraż i nagle ujrzał przed sobą kolejnego strażnika przy opuszczonym stalowym szlabanie.

W momencie, w którym go dojrzał, skręcał właśnie w prawo i zdecydował się utrzymać ten kierunek; maszyna pożegnała się z drogą i przelatując znowu kawałek w powietrzu, wpadła z impetem

między drzewa i krzaki. Od strażnika przy szlabanie dzieliło go jeszcze dobre dwieście jardów, w takiej samej odległości za nim znajdowali się strażnicy z mostu – ale wszyscy widzieli, jaki kierunek obrał.

Przez moment rozważał możliwość użycia maszyny w charakterze motocykla terenowego i zjechania nim na dno doliny, ale skręcając, by ominąć dwa młode drzewka, wpadł w całym pędzie na zmurszały pień.

Wyleciał z siodła jak z katapulty, lądując w krzakach, ale pozbierał się momentalnie i ruszył biegiem wzdłuż podnóża pagórka. Wykombinował sobie, że jeśli zdoła przedostać się za szlaban, to może uda mu się przeciąć drogę i wspiąć wyżej, co dawało szansę zgubienia pościgu.

Udało mu się to zrobić niepostrzeżenie i biegł właśnie pod osłonę zarośli, kiedy zobaczył go McCafferty...

Sącząc podwójną szkocką z lodem Philpott jeszcze raz przebiegł wzrokiem notatki na temat przedstawionych przez Smitha planów przekazania okupu, które zrobił sobie pod dyktando Soni. Czekał teraz na przekaz z Rzymu do Zagrzebia fotografii, która, jak obiecał jugosłowiański minister, zostanie dostarczona prosto na lotnisko przez gońca, ale przedtem pojawił się jeszcze jeden gość – mężczyzna niosący wypchaną torbę z miękkiego zamszu i niedbale nią wymachujący.

– Przywiozłem panu to, czego pan sobie życzył, panie Philpott – powiedział handlarz diamentów. Wręczył torbę dyrektorowi, który nawet nie sprawdził jej zawartości. Członek Amsterdamskiej Giełdy Diamentów był człowiekiem godnym pełnego zaufania.

Przybył wreszcie kurier z przekazaną fotografią i Philpott przystąpił do drobiazgowych oględzin polaroidowej odbitki przez szkło powiększające. Przedstawiała maleńką wysepkę

– Saucer Island, głosił podpis – i dołączono do niej orientacyjną

mapkę. Wyspa nie wystawała więcej niż kilka stóp ponad poziom morza; z mapki wynikało, że leży przy wybrzeżu dalmatyńskim. Po prostu skała o szerokości wahającej się między pięćdziesięcioma a pięciuset metrami, wyglądająca na płaską i nagą, jeśli nie liczyć słupa i poprzeczki kojarzących się z szubienicą, którą ktoś wzniósł na samym jej cyplu.

– To szubienica? – zapytał z powątpiewaniem Philpott. Minister pochylił się nad zdjęciem.

– Wygląda jak szubienica, ale logika podpowiada, że to niemożliwe – stwierdził. – Po co zawracać sobie głowę przewożeniem tam kogoś taki kawał, tylko po to, żeby go powiesić, skoro można go bez kłopotu rozstrzelać na więziennym dziedzińcu?

Pionowy słup, do którego przytwierdzone było wystające aż nad wodę ramię, przytrzymywała lina uwiązana do wbitego głęboko w skałę haka.

– Umieścić diamenty w brezentowym woreczku zaplombowanym od góry i zaopatrzonym w stalowy pierścień o średnicy dokładnie sześciu cali, przymocowany do plomby – Philpott z niedowierzaniem odczytywał instrukcje Smitha. – Nanizac pierścień na poziome ramię.

– I to wszystko? – zapytał minister.

– Nie – odparł Philpott. – Pisz dalej: nie stawiać na wyspie stopy. Operacja musi zostać przeprowadzona z łodzi. Ostrzegam, że wyspa jest zaminowana. Okup musi znaleźć się na wyznaczonym miejscu dziś wieczór o godzinie dwudziestej, bo w przeciwnym razie zgaśnie natychmiast kolejne życie. I przestrzegać bezwzględnie następującego zakazu: jakakolwiek próba odbicia zakładników zostanie przywitana ogniem i pociągnie za sobą śmierć wszystkich, powtarzam, wszystkich jeńców.

– Rzeczywiście osobliwe – skomentował polityk i zapytał Philpotta, co mają robić.

– Zróbcie dokładnie tak, jak sobie tego życzy Smith – odparł Philpott. – Podpłyńcie łodzią do wyspy i nie wychodząc na ląd, zawieście diamenty na wystającym ramieniu, czy co to jest, ściśle według instrukcji. Żadnych kawałów; żadnej zastępczej zawartości. Chcę, aby w tej torbie znajdowały się szlifowane kamienie wartości pięćdziesięciu milionów dolarów i żeby znalazły się tam, gdzie Smith się ich spodziewa, o podanej przez niego godzinie. Mam nadzieję, że bliższych wskazówek będę wam mógł udzielić później.

Minister skłonił głowę;

– Jest pan, sir, jak chyba już podkreśliłem, głównodowodzącym całej operacji. Tak więc, gdyby coś się nie udało... – możliwe konsekwencje pozostawił nie wypowiedziane.

– Wiem o tym – przyznał ponuro Philpott.

– Jak, według pana, Smith chce wejść w posiadanie tych diamentów? – spytał polityk, zatrzymując wychodzącego już Philpotta.

Dyrektor odwrócił się i powiedział:

– Gdybym to wiedział, wiedziałbym również, jak mu w tym przeszkodzić. Niestety nie wiem. – Wyszedł dumnym krokiem na płytę lotniska i skierował się do helikoptera...

Słońce rzucało głęboki cień na stok góry i McCafferty wykorzystał ten kamuflaż, by prześlizgnąć się dalej wzdłuż skalnej półki i znaleźć wprost nad głową Cooligana. Zaryzykował powolne, ostrożne schodzenie, uważając, by nie przestraszyć Cooligana ani nie ściągnąć na siebie uwagi pilota helikoptera. Gdy od agenta dzieliło go zaledwie kilka stóp, zawołał cicho nagłym głosem:

– Bert! To ja, Mac!

Cooligan odwrócił się jak fryga i zrobił to, czego Mac najmniej się spodziewał: z pociemniałą z furii twarzą rzucił się na swego niedoszłego wybawcę.

Mac mógł się zasłonić przed rozwścieczonym agentem pistoletem maszynowym, ale był tak zaskoczony, że dopuścił Cooligana do zwarcia.

– Och, ty parszywy skurwielu, zaraz się z tobą policzę za Hemmingswaya! – wysapał Cooligan, sięgając do gardła McCafferty'ego. Mac zachwiał się, nadal powstrzymując się od użycia siły albo broni przeciwko przyjacielowi.

– Na miłość boską, Bert, co ty, u diabła, wygadujesz? – wydusił z siebie. – I przyknij się trochę, bo capną nas obu.

Zwarli się, a Cooligan walczył jak opętany furią i nienawiścią wiking. Wyprowadził na oślep cios mierzony w twarz i jego pięść ześlizgnęła się po kości policzkowej Maka. Ten zatoczył się, potknął o wystający korzeń drzewa i runął na wznak na ziemię. Cooligan podskoczył z płonącymi oczyma, by wpakować obcas w twarz McCafferty'ego. Mac odturlał się desperacko w bok, mamrocząc przez cały czas, że Cooligan popełnia straszny błąd, że on jest jego przyjacielem, starym kumplem Makiem, że tamten, to sobowtór!

Pierwszy kopniak Cooligana chybił celu, ale agent obrócił się błyskawicznie na pięcie i zamachnął drugą nogą. Wciąż nie ściągając z ramienia pistoletu, McCafferty pochwycił nadlatujący but o kilka cali od swych ust i wykręcił go bezpardonowo. Cooligan z okrzykiem przerażenia obrócił się wokół własnej osi, rozrzucił ramiona, usiłując utrzymać równowagę, i rymnął jak długi na ziemię. Padając, wylądował niefortunnie na brzuchu i z płuc uszło mu całe powietrze. Była to szansa, na którą czekał Mac: napiął mięśnie i poderwał się na równe nogi, by spaść Cooliganowi prosto na plecy. Wykręcił agentowi rękę i wcisnął mu ją między łopatki.

– A teraz mnie wysłuchasz. Nic nie mów, tylko słuchaj! Jest nas dwóch, bałwanie! Dwóch! Właśnie dzięki temu udała się Smithowi ta sztuczka na pokładzie Air Force One. Wprowadzili do akcji

sobowtóra i on cię teraz szuka! Zwiąłem im w Bahrajnie i jestem tutaj z rozkazu Philpotta. Mam się z nim wkrótce spotkać w dolinie! Przystaniesz się teraz ze mną szarpać i pozwolisz, żebym przyszedł ci z pomocą, ty dupo wołowa?!

Furia Cooligana wyczerpała się na szamotaninie. Leżał wyczerpany, twarzą do ziemi, i słowa McCafferty'ego zaczynały wreszcie doń docierać.

– Jest was dwóch? – wysapał zdyszonym głosem. – A więc ty jesteś... ty jesteś...

– Jestem Joe McCafferty, Bert. Tamten, to... sam nie wiem, w każdym razie ktoś inny. Ktoś, kogo Smith upodobił do mnie za pomocą chirurgii plastycznej, nauczył mówić jak ja, poruszać się jak ja... Na tyle dobrze, że zwiódł wszystkich na pokładzie i zdołał porwać samolot. Teraz musimy go powstrzymać, Bert. I chyba mam pomysł, jak się do tego zabrać.

Zlął z przyjaciela, ale żeby do końca się zabezpieczyć, wziął go na muszkę. Cooligan usiadł i podejrzliwie łypnął okiem na broń.

– Chyba... chyba muszę ci uwierzyć, Mac – powiedział powoli. – Cały czas, w hotelu i w samolocie, wydawało mi się, że coś z tobą... znaczy się, z nim... nie w porządku i wiedziałem, że nawet jeśli się sprzedałeś, nie mógłbyś zrobić tego, co mówili, że zrobisz.

Zrelacjonował szczegóły mordu popełnionego na Hemmingswayu i McCafferty potrząsnął ze smutkiem głową; znał i szanował Hemmingswaya za jego prostotę i determinację. Cooligan spytał o plany działania i McCafferty zapytał go, czy dubler nadal nosi mundur członka załogi Air Force One. Bert przytaknął.

– No to zamień się ze mną ubranie – ponaglił go Mac. – Zejdę ze wzgórza jako dubler i powiem im, żeby odwołali obławę. Przerwą poszukiwania i dadzą nam czas na zastanowienie.

Przebrali się szybko i McCafferty, bacząc pilnie, czy w pobliżu nie

kręci się jego sobowtór, na wypadek, gdyby dubler również brał udział w poszukiwaniach, wmieszał się między partyzantów i kazał im wracać do zamku. Po chwili odłączył się pod naprędce wymyślonym pretekstem od grupy wypadowej i ledwie zdążył wrócić do czekającego nań Cooligana, ich uwagę przyciągnął dochodzący z dołu głośny łomot.

– To most zwodzony – powiedział Cooligan. – Coś musi się szykować.

Na ich oczach przez drewniany most wytoczył się z turkotem na drogę mikrobus, a za nim ciężarówka wyładowana ludźmi i dwa jeepy. McCafferty przytknął do oczu lornetkę i policzył pasażerów autobusu.

Odwrócił się do Cooligana.

– To Smith i jego zakładnicy – powiedział. – Wydaje mi się, że w autobusie są wszyscy, z wyjątkiem może jednej osoby.

– Której? – zaniepokoił się Bert.

Mac zawahał się.

– Nie wiem, czy powinna się wśród nich znajdować, w każdym razie miała dołączyć do załogi.

– Chodzi ci o Sabrinę Carver? – spytał Bert.

– Tak. Byli tam wszyscy, prócz niej.

– A więc musiała pozostać w zamku – stwierdził Cooligan – i muszę ci powiedzieć coś, o czym nie wiesz, Mac. Ona nie jest takim zwyczajnym członkiem załogi Air Force One: jest agentką UNACO, jedną z waszych. Grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Wiem o tym, Bert – powiedział McCafferty – i właśnie dlatego zamierzam ją z tego wyciągnąć.

McCafferty zostawił jeden z radiotelefonów Cooliganowi i polecił mu pozostać w ukryciu.

– Mam pewien plan – wyjaśnił. – Raz już przyniósł pomyślny

rezultat, nie widzę więc powodu, dla którego nie miałby się powieść ponownie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zatrzymam jeszcze na jakiś czas twój mundur.

Pokłusował z powrotem do zamku z pistoletem maszynowym przewieszonym przez plecy i został zatrzymany na moście przez strażników. McCafferty, który znalazł się teraz w dziwacznej sytuacji grania samego siebie w szalonym scenariuszu obmyślonym przez Smitha, zbył wartowników informacją, że nawalił jeden z jeepów eskortujących autobus z zakładnikami. Nie uszło jego uwagi, że zamek opuściło już wielu partyzantów, skorzystał więc z nadarzającej się okazji, żeby pozbyć się jeszcze kilku i w ten sposób zwiększyć swoje szansę. Wysłał trzech wartowników, by pomogli w naprawie jeepa albo, jeśli uszkodzenia nie da się usunąć, w ściągnięciu go z drogi.

Pozostałych dwóch partyzantów pilnujących bramy głównej na razie sobie darował i, korzystając ze wskazówek przekazanych mu przez Berta Cooligana, skierował się do attyckiej komnaty, w której przetrzymywana była Sabrina. Wspiął się po wąskich stopniach i zastukał w drzwi spodziewając się, że odpowie mu Sabrina, ale głos, który usłyszał, należał do mężczyzny – chrapliwy, przejmujący dreszczem okrzyk tryumfu...

Ucieczka Cooligana wykryta została tak szybko, że Sabrina obawiała się przede wszystkim tego, że pojmają go albo zabiją, zanim jeszcze dotrze do ziemi. Pech chciał, że Ahmed Fayed, podniecony brutalnym zabójstwem Hemmingswaya, postanowił wprowadzić w życie sugestię Smitha, zgodnie z którą Sabrina miała odcierpieć za podwójną rolę, jaką odgrywała na pokładzie Air Force One: i pocierpi.

Ahmed już od jakiegoś czasu ostrzył sobie zęby na piękną dziewczynę z komnaty na poddaszu zamku i teraz wreszcie podjął

decyzję. Wbiegł po schodach na górę z zamiarem zawleczenia Sabriny w ustronne miejsce i wzięcia jej tam siłą. Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi na oścież; Sabrina i Feisal stali wciąż przy oknie, śledząc postępy Cooligana. Ahmed, który sam przeniósł agenta tajnych służb do tej komnaty, zorientował się natychmiast, co zaszło. Zawołał na pomoc strażnika, podbiegł do okna, wybił szybę kolbą pistoletu maszynowego i nie zastanawiając się, posłał serię w kierunku celu, ledwie go zauważył.

Zaklął widząc, jak Cooligan wpada na skradzionej hondzie na zwodzony most. Wrzasnął na partyzanta, który przybiegł na jego wezwanie, żeby zabrał Feisala do sali trofeów i poinformował albo Smitha, albo Dunkelsa o ucieczce agenta. Sabrina chciała już podążyć za Feisalem, ale Ahmed schwycił ją za ramię i brutalnie wciągnął z powrotem do komnaty. Uderzył ją na odlew w twarz z taką siłą, że dziewczyna upadła na łóżko, a w oczach zawirowały jej gwiazdy.

Gdy za partyzantem i przerażonym chłopcem zamknęły się drzwi, Arab skierował na Sabrinę pistolet.

– Po raz ostatni wykręciłaś nam taki numer. Nie sądzę, żeby pan Smith zbyt dbał o to, co się z tobą dzieje, i wiem, że podziela moją opinię, iż szkoda byłoby marnować twoje oczywiste talenty uśmiercając cię od razu. Winna mi jesteś swe ciało, ty jankeska dziwko, i nie wywiniesz się od tego długu. Jeśli nie miałaś jeszcze Araba, to zapewniam cię, że jesteśmy ekspertami w naszym podejściu do kobiet. Nigdy już niczego podobnego nie przeżyjesz. – Roześmiał się, ale było w tym śmiechu coś odrażającego. – Tak tak, nie przeżyjesz, ale nie jest powiedziane, że twój ostatni stosunek nie będzie najlepszym, jaki odbyłaś.

Przytrzymując pistolet maszynowy w zgięciu ramienia, drugą wolną ręką Ahmed poluzował szeroki skórzany pas przy wojskowych spodniach.

– Zrzucaj łachy, malutka – rozkazał, a kiedy się nie poruszyła, dobył długiego noża. – Powiedziałem, rozbieraj się, albo obedrę cię tym do naga i będzie mi wszystko jedno, czy to schodzi ubranie, czy twoja rozkosznie gładka skóra.

Sabrina nie odrywała od niego swych błękitnych oczu wyrażających najwyższą pogardę. Ahmed ruszył ku niej kocim krokiem, z rozpiętym do połowy pasem, trzymając w jednym ręku pistolet, a w drugim nóż.

– Co wybierasz? Dobrowolnie... czy na siłę? Przyjemność czy ból? I tak będę cię miał, czy ci się to podoba, czy nie, czy chcesz tego, czy nie, czy będziesz mi się opierać, czy nie. Gwiżdżę na stan, w jakim będziesz się znajdować, kiedy w końcu rozłożę ci nogi. Mogę cię przelecieć tak samo martwą, jak i żywą.

Sabrinę przeszedł dreszcz strachu i obrzydzenia, kiedy ujrzała, jak zdecydowanie jest na nią gotów, co uwidaczniało się nawet poprzez gruby materiał jego munduru. Miała nadzieję, że zachowując milczenie, rozwścieczy go, sprowokuje do pochopnego działania; ale Ahmed dzierżył nóż jak wytrawny nożownik i bez drgnienia ręki mierzył z pistoletu w jej twarz.

Z zaciśniętymi wciąż ustami i oczyma płonącymi nienawiścią uklękła na łóżku i ściągnęła zakiet munduru Air Force One. Jej palce przebiegły po guzikach bluzki i rozpięły zatrzask spódniczki. Nie pomagając sobie rękami, uniosła się z kolan na równe nogi. Stojąc na łóżku, górowała nad Ahmedem. Do peryferii jej świadomości docierały odgłosy wyjazdu samochodów z zamku, ale nie zwracała na nie uwagi. Zsunęła z ramion bluzkę i rozpięła zamek błyskawiczny spódnicy. Części garderoby opadły na kołdrę, a ona odstaąpiła od nich o krok.

W tym rytuale rozbierania się nie było nawet śladowej sugestii stylu bądź zalotności. Działała jak kobieta, która za chwilę ma zostać

zgwaltcona; nie odrywała swych oczu od niego i zaciskała wyzywajaco zęby. Nigdy, przysięgła sobie, za nic nie odda mu się dobrowolnie; i Ahmed zaraz się przekona, że Sabrina Carver zna sposoby pokonania go nawet wtedy, gdy jego żądza sięga szczytów.

Strąciła z łóżka nogą bluzkę i spódnicę i stała z dłońmi splecionymi na lekko opalonym brzuchu, patrząc z góry na swego oprawcę.

– Dalej – mruknął chrapliwie Ahmed – zdejmuj resztę. Nie wykonała żadnego ruchu, by spełnić jego polecenie.

– Klękaj! – rozkazał. Zginając powoli nogi i balansując ciałem, płynnym ruchem osunęła się przed nim na kolana. – Ściągaj resztę – warknął wskazując lufą pistoletu na biustonosz i figi.

Ręka dziewczyny poderwała się w górę z szybkością błyskawicy i pochwyciła lufę pistoletu wykręcając ją gwałtownie razem z palcem Araba uwięzionym w osłonie spustu, tak że zawył z bólu i wyszarpnął broń z jej dłoni.

– Zapłacisz mi za to – wysapał – na Boga, zapłacisz mi.

Oczy Sabriny spoglądały jak zahipnotyzowane w wylot lufy, nie zauważyła więc noża, którego ostrze uniosło się, wślizgnęło od przodu pod biustonosz i ściągnęło go z niej pozostawiając po sobie ledwie widoczną, krwawą rysę wzbierającą z wolna na kremowej skórze nagich piersi. Podniosła szybko ręce, żeby je osłonić, a Fayed zahaczył dwoma zgiętymi palcami za jedwabne figi i zdarł z niej ten skrawek materiału. Nie potrafiła zdusić w sobie okrzyku bólu i wściekłości, i teraz już strachu; był to jak dotąd jedyny dźwięk, jaki wyszedł z jej ust.

Upadła na wznak, rozchylając nogi. Ujrawszy ją otwartą i bezbronną Arab szarpnął za pas, żeby obnażyć własne ciało. Cisnął nóż, który utkwiał drżąc w desce podłogi i rzucił na ziemię pistolet maszynowy. Wydał w swym rodzimym języku okrzyk zwycięstwa

pomieszanego z żądzą, ukląkł nad Sabrina na łóżku, rozrzucił szeroko jej nogi... i osunął się na dziewczynę bokiem, grzmotnięty w tył głowy kolbą pistoletu maszynowego McCafferty'ego.

Mac ściągnął Araba z łóżka i cisnął bezwładne ciało na podłogę, a Sabrina sięgnęła po ubranie, żeby ukryć swój wstyd i poniżenie. Z jej oczu wyzierała jeszcze większa odraza.

– Nieładnie tak patrzeć na kogoś, kto przed chwilą uchronił cię od losu gorszego niż śmierć i prawdopodobnie również od śmierci – powiedział McCafferty. – Nie musisz mówić „dziękuję”, ale przynajmniej nie wywołuj we mnie wrażenia, że wolałabyś, żebym to ja leżał tam na podłodze, a on znalazł się z powrotem na łóżku i figlował sobie z tobą na swój szatański sposób.

– W pewnym sensie – prychnęła na niego Sabrina – gdyby doszło co do czego, wolałabym już Ahmeda niż ciebie. Może i jest zwierzęciem, ale to była szczerą żądzą zwyczajnego lubieżnika. Jesteś tak fałszywy, pułkowniku, tak... zepsuty, że wydaje mi się, iż wolałabym raczej umrzeć, niż pozwolić ci się dotknąć.

Mac westchnął.

– Jezu, ten facet faktycznie zaświnił mi kartotekę, wiedząc o mnie tyle co nic.

Sabrina podciągnęła pościel pod brodę i owinęła się nią, żeby ochronić się przed chłodem i okryć nagość.

– Co to ma znaczyć? – spytała. – O czym ty mówisz?

McCafferty wszystko jej wyjaśnił. Nie był wcale zaskoczony, kiedy, podobnie jak Basil Swann, a potem Bert Cooligan, nie uwierzyła mu od razu. Ale tak samo, jak tamtym dwóm, jego argumenty zaczynały powoli trafiać jej do przekonania i wciąż jeszcze wypytywała go podchwytliwie, kiedy Ahmed wyrwał nóż z podłogi i zadał pchnięcie wymierzone w żołądek Amerykanina. Stłumiony, ostrzegawczy okrzyk Sabriny uprzedził go o niebezpieczeństwie i

zdążył jeszcze odsunąć się na tyle, że ostrze przechodząc przez koszulę zadrapało tylko lekko skórę.

Mac znowu machnął pistoletem maszynowym i Ahmed, który podźwignąwszy się na kolana, rzucał się po raz drugi przed siebie z nożem w wyciągniętej ręce, poczuł, jak lufa pistoletu rozdziera mu twarz. Splunął i zerwał się na nogi. Z ust ciekła mu krew. Wyczuł, że Mac nie waży się otworzyć ognia z pistoletu w obawie przed zaalarmowaniem strażników i skoczył na Amerykanina z wysoko uniesionym nożem. Mac rąbnął Araba pistoletem w nadgarstek i nóż odleciał w kąt komnaty.

Stopa Maka wykonała błyskawiczny wypad w przód i zahaczyła o gołą nogę Ahmeda. Fayed zachwiał się i padał już, kiedy McCafferty, trzymając teraz pistolet maszynowy oburącz, zarzucił jego pas na szyję Araba i kręcąc bronią, zacisnął pętlę. Wykorzystując pistolet w charakterze wyprostowanego ramienia z chińskiego chwytu duszącego, unieruchomił głowę Araba i wpakował mu kolano w kręgosłup, wciskając jednocześnie pistolet w jego gardło. Ahmed Fayed, pseudo-ksiąźtko Bahrajnu, nie wydał już żadnego dźwięku i z purpurową twarzą, ze wzrokiem przesłoniętym pękającymi naczyniami krwionośnymi i z ustami wypchanymi spuchniętym językiem, wyzionął ducha.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przewieszając własny pistolet maszynowy z powrotem przez plecy i częściowo ukrywając go pod kurtką, na wypadek, gdyby ktoś okazał się na tyle bystry, by zauważyć, że jest produkcji amerykańskiej, McCafferty sprowadził Sabrinę po schodach pod lufą pistoletu maszynowego Fayeeda. Na wewnętrznym dziedzińcu dostrzegł jeszcze jednego jeepa wyładowanego sprzętem, a dalsze trzy stały na parkingu dla samochodów przed zamkiem.

Zamek sprawiał wrażenie wyludnionego, ale Mac nie zaniedbywał ostrożności, bo dubler, którego nie było wśród pasażerów autobusu, mógł się tu gdzieś nadal kręcić. Wolał też nie ryzykować spotkania ze strażnikiem, który mógł być z dublerem na ty. Gdy dotarli do dziedzińca, dyżurny kończył właśnie ładowanie jeepa. Zerknął ciekawie na McCafferty'ego i dziewczynę, ale nic nie powiedział.

– Gdzie się wszyscy, na miłość boską, podziali? – szepnęła Sabrina.

– Nie ma ich – odparł zwięźle Mac. – Odjechali autobusem. Dokąd, nie wiem. A bardzo bym chciał. Co więcej, nie mam zielonego pojęcia, jak ich odnajdziemy.

– I ten chłopiec, Feisal, też z nimi był? – spytała Sabrina. – Mieli obowiązek mnie powiadomić, bo jest chory i tylko ja potrafię się nim zaopiekować. – Mac przytaknął zniżonym głosem, że Feisal znajdował się w autobusie.

Przeszli przez zwodzony most, mijając posterunek w sile trzech ludzi i byli to chyba wszyscy strażnicy, jacy pozostali w zamku. Jeden z nich, opierający się o filar bramy, wyprostował się z ożywieniem na widok McCafferty'ego.

– Już z powrotem? – zapytał posługując się kiepskim, silnie

akcentowanym angielskim.

– Rozkazy – powiedział Mac. Na okrągłej, dziobatej twarzy strażnika pojawił się wyraz zaintrygowania. Mruknął coś w serbsko-chorwackim do pozostałych dwóch. Potem znowu spojrzał bacznie na Maka i powiedział ostrożnie:

– Rozkazy skąd? Pan Smith wyjechał na długo przed panem.

McCafferty zerknął na parking i zobaczył tam już tylko dwa jeepy: jednym musiał odjechać dubler, by dołączyć do głównej grupy tam, dokąd zabrano zakładników. Wyrwał zza pasa krótkofalówkę i pomachał nią przed nosem strażnikowi.

– Oprócz wyrzaskiwania ich w twoje ucho, istnieją też inne sposoby przekazywania rozkazów, durniu – warknął.

– Jeśli chcesz wiedzieć, wysłano mnie z powrotem po nią... – tu wskazał na Sabrinę.

– Czy to nie ten Arab się nią opiekuje? – zapytał partyzant ze znaczącym, obleśnym uśmiechem.

Mac uśmiechnął się.

– Już nie. Dochodzi teraz do siebie.

Strażnik parsknął śmiechem i przetłumaczył słowa Maka kolegom. McCafferty wyjaśnił, że Smith kazał mu natychmiast sprowadzić Sabrinę. Ahmed i pozostali wartownicy mieli odczekać jeszcze pół godziny, a potem ruszyć za nimi ostatnim jeepem.

– A samochód dostawczy? – nie ustępował partyzant, wskazując trzymanym w rękę pistoletem maszynowym na wewnętrzny dziedziniec.

– Ma ruszyć w drogę natychmiast po załadowaniu – polecił Mac.

– Do jaskiń?

– No, a gdzie?

Mac doprowadził Sabrinę, nie szczędząc jej po drodze szturchańców, do najbliższego jeepa i posadził za kierownicą.

– Jaskinie? – mruknęła w zamyśleniu, wyprowadzając wóz z parkingu na drogę.

– Na to wygląda. Tak czy owak, to nasza jedyna wskazówka. Musimy teraz wsiąść na ogon samochodowi dostawczemu i jechać za nim, a mamy tylko ten jeden pojazd. Ponieważ sam go potrzebuję, nie bardzo wiem, jak sobie poradzimy.

Minęli zakręt i Mac dostrzegł w oddali pomalowany w czerwone i białe pasy szlaban przegradzający drogę. Przy jego obciążonym przeciwwagą końcu przechadzał się leniwie partyzant.

– Cholera – zaklął McCafferty – tego się obawiałem. Musimy zabrać po drodze Berta Cooligana, a chciałem, żeby wszyscy w zamku myśleli, że jedziemy prosto do jaskiń.

– Co teraz zrobisz?

– To, co trzeba.

Gdy zbliżyli się do szlabanu, skinął na nią, żeby się zatrzymała, i wysiadł z jeepa w momencie, kiedy wartownik zaczął naciskać na ołowianą przeciwwagę.

– Mówisz po angielsku? – spytał partyzanta.

– Trochę – odparł niepewnie mężczyzna.

Mac wycelował palec w pierś partyzanta, a potem wskazał na zamek.

– Ty wracać tam – poinstruował go.

Jugosłowianin pokiwał ochoczo głową, przewiesił karabin przez ramię i odwrócił się, żeby odmaszerować. W tym momencie McCafferty otoczył jego szyję ramieniem i wbił mu w plecy nóż Ahmeda Fayeeda. Wartownik osunął się na ziemię nie wydając z siebie głosu i Mac ściągnął go w dół zbocza, gdzie wtoczył ciało w kępę krzaków.

– Co teraz? – spytała Sabrina. McCafferty otarł nóż i powiedział:

– Przypomniało mi się właśnie, że mamy więcej niż jeden pojazd.

– No jasne – wtrąciła z podnieceniem Sabrina. – Bert odjechał przecież na motocyklu.

Mac skinął głową.

– Ty bierzesz jeepa i jedziesz za samochodem dostawczym, a ja odnajdę motocykl i nawiążę kontakt z Philpottem.

– A dlaczego nie na odwrót? – spytała. – Ja mniej bym się rzucała w oczy na motocyklu i w kasku ochronnym na głowie, a panu Philpottowi wygodniej byłoby w jeepie.

McCafferty potrząsnął z podziwem głową.

– Mogłem się tego spodziewać – powiedział. – Podejrzewam, że byłaś mistrzem szkoły średniej w motocrossie?

– Niezupełnie – mrugnęła do niego Sabrina – ale nakłoniłam tego mistrza, żeby mnie nauczył prowadzić.

Przeczesała kwadratami miejsce, gdzie Mac spodziewał się znaleźć motocykl, i pierwsza natknęła się na niego Sabrina.

– Jest cały – wykrzyknęła tryumfalnie, stawiając maszynę na koła i wskazując na starter. – I co więcej, na chodzie. – Podprowadzili hondę do drogi i ukryli się razem z nią za kępą drzew. Po chwili do ich uszu doleciał warkot silnika zbliżającego się pojazdu. Sabrina dosiadła hondy i zapuściła silnik, podczas gdy Mac przytrzymał motocykl, żeby stał prosto.

Minął ich jeep z rozchwianym, zabezpieczonym linami ładunkiem. Sabrina policzyła do dziesięciu, dodała gazu i wypadła z rykiem silnika na drogę. Miała u pasa krótkofalówkę McCafferty'ego i liczyła, że Bert Cooligan, który usadowił się w wysokich partiach góry, odbierze jej meldunek, kiedy zlokalizuje nową kryjówkę Smitha. Nie zdołała jednak znaleźć kasku ochronnego.

McCafferty wrócił na górę do Cooligana i przedstawił mu szczegóły planu. Ustalili, że jak tylko powietrze stanie się czyste, Bert powinien wrócić do zamku i czekać tam na wiadomość od Sabriny.

Mac uzbroił agenta w karabin zabitego wartownika.

– Sabrina też ma broń? – spytał Cooligan zatroskanym głosem.

Mac zawahał się, ale zaraz skinął głową.

– Ten Arab, Ahmed, usiłował ją zgwałcić. Zdołałem mu w tym przeszkodzić, ale musiałem go zabić. Sabrina ma jego pistolet maszynowy. W dolinie mam więcej broni i zabiorę ją stamtąd, kiedy wyjdę na spotkanie Philpottowi. Będziemy małą, regularną armią, co?

Cooligan uśmiechnął się i życzył szczęścia McCafferty’emu, który odchodził, żeby zjechać jeepem ze wzgórza do wioski. Agent tajnych służb przysiadł na piętach, podpierając się kolbą trzymanego przed sobą karabinu, i spojrzał na wciąż zajęty zamek skąpany w bursztynowym blasku popołudniowego słońca. Usadowił się wygodnie, by czekać.

Szlak wiódł z gór do miasta Knin, gdzie zbiegały się cztery główne drogi. Sabrina trzymała się w zapewniającej dobrą widoczność odległości za jeepem ze strażnikami do czasu, kiedy wjechali na nadbrzeżną równinę Hrvatska. Sądziła, że jeep kieruje się może na kurort Szybenik, ale od Kninu samochód skręcił w drogę drugiej kategorii na Benkovac, czyli w stronę wybrzeża, a potem kluczył labiryntem polnych dróg, by dotrzeć w końcu do miejsca, które według jej oceny dzieliło jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilometrów od zamku i około dziesięciu od brzegu morza. Co więcej, otaczała ją znowu kraina wzgórz, chociaż daleko im było do Alp Dynarskich.

Musiała teraz bardziej uważać, bo, praktycznie rzecz biorąc, drogę mieli tylko dla siebie. Na szczęście wiła się tak samo, jak szlak wiodący do zamku, mogła więc kryć się za zakrętami, a potem dopędzać sprintem oddalającego się jeepa. Ze słońca pozostał już tylko gorejący łuk na zachodzie i Sabrina modliła się w duchu, by

dotarli do jaskiń przed zapadnięciem zmroku.

Jeep zaczął zwalniać, zjechała więc honda ze szlaku pod osłonę rozsianych tu i ówdzie głazów. Jeep skręcił w prawo i zaczął się piąć pod kamieniste zbocze. Sabrina przeniosła wzrok wyżej i ujrzała tam okratowaną bramę przed ogromną betonową skarpą. Jeep zatrzymał się przed bramą i od razu zmaterializował się przy nim uzbrojony partyzant, by sprawdzić przybyszów. Za betonową płytą Sabrina dostrzegła ciemne wejście do jaskini.

Oparła hondę o głaz i wdrapała się ukosem na stok tak, aby zakończyć wspinaczkę nad wejściem do jaskini. Wychylając się ryzykownie daleko stwierdziła, że betonowy taras jest wystarczająco szeroki i głęboki, by pomieścić mikrobus, i jeszcze kilka pojazdów, a mimo to pozostać w wielkiej części nie zapełnionym. Zmieniła pozycję i jeszcze bardziej wykręciła głowę, żeby zajrzeć do samej jaskini. Na sponiewieranej tablicy informacyjnej przekręconej do góry nogami i opierającej się smętnie o ścianę przy wejściu widniała trupia główka ze skrzyżowanymi piszczelami u dołu, ostrzeżenie *Achtung!* w języku niemieckim oraz symbol sugerujący materiały wybuchowe. Czyżby skład amunicji z czasów wojny? – pomyślała. To byłoby idealne miejsce. Dostrzegła ostrza stalaktytów zwisających z wysokiego sklepienia jaskini, ale poza tym nie mogła niczego odróżnić, chociaż wewnątrz było dobrze oświetlone elektrycznymi lampami zasilanymi z buczonego gdzieś w głębi generatora.

Sabrina skrzywiła się i wycofała. Musiała dowiedzieć się czegoś więcej o geograficznym położeniu jaskiń i, jeśli to tylko możliwe, określić dokładnie miejsce przetrzymywania zakładników.

Ostrożnie, bo wartownik wciąż tkwił na posterunku, wspięła się jeszcze wyżej, na sam szczyt wzgórza. Mogła się teraz przekonać, że jaskinie muszą ciągnąć się dalej, niż to sobie wyobrażała oraz że dzieli je naturalna przegroda.

Pieczara stanowiąca wejście do jaskiń wychodziła na głęboki wąwóz, którego dnem płynęła niewidoczna, ale słyszalna rzeka, a ścieżka po jego drugiej stronie znikła w wylocie jeszcze jednej jaskini. Nad przepaścią przerzucono most wiszący, ale nie sprawiał on solidnego wrażenia. Sabrina uśmiechnęła się: była pewna, że zlokalizowała miejsce ukrycia zakładników, bo Smith nie zaniedbałby tak wspaniałej okazji do możliwie największego utrudnienia ucieczki jeńców lub próby przyjscia im z pomocą.

Włączyła krótkofalówkę i po kilku sekundach rozmawiała już w najlepsze z Bertem Cooliganem siedzącym w zamku Windischgraetz...

Gdy mikrobus dotarł do jaskiń, bramę otworzył osobiście Smith. Zakładników wygarnięto bezceremonialnie z autobusu; Feisal ścisnął mocno za rękę Zeidana, gdy kalekiego szejka sadzano w jego fotelu na kółkach. Warkot silnika dochodzący z góry oznajmił o przybyciu helikoptera „Kamow” z Dunkelsem na pokładzie. Jeden z partyzantów Smitha uruchomił generator i nacisnął wyłącznik zalewając mroczną grootę powodzią światła. Wielobarwne formacje wapienne zwisające z sufitu i wznoszące się z podłoża wyrwały westchnienie zachwyty z piersi Feisala.

Strażnicy popędzili jeńców przez grootę i kiedy cała grupa dotarła do rachitycznego mostu, szejka Zeidana ponownie zwleczono z fotela. Doktor Hamady, czepiając się kurczowo barierki, postawił pierwszy nerwowy krok na moście i dał się przeprowadzić na drugą stronę z zamkniętymi oczami. Drugi w kolejności był Zeidan; niesiony przez dwóch strażników, cały czas oglądał się z niepokojem na podążającego z tyłu Feisala. Za nimi przeszli Dorani i Arbeid, a na końcu, parami, członkowie załogi Air Force One z Fairmanem i Latimerem na czele.

Pochód zamykał Smith, ale zanim podjął przeprawę, polecił

Dunkelsowi nawiązać kontakt radiowy z zamkiem.

– Spytaj Jaggera, czy złapali już Cooligana. Jeśli nie, wróć tam helikopterem i pomóż im. W każdym razie, chcę tu widzieć całą obsadę zamku, jak tylko wszystko zabezpieczą. Powiedz Fayedowi, żeby pozbył się tej Carver, obojętne jak.

Dunkels oddalił się pośpiesznie, a Smith przeszedł na drugą stronę wąwozu, gdzie pod czujnym okiem dwóch strażników oczekiwali go zakładnicy zbici w gromadkę na małej półce otoczonej z trzech stron stumetrowym urwiskiem. Na ten skalny występ wiodły stopnie wykute w ścianie jaskini i Smith zszedł po nich ostrożnie, by stanąć przed swoimi jeńcami.

– Nie jest to Ritz – przeprosił – ale macie przynajmniej dach nad głową.

Szejk Dorani spojrzał na niego spod krzaczastych brwi.

– Kiedy zamierzasz nas uwolnić? – zapytał.

– Skoro tylko okup znajdzie się w moim posiadaniu – odparł uprzejmie Smith.

– A kiedy to będzie? – warknął Zeidan.

Smith sprawdził czas na swoim zegarku.

– Przed zmrokiem – stwierdził refleksyjnie. – Pięćdziesiąt milionów dolarów w diamentach. To chyba największy okup w dziejach.

– Kidnaperzy przechodzą do historii nie za sprawą wielkości zysków, jakie w bezprawny sposób osiągają, a na skutek haniebnej natury swych zbrodni – zaintonował Zeidan. – Jeśli w ogóle przetrwasz w czyjejś pamięci, Smith, to jako zwyczajny kryminalista, bo takim niewątpliwie jesteś.

Smith odwrócił się do starego Araba, który rozpiął się wygodnie w fotelu na kółkach, jakby to był złoty tron, i przyglądał się z odrazą porywaczowi. Zeidan wiedział, że ze wszystkich zakładników on jeden potrafi wyprowadzić Smitha z równowagi; korzystał z tej broni

wstrzemięźliwie i zawsze z imponującym efektem. Szejek podejrzewał, że w tych sporadycznych wybuchach, kiedy obrażono jego godność, Smith ma skłonność do mówienia prawdy. Właśnie o tym chciał się teraz przekonać.

W głosie Smitha pobrzmiwała atłasowa groźba.

– Czy wolałbyś, żeby zapamiętano mnie jako masowego mordercę, Wasza Ekscelencjo?

– To twoje prawo – chrząknął Zeidan – i równie dobrze może się stać twoim epitafium.

– Jeśli takie będzie moje epitafium, szejku Zeidanie, to mogę ci obiecać, że będzie ono również twoim i twojego wnuka.

– Musisz być niespełna rozumu, Smith – wtrącił z mroczniejącego skraju półki Latimer – jeśli uważasz, że uda ci się zabić nas wszystkich, bo innego wyjścia nie masz, i zarazem zagarnąć okup.

Smith spojrział na niego odzyskując już dobry humor i pewność siebie.

– Na szczęście dla pana, majorze, nie jestem ani szaleńcem, ani instynktownym zabójcą. Ale... jeśli za bardzo mnie sprowokujecie, którykolwiek z was, albo podejmiecie próbę ucieczki, to macie moje słowo, że nie opuścicie tego miejsca żywi. – Odwrócił się i wstąpił na schody pozostawiając po sobie ciszę, zwątpienie i strach...

McCafferty mógł jeszcze dostrzec w dali hondę Sabriny, kiedy skręcał ostro kierownicę jeepa, by ruszyć w przeciwnym kierunku na umówione spotkanie z Philpottem. Nie napotykając po drodze żadnego innego pojazdu dotarł do wioski, odebrał swój plecak od córki naczelnika poczty i obstawił się w gospodzie kilkoma piwami, by skrócić sobie czas oczekiwania. Nie musiał długo czekać: ujrzał helikopter, zanim jeszcze dotarł doń huk jego silnika, i poszedł ze sobą o zakład, który wygrał, że pilot wyląduje na tym samym polu, gdzie on zaparkował UTVA. Dostrzegł Philpotta schylającego się

niepotrzebnie podczas przebiegania pod wirnikami i kiedy helikopter bez zwłoki wzniósł się z powrotem w powietrze, zdał sobie sprawę, jak prawdziwie są samotni.

Dyrektor wysłuchał relacji McCafferty'ego i wypytał go szczegółowo o kluczowe aspekty. Gdy Mac skończył, Philpott skomentował ponuro:

– A więc nadal nie wiemy, gdzie właściwie znajdują się zakładnicy i nie dowiemy się tego, dopóki nie nawiążemy kontaktu z Cooliganem.

– Tak to właśnie wygląda – przyznał Mac.

– Nie wiemy też, co porabia Sabrina, ani czy nie popadła w jakieś tarapaty.

– Muszę przyznać, że ta kwestia najbardziej mnie niepokoi – odparł McCafferty.

Tymczasem Sabrina, większość drogi pokonując na pośladkach, zjeżdżała po stoku wzgórza, by dostać się z powrotem do hondy. Dotarła tam nie zauważona, zapuściła silnik i wyprowadzając już maszynę na szlak, aby wrócić tą samą trasą do zamku, spojrzała jeszcze raz w górę i zobaczyła opuszczający się na nią helikopter.

Dunkels wzbił się w powietrze, zanim jeszcze dziewczyna dotarła w okolice jaskiń. Połączywszy się drogą radiową z zamkiem dowiedział się, że nie tylko nie schwytano Cooligana, ale do tego wszystkiego uduszony został Fayed i że znikła Sabrina Carver. Niemiec przeanalizował niespójną wiadomość o tajemniczym powrocie Jaggera w czasie, gdy dubler powinien się znajdować w jaskiniach ze Smithem i zakładnikami.

Zameldował o tym Smithowi, który szybko pojął, że na scenę powrócił oryginalny McCafferty, by wykorzystać całą gamę możliwości, jaką stwarza mu podszycie się pod własnego sobowtóra.

– Skąd u pana ta pewność? – zapytał Dunkels.

Smith stracił nad sobą panowanie i najechał na niego z twarzą wykrzywioną furią:

– Jagger był tu! – wrzasnął – a więc nie mógł być jednocześnie tam, idioto! Nadal tu jest. Bierz helikopter – i to już! Znajdź Carver i sprowadź ją tu do mnie, żywą. Muszę wiedzieć, co zamierza Philpott. Szukaj motocykla, jeepa porzucili. McCafferty połączył się już do tego czasu z siłami Philpotta, ale Carver będzie krążyć gdzieś w pobliżu na motocyklu, z którego korzystał Cooligan. Dorwij ją, Dunkels.

– Skąd pan wie, że ona jest w okolicy? – spytał nieroztropnie Dunkels odwracając się już, by odejść.

– Bo przyjechała tu za jeepem wiozącym zaopatrzenie – wycedził przez zęby Smith, teraz niemal gotując się już z wściekłości. – Czasowo wszystko pasuje, ty głupcze. Wynoś się! Ale już! I nie wracaj mi bez niej.

Sabrina zjechała z drogi i wyhamowała z poślizgiem pod karłowatym bukiem. Słyszając, że kamow krąży nad nią, zerknęła w górę poprzez gałęzie. Słońce zniknęło już teraz na dobre z nieba, ale wieczorne powietrze było rześkie i przejrzyste, i dostrzegła za sterami Dunkelsa sprowadzającego helikopter coraz to niżej i niżej, aż w końcu powstała groźba, że łopatki jego wirnika zetną drzewo.

Sabrina odbezpieczyła pistolet maszynowy, wycelowwała dokładnie i puściła poprzez listowie serię w szary, spływający z góry kształt. Zabłąkany pocisk odbił się rykoszetem od kadłuba kamowa i Dunkels instynktownym szarpnięciem ściągnął do siebie drążek sterowy. Wzniósł się ponad mały zagajnik i odleciał poza zasięg broni, by po chwili niczym zła osa przemknąć z bzykiem nad kryjówką dziewczyny. Po lewej dojrzał skrawek wolnej przestrzeni i znowu nabrał wysokości wychodząc ze spirali w ostrym przechyle sygnalizującym wyraźnie, że ma zamiar lądować.

Sabrina dała się nabrać. Gdy kamow zawisł kilka stóp nad ziemią,

wskoczyła na siodło hondy, dodała gazu i wypadła z rykiem silnika spod osłaniającego ją drzewa. Usłyszała narastające wycie silnika helikoptera i dopiero wtedy zrozumiała, że została wywiedziona w pole: Dunkels markował tylko lądowanie, żeby wywabić ją z kryjówki.

Zakłęta dosadnie i objechała pagórek, by przebić się z trzaskiem łamanych gałązek przez żywopłot w nadziei, że znajdzie za nim drugi zagajnik, ale wyjechała na jeszcze rozleglejsza otwartą przestrzeń. Na przeciwległym skraju polany rośło jednak jakieś drzewo i gnała już jak błyskawica w jego kierunku, kiedy dopędził ją Dunkels. Pierwsze pociski z jego karabinu maszynowego wyrwały czerwone grudki ziemi z wyboistego podłoża.

Niemiec bawił się z Sabrina w kotka i myszkę, i kiedy sprowadzał helikopter w dół, żeby zagrozić jej drogę i zmusić do grożącej wywrotką, gwałtownej zmiany kierunku jazdy, widziała przez pleksiglasową osłonę kabiny jego roześmianą twarz. Potem został trochę z tyłu i Sabrina wróciła na swój kurs, ale po chwili znowu skrzyła ostro kierownicę, by uniknąć wirujących łopatek kamowa młódcących powietrze o kilka zaledwie cali od jej twarzy. Tym razem Dunkels nękał ją usiłując zagnać z powrotem tam, skąd nadjechała, aż w końcu, zdesperowana, wprowadziła hondę w kontrolowany poślizg, zawróciła i pochylając się nisko w siodle popędziła prosto pod koła helikoptera.

Ale brakowało jej zarówno szybkości, jak i możliwości manewru, by Niemiec dał się zaskoczyć, i zbliżał się nieuchronnie koniec tej gonitwy, bo Dunkels zobaczył coś, czego ona nie mogła zauważyć: pomiędzy polaną a zagajnikiem, który obrała sobie za cel, rozlewało się małe bajorko niewidoczne dla niej, bo skryte w zagłębieniu terenu.

Dunkels niczym owczarek pędził ją przez polanę, a Sabrina, niczym

królik umykający przed zębami zawziętego psa, klucząc i uchylając się przed helikopterem i nieprzerwanym gradem pocisków, gnała w kierunku, o który mu właśnie chodziło. Nie zносиła, kiedy goniono ją jak dziecko, a zapędzona do narożnika traciła zawsze wolę walki i popadała w histerię. Szlochała teraz i była bliska poddania się wszechogarniającej panice, kiedy nagle honda straciła grunt pod kołami, fiknęła kozła w tył i wysadzona z siodełka Sabrina wleciała wraz z maszyną w sam środek bajora.

Leżała przez chwilę ogłuszona i lekko podtopiona w mętnej wodzie. Przyszła trochę do siebie, gdy Dunkels złapał ją za kołnierz i wywlókł na błotnisty brzeg. Stał nad nią okrakiem przyglądając się, jak leży sponiewierana. Potem schylił się, chwycił ją za włosy, poderwał w górę i rąbnął pięścią w twarz.

Po raz drugi straciła przytomność, a kiedy jej mózg przedarł się z mozołem poprzez woal powrotu do świadomości, huk silnika kamowa dopełnił dezorientacji, w jaką popadła. Zebrała myśli i poruszyła na próbę rękami i nogami. Dunkels nie uznał nawet za konieczne, by ją związać.

Spośród ryku helikoptera Bert Cooligan zdołał wyłowić kilka słów, jakie udało się Sabrinie wykrzyknąć, zanim Dunkels nie roztrzaskał w drobny mak jej krótkofalówki.

– Bert! Mają mnie! – krzyknęła – Zabierają mnie do jaskiń!

Sonia Kolchinsky czuła się dziwnie pokrzepiona obecnością brygadiera Tomlina, który stał obok niej na dziobie kutra motorowego prującego fale Adriatyku u wybrzeży Dalmacji. Od chwili gdy Philpottowi zakomunikowano, że obejmuje dowództwo nad całością operacji, Sonia wykorzystywała autorytet UNACO do wymuszania na Jugosłowianach każdej uncji pomocy, jaką tylko potrafiła z nich wycisnąć. Mając do dyspozycji pokaźne siły operacyjne marynarki wojennej, wymogła na ministrze spraw

wewnętrznych zgodę na włączenie do akcji oficera dowodzącego NATO. Tomlin nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i przyleciał odrzutowcem z Neapolu, ledwie słowa przyzwolenia zdążyły paść z ust polityków.

Zerknął teraz ponuro przez ramię na lampkę ostrzegawczą i zapalił latarkę, żeby spojrzeć na morską mapę miriadów wysepek, rozsypanych wokół niczym wodorosty pomiędzy ich portem zaokrętowania, czyli Splitem, a włoskim półwyspem Venezia Giulia.

Sonia westchnęła i poszukała wzrokiem oparcia w światłach Szybeniku, które mrugały do nich z brzegu. Światła następnego większego nadmorskiego miasteczka, Zadaru, były odleglejsze. Wnioskując z zależności położenia geograficznych pasa startowego względem zamku i przypuszczalnego rejonu, w którym należało szukać jaskiń z zakładnikami, była przekonana, że wyspa wybrana przez Smitha na złożenie okupu leżeć będzie gdzieś między Szybenikiem a Zadarem, co pasowało do jego z konieczności ogólnikowego powołania się na mapę. Ale przeczesali już raz tę strefę, a dochodziła godzina dziewiętnasta, czyli do wyznaczonego przez Smitha ostatecznego terminu zawieszenia diamentów na szubienicy pozostała już tylko godzina.

– Najwyraźniej przeoczyliśmy ją za pierwszym razem – zdecydował Tomlin – Sprawdzimy jeszcze raz.

– Ale już prawie noc – zaprotestowała Sonia.

– Mimo to szukamy dalej – oświadczył z naciskiem Tomlin. W skład jego flotylli wchodziły jeszcze trzy kutry i znajdował się w kontakcie z mówiącymi po angielsku członkami załogi na pokładzie każdego z nich. – Przeczesujemy ten obszar jeszcze raz ćwiartkami – wydał rozkaz brygadier – i pamiętać, że ta wysepka może być diabło mniejsza, niżby to wynikało z fotografii. To, czego szukamy, może wcale nie być wyspą, a zaledwie skałą.

Tomlin znowu pochylił się nad mapą. Opłynęli wyspę Kakan mając po prawej burcie Kaprije, a po lewej większy zarys Kornati. Z prawej burty przesunęła się następnie Murter, z lewej Zut i przed dziobem, w pobliżu wychodzącego na otwarte morze wybrzeża wyspy Pasman, pojawiła się jeszcze jedna wysepka, którą Tomlin natychmiast rozpoznał. Dźgnął palcem w mapę.

– Latarnia morska – powiedział z niezmierną satysfakcją. Akurat w tym momencie rozbłysnął tam snop światła i omiótł powierzchnię morza przed dziobem ich kutra.

– Ttto tttam! – wyjąkała Sonia. – O, tam!

Powracający snop światła potwierdził ulotne wrażenie, jakie odniosła. Wyłowił z mroku płaski zarys wyspy Saucer unoszący się na morzu niczym odwrócony do góry dnem talerz obmywany bałwanami. Na prawym skraju wyspy wznosiła się szubienica.

Sternik ich kutra pobiegł wzrokiem za wskazującym palcem Soni i skierował stateczek poprzez niskie fale ku wysepce. Tomlin przybliżył do oczu polaroidową odbitkę i zerknął znad fotografii na skrawek ładu przyszpilony teraz snopami światła reflektorów z ich łodzi i jeszcze dwóch towarzyszących im motorówek.

– Zlokalizowana – stwierdził. – Znakomicie, panno Kolchinsky. Kawał pierwszorzędnej roboty.

Motorówka opłynęła wysepkę dookoła, zanim wreszcie wytraciła szybkość i zaczęła się cofać, by zająć pozycję w pobliżu osobliwego słupa z poziomym ramieniem.

– Nie podchodzić za blisko – ostrzegł Tomlin załogę kutra – i żeby mi nikt, ale to nikt nawet nie próbował postawić nogi na tej wyspie. Nie zarzucać haków w pobliżu tego słupa ani nie szturczać go karabinami, czy cymkolwiek innym. Nie cumujemy tam; podpływamy tylko na taką odległość, żebyśmy mógł zarzucić torbę na to wystające ramię, a możemy to zrobić w ruchu. Jeśli chybimy,

spróbujemy jeszcze raz, i tak aż do skutku.

Jak się okazało, trzeba było trzech podejść, zanim Tomlin wyczuł odległość i zarzucił metalowy pierścień na ramię. Zatarł raźnie dłonie i błysnął zębami spod starannie przystrzyżonego wąsika, zaszczycając Sonię promiennym uśmiechem.

– Świetnie – orzekł. – Teraz wycofujemy się i zajmujemy stanowiska.

– Gdzie proponuje pan się udać? – zapytała Sonia i Tomlin wskazał głową na sąsiednią wyspę.

– Nie ma sensu sterczeć tu na zimnie, kiedy możemy sobie posiedzieć nad kubkiem parującego kakao – zachichotał głośno.

– Kakao? – powtórzyła za nim bezmyślnie.

– Właśnie – powiedział Tomlin. – Nie widziałem, jeszcze latarnika, który nie przyrządzałby wyśmienitego kakao. Tam będzie nasza kwatera, pszepani, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Sonia uśmiechnęła się do niego z uznaniem.

– Stoi, brygadierze. Z panem wszędzie. Kakao to jest to.

– Do wszystkich jednostek. Uwaga wszystkie jednostki. Zająć natychmiast wyznaczone stanowiska. Kuter flagowy cumować będzie przy tej wyspie trzydzieści stopni na prawo, a punktem dowodzenia zapewniającym przez cały czas dobrą widoczność na tę skałę będzie latarnia morska. Jeśli mnie zrozumieliście, proszę o potwierdzenie.

Trzy aldisy zamrugały potakująco i Tomlin wydał swojej załodze rozkaz przybicia do latarni morskiej, gdy tymczasem reszta flotylli obsadzona uzbrojonymi żołnierzami piechoty morskiej opłynęła wyspę Saucer i zaczęła się o ćwierć mili dalej niczym stadko oczekujących na porę obiadową rekinów.

Smith przyjął Sabrinę z lodowatą grzecznością, wyrażając nadzieję, że nic nie ucierpiała przy okazji spotkań z Ahmedem w zamku i z Dunkelsem w helikopterze.

– Zupełnie nic – odparła słodko – zachowywali się jak prawdziwi gentlemani, którymi najwyraźniej są.

– Albo, w przypadku Ahmeda, byli – poprawił ją Smith. Sabrina usiłowała ukryć niepokój, jaki ogarnął ją na wieść, że Smith dowiedział się już o śmierci Fayeeda.

Smith ubiegł jednak wszelkie kłamstwa, jakie mogła na poczekaniu wymyślić.

– Oczywiście, że wiem o śmierci Ahmeda – powiedział – i, co więcej, wiem, że zabity został przez pułkownika McCafferty’ego... prawdziwego pułkownika McCafferty’ego jeśli za mną nadążasz, nie przez nasz zastępczy, nieco wybrakowany model.

I znowu zapragnęła zachować twarz pokerzystki, ale szybko stwierdziła, że nie potrafi udawać czegoś, czym nie obdarzyła jej natura. Odparła więc spokojnie:

– A wszystko to świadczy o tym, że stoi pan na straconej pozycji, nieprawdaż, panie Smith?

– Wprost przeciwnie – rozpromienił się Smith. – Philpott nie będzie w stanie uczynić nic, by przeszkodzić mi w przejęciu okupu, a ja, ze swej strony, przygotowałem małą niespodziankę, która zabezpieczy mi tyły. Zaczynam dochodzić do wniosku, że ci Arabowie są zdecydowanie męczący. Nie, Sabrino, ja nie przegrałem; i nie przegram. Philpotta stać tylko na czajenie się w pobliżu mojej wyspy z...

– Jeśli sądzi pan, że... – zaczęła i ze złością ugryzła się w język.

– Właściwie, to nie sądzę – zamruczał przymilnie Smith. – Prawdę mówiąc, wyobrażam go sobie bliżej mojego zamku niż linii brzegowej, bo chociaż byłaś na tyle miła, aby przekazać mu przez krótkofalówkę położenie tych jaskiń, to nie przypuszczam, aby w tak krótkim czasie zdołał tu już dotrzeć, prawda? Bez wątplenia wraz z pułkownikiem McCaffertym dobijają właśnie w tej chwili do agenta

Cooligana, by radzić nad najskuteczniejszym sposobem przypuszczenia swoimi siłami szturmowymi ataku na tę warownię.

Ponownie usiłowała zachować obojętny wyraz twarzy i po raz trzeci jej się to nie udało. Smith roześmiał się szczerze ubawiony.

– Moja droga Sabrino – zachichotał – naprawdę nie ma sensu czegokolwiek ci perswadować, bo wystarczy tylko popatrzeć na twoją śliczną buzię, by wyczytać z niej wszystkie potrzebne odpowiedzi. Dowiedziałem się właśnie, że Philpott, możliwe że wraz z McCaffertym i Cooliganem, znajdują się w moim zamku lub w jego pobliżu, oraz że dalecy od dysponowania armią zdolną do zadania mi klęski, działają, zdaje się, w zupełnym osamotnieniu. Mają prawdopodobnie jakieś wsparcie na morzu, gdzie, jak się domyślam, pierwsze skrzypce gra szanowna panna Kolchinsky...

Sabrina spłonęła rumieńcem i zaczęła jej drżeć dolna warga.

– I znowu strzał w dziesiątkę – zachichotał Smith. – No to mamy kompletny obraz sytuacji. – Skinął na uśmiechającego się Dunkelsa. – Siegfriedzie, daj naszej pięknej „Brünhildzie” trochę ciepłej strawy, a potem zaprowadź ją do reszty, żeby mogli wspólnie oczekiwać na swój *Götterdämmerung*.

Roześmiał się serdecznie i wszedł dostojnym krokiem do głównej groty...

Philpott jęknął i zaklął, kiedy Cooligan przekazał mu najświeższe wieści o ujęciu Sabriny.

– Jak dawno odebrałeś tę wiadomość? – wyrzucił z siebie.

– Niecałe dziesięć minut temu – odparł Cooligan.

– Cholera, cholera, cholera – powiedział z przejęciem Philpott.

– Po co się tak przejmować, szefie? – spytał McCafferty. – Sabrina to cwana sztuka, prawda? Na pewno potrafi się o siebie zatroszczyć.

Odpowiedzią Philpotta było pełne rezygnacji westchnienie.

– Nie o to chodzi, Mac – przyznał. – Martwi mnie to, że teraz

musimy zakładać, iż Smith wszystko wie, i działać mając to na uwadze.

– Jak to? – zmarszczył czoło Cooligan tak samo zaintrygowany, jak McCafferty.

Philpott uśmiechnął się ze smutkiem.

– Sabrina nigdy nie potrafiła łączyć w żywe oczy – wyjaśnił. – Ona jest jak otwarta księga: wielka odwaga, wielka inteligencja, ale ani krzty przebiegłości. Smith na pewno wyciągnął już z niej wszystko, co chciał. Zamierzałem odłożyć zajęcie się jaskiniami do czasu, kiedy okup znajdzie się w rękach Smitha, żeby niepotrzebnie nie narażać zakładników; ale wszystko się zmieniło. Musimy uderzyć najpierw na jaskinie, i to szybko. Podejrzewam, że kiedy Smith położy swoje łapy na diamentach, życie zakładników może nie być warte złamanego centa.

– Ale wydaje mi się, że mówiłeś, iż nie jest zdeklarowanym mordercą – zaproponował McCafferty.

Philpott potrząsnął ze znużeniem głową.

– Wiem, Mac – odparł – ale ta operacja wydaje mi się jakaś inna. Już dopuścił do zamordowania Hemmingswaya, a ponieważ zdaje sobie sprawę, że depczemy mu ostro po piętach, może się zacząć czuć zagrożony. A wszyscy wiemy, co robią szczury, kiedy zapędzi się je do narożnika. Łudziłem się zakładając zawsze, że Smith jest jakąś odmianą sukinsyna gentlemana... ale nigdy nie znałem go od jego gorszej strony, Mac. Mając na względzie dobro wszystkich, z Sabrina włącznie, musimy od tej chwili postępować bardzo rozważnie.

Gdy „siły szturmowe” ładowały się na jeepa, który miał je przewieźć do jaskiń, Smith stał z założonymi rękami przy moście wiszącym, po stronie bliższej stłoczonych na zimnej półce skalnej jeńców, mając u boku Jaggera.

Spojrzał z aprobatą i Jagger uśmiechnął się; snop światła z jego

latarki padał na partyzanta, umieszczającego ładunek plastikowego materiału wybuchowego w otworze wydrążonym w ścianie jaskini, ponad półką.

Mężczyzna, niewidoczny dla ściśniętych poniżej zakładników, podłączył do plastyku przewody detonatora i poturlał w kierunku Jaggera zwój jasnożółtego kabla. Dubler pochwycił go i podłączył luźny koniec do szpuli. Ruszył tyłem przez most rozwijając kabel, a Smith podążył za nim, skrupulatnie unikając drucianego węża.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sabrina siedziała na kamieniu pałaszując pieprzny gulasz i zastanawiając się nad znaczeniem ostatniej uwagi Smitha. Związek, jakiego się dopatrzyła – ten wagnerowski, pomiędzy „Siegfriedem”, „Brünhilda” i *Götterdämmerung* - był niezbyt pokrzepiający, bo „Zmierzch bogów” implikował zniszczenie praktycznie wszystkiego w zasięgu wzroku.

Została doprowadzona pod lufą pistoletu Dunkelsa do mostu przerzuconego nad przełomem rzeki, gdzie przepuścili Smitha z Jaggerem, wracających z jaskini zakładników i unoszących ze sobą wspólną tajemnicę jakiegoś dokonanego tam aktu dywersji. Spojrzała dublerowi w oczy i przez chwilę doznała uczucia, że w jej serce zagłębia się zimna stal.

Przelotne spotkanie wzroku Jaggera wwiercającego się w jej własny sprawiło, że zyskała teraz niezachwianą pewność czegoś, co do tej pory zaledwie podejrzewała: że bez względu na los przeznaczony jeńcom przez Smitha, Jagger zamierza wytłuc ich do ostatniego.

Wyczytała tę informację z oczu dublera bezbłędnie i tak wyraźnie, jak gdyby wyraził ją słowami. A on nie ukrywał bezbrzeżnej nienawiści, jaką względem niej żywił, bo wiedział, że już jej nie zobaczy.

Uświadomiwszy to sobie, zatrzymała się jak wryta na rozkołysanej kładce i natychmiast poczuła lufę pistoletu maszynowego Dunkelsa wwiercającą się jej w kręgosłup. Obejrzała się gwałtownie na niego, potem spojrzała w dół na drewniane deski pod nogami i do tyłu, na wejście do grotty, i potknęła się, gdy próbowała ruszyć przed siebie.

Ramię Dunkelsa poderwało się błyskawicznie i podtrzymało ją, kiedy już się przewracała – ale zanim zdążył pchnąć ją brutalnie w przód, dostrzegła przez mgnienie oka kilka odcinków żółtego kabla upchniętego pod poręcz mostu.

Wzbierający w niej strach szybko zastąpiła złość i zeszła pełnym godności krokiem z mostu, nie dając po sobie poznać, że zauważyła bombę osadzoną w skalnej niszy. Dunkels zepchnął ją ze schodów na dół, gdzie podbiegł do niej Feisal i Sabrina porwała chłopca w ramiona.

– Nie spuszcza jej z oka – powiedział Niemiec po serbsko-chorwacku do jedyne go pozostałego przy jeńcach strażnika – i sam trzymaj się od niej z dala. Jest niebezpieczna. Może na to nie wygląda, ale jest. – Strażnik kiwnął sztywno głową i Dunkels wszedł po schodach i zniknął.

Sabrina wypuściła chłopca z objęć, ale pozwoliła mu się zaprowadzić do jego dziadka. Domyślała się, że ani szejk Zeidan, ani żaden z pozostałych zakładników nie wie, iż Smith wyposażył Jaggera w środki do zgładzenia ich wszystkich i wolała powiadomić o tym Zeidana jako pierwszego i poszukać u niego rady.

Stary Arab wysłuchiwał jej w milczeniu i tylko raz pozwolił sobie na zerknięcie na miejsce usytuowane wysoko w ścianie jaskini, gdzie według słów Sabriny podłożono ładunek wybuchowy. Feisal poszedł za jego wzrokiem, potem odwrócił głowę i dalej patrzył spokojnie na Sabrinę.

– Jeśli sobie przypominasz – powiedział chłopiec cicho – jestem dosyć dobry we wspinaczce. Gdyby tobie albo komuś innemu udało się odwrócić uwagę strażnika tak, żeby przez chwilę nie patrzył, to mógłbym się tam wdrapać i rozbroić tę bombę.

Sabrinie zaparło dech. Potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie! – wyszeptała. Nigdy! Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś ci

się stało.

Na jej przegub opadła dłoń szejka Zeidana i pociągnęła zań łagodnie.

– Podjęcie decyzji nie będzie należało do pani, panno Carver – powiedział. – Do mnie, zresztą, też nie. W żyłach Feisala płynie królewska krew, moja krew, której źródło trysnęło niezliczone stulecia temu. Jest odważny niczym pustynny lew i nieustraszony niczym polujący sokół. Jeśli chce to zrobić, robi to. Poza tym – dodał Zeidan z przewrotnym uśmieszkiem – on zna się na chemii.

– Naprawdę?

– O, tak – wtrącił się Feisal – miałem już do czynienia z materiałami wybuchowymi.

Philpott ponownie wciągnął nosem powietrze.

– Wciąż mi tu zalatuje gulaszem – stwierdził.

– Cokolwiek to jest – odparł McCafferty – znaleźliśmy właściwe miejsce.

Razem z Cooliganem dojechali do rejonu przypuszczalnego usytuowania jaskiń z zakładnikami, określonego z grubsza na podstawie wskazówek przekazanych przez Sabrinę, i zmarnowali dwadzieścia minut na bezowocnym przeczesywaniu okolicy, przyświecając sobie osłoniętymi latarkami, dopóki Philpott nie zwęszył zapachu domowej kuchni.

– Niech pan tu zostanie, szefie zadysponował Mac. – Bert, ty na drugą stronę tamtej betonowej płyty; to najwyraźniej wejście. Ja podejść tam od góry i dam ci znak latarką; jeden błysk – droga wolna; dwa błyski – są strażnicy. Nie odpowiadaj mi.

Nie zdążyli jeszcze zająć swoich pozycji, kiedy rozwiały się wszelkie wątpliwości. Grote wejściową zalała powódź światła, dwaj strażnicy stanęli na baczność i z jaskini na coś, co McCafferty dopiero teraz rozpoznał jako parking dla mikrobusu, kolekcji jeepów i

Dunkelsowego helikoptera typu „Kamow”, wyszedł Smith.

Zatrzymał się przed autobusem, potem odwrócił się i skinął w kierunku wylotu jaskini. Wyłonił się stamtąd Jagger, by do niego dołączyć.

Joe McCafferty i Malcolm Philpott mieli teraz po raz pierwszy okazję przyjrzenia się – jeden od góry, drugi od dołu – żywemu dublerowi i obu przeszedł dreszcz przerażenia, bo uświadomili sobie, jak wielką trudność dla członków załogi Air Force One – i kogokolwiek innego, kto znał McCafferty’ego – stanowiło odróżnienie tego sobowtóra od oryginału.

Do Philpotta doleciał z góry głos Smitha:

– Dam ci znać, gdy tylko diamenty znajdą się w moim posiadaniu – mówił do Jaggera. – Wtedy możesz się stąd zmyć i zostawić więźniów. Ja zadbam już o to, żeby Philpott dowiedział się, gdzie są.

– Ma pan ze sobą swoje zabezpieczenie? – spytał Jagger.

Smith uniósł rękę i zademonstrował małe, płaskie pudełeczko wyposażone w przełącznik i wbudowany mechanizm zegarowy.

– Mam je. Jakiegokolwiek kłopoty z odebraniem okupu, a użyję tego. Ciebie jednak ostrzegę pierwszego, żebyś zdążył wyprowadzić naszych ludzi.

– Czy sygnał będzie wystarczająco silny, by nadany gdzieś z morza zdetonował bombę? – dopytywał się Jagger.

Smith uśmiechnął się i odpowiedział:

– W zupełności. Sam to skonstruowałem.

Podczas gdy oni zajęci byli rozmową, Philpott przekradł się chyłkiem, cal po calu, pod osłoną skał pod samo wejście do jaskini i teraz podciągał się już na betonową płytę parkingu. Przycupnął za mikrobusem i obserwował, jak Smith żegna się z dublerem i wsiada do pojazdu. Tam wdał się od razu w ożywioną rozmowę z kierowcą, nie zauważył więc tego, co po rozstaniu się z nim zrobił Jagger.

Dostrzegł to jednak Philpott.

Dubler wyciągnął z kieszeni małe, płaskie pudełeczko identyczne z tym, jakie miał Smith, popatrzył na nie i schował z powrotem do kieszeni.

Silnik mikrobusu zakrztusił się i zbudził do życia, i podczas gdy pojazd pokonywał stromą pochyłość kierując się ku drodze, Malcolm Philpott walczył o swe drogie życie uczepiony kurczowo tylnego kosza bagażowego autobusu...

Jeden z partyzantów pilnujących wejścia do jaskiń odlał się hałaśliwie na skalną ścianę, zawołał coś niezrozumiałego do kolegi i zniknął w środku. Drugi strażnik zatrzasnął bramę za autobusem Smitha i zaryglował ją. Kiedy wracał wielkimi krokami na swój posterunek, McCafferty zeskoczył mu na plecy ze skalnego nawisu i powalił na ziemię. Partyzantowi uszło ze świstem powietrze z płuc, a McCafferty zdzielił go silnie w głowę za prawym uchem. Potem gwizdnął i momentalnie zjawił się przy nim Cooligan. Wspólnymi siłami związali i zakneblowali strażnika. Cooligan odciągnął ciało na parking i wepchnął je pod ciężarówkę.

– Teraz po Sabrinę – szepnął po raz drugi tego wieczora Mac; panna Carver, pomyślał, staje się problemem.

– Taak, ciekaw jestem, co ona planuje? – powtórzył jego myśli Cooligan.

Planowała uwiedzenie. Zbliżyła się spacerowym krokiem do jugosłowiańskiego strażnika, który natychmiast ściągnął z ramienia pistolet maszynowy i skierował na nią lufę tak, że zobaczyła w niej gwint. Położył palec na spuście i powiedział w serbsko-chorwackim coś, co, sądząc z tonu, Sabrina oceniła jako odzywkę w najwyższym stopniu niesympatyczną.

– Jaki nietowarzystki – mruknęła. – Chciałam się tylko zapoznać. Dostyc nudno tutaj, jak sam widzisz.

Po oczach strażnika widać było, że nie rozumie ani słowa z tego, co Sabrina mówi, ciągnęła więc tym samym konwersacyjnym tonem:

– No to włącz na górę, Feisalu. Ten facet jest tak pochłonięty roztaczaniem nade mną ścisłego nadzoru, że chyba moglibyśmy tu przeszmyglować stado słońcy cyrkowych, a on by tego nie zauważył.

Feisal wyslizgnął się zza fotela na kółkach swego dziadka i wykorzystując innych Arabów w charakterze parawanu, zszedł z pola widzenia wartownika. Czekający pod ścianą Fairman uniósł chłopca na kilka stóp w górę i pomógł mu znaleźć punkt podparcia dla czubka buta.

Sabrina przysuwała się coraz bliżej do partyzanta, aż wreszcie koniec lufy pistoletu spoczął w dolinie między jej piersiami. Oblizła usta i zamruczała:

– Tylko na tyle cię stać?

Strażnik zarumienił się i cofnął, ale nie odrywał wzroku od jej oczu, gdy tymczasem Feisal, poruszając się szybko i bezszelestnie, wspinał się coraz wyżej. Jugosłowianin niecierpliwym machnięciem pistoletu dał Sabine do zrozumienia, by nie podchodziła bliżej, ale zrobiła do niego zalotną minę i kołyszając biodrami podsunęła się na samą krawędź półki. Schyliła się, a lufa pistoletu strażnika powędrowała za nią. Obejrzała się na niego przez ramię, uśmiechnęła i zgarnęła z ziemi garść kamyczków.

Stała teraz na skraju skalnego urwiska i spoglądała w dół w czarną przepaść. Ponętnie oscylując tylną częścią ciała rzucała kamyczki, po jednym na raz, w otchłań...

Philpott, uczipiony przewiewnej grzędy, dostrzegł migotanie lewego kierunkowskazu mikrobusu i kiedy autobus zjechał z drogi na pobocze zatrzymując się, zeskoczył i przeturlał po ziemi pod osłonę pobliskich krzaków. Wbił wzrok w ciemność, z której dolatywał doń szum fal rozbijających się o brzeg i zapach morza. Smith polecił

kierowcy odprowadzenie autobusu z powrotem do zamku Windischgraetz i po chwili został sam na sam z odgłosami nocy, wodą, zawodzącą bryzą... i Malcolmem Philpottem.

Philpott uniósł ostrożnie głowę i zobaczył, jak samotny rowerzysta mijając Smitha, odpowiada ciepło na pozdrowienia wypowiedziane w lokalnym dialekcie i jedzie dalej. Smith przeszedł na drugą stronę drogi i stał tam przez chwilę w jasnej poświacie księżyca, rysującą się sylwetką na tle linii horyzontu. Potem znikł z oczu. Philpott zerwał się na nogi i ruszył w pogoń. Z drugiej strony, drogi doszedł jego uszu odgłos powodowany przez Smitha ześlizgującego się po pochyłości. Philpott zaczekał, aż Smith dotrze do podnóża skarpy i ruszył za nim.

Zapaliła się przydrożna latarnia i Philpott czmychnął w cień karłowatego drzewa. Ujrzał Smitha wyciągającego z kryjówki pod skałą dingi Avon z doczepionym do rufy silnikiem. Smith pieczołowicie wymiółł wnętrze łodzi z piasku i kawałków igliwia, po czym odkręcił wieczko zbiornika paliwa i nalał do pełna benzynę z małego kanistra. Podciągnął rękaw nowiutkiej kurtki i spojrzał na podświetlaną tarczę zegarka. Ostateczny termin złożenia okupu minął przed dobrymi trzydziestoma minutami, ale Smith nie zdradzał żadnych objawów niestosownego pośpiechu. Uśmiechnął się z satysfakcją, i zapatrzył spokojnie na morze.

Minęło tak dziesięć minut i Philpott, walcząc z kurczem wkradającym się w mięśnie, zaczynał się już porządnie niecierpliwić. Przełożył pistolet do lewej dłoni, a prawą ręką uchwycił się drzewa, ale pozycja kuczna, którą był zmuszony przyjąć, szybko go zmęczyła.

I nagle Smith poruszył się. Schylił się i podniósł z piasku linę, której Philpott dotąd nie zauważył. Pociągnął za nią i na powierzchni wody pojawił się rząd pęcherzyków powietrza odbiegając po prostej od brzegu.

Philpott wyprostował się do połowy i wychylił w przód, żeby lepiej widzieć. Kruchy łupek ilasty osunął mu się spod stóp i dyrektor zjechał z obłądnym wrzaskiem ze skarpy lądując praktycznie pod nogami Smitha.

Pistolet wyleciał mu z dłoni i Philpott jął niezdarnie przebierać kończynami jak krab, by go odzyskać, póki Smith nie przydepnął mu mocno nadgarstka wyciągniętej ręki.

Sabrina rzuciła w przepaść ostatni kamiyk i odwróciła głowę, by puścić oko do Jugosłowianina, który nie mógł oderwać od niej oczu. Była to chwila wtórnego seksualnego porozumienia, które Feisal zdecydował się zerwać, tracąc chwyt na ostrym występie. Wydał mimowolny okrzyk i zsunąwszy się po skalnej ścianie, zawisł dziesięć stóp nad głową strażnika.

W momencie gdy strażnik podniósł odruchowo wzrok na chłopca, Sabrina przypadła do nóg mężczyzny i objęła go za kolana. Strażnik zachwiał się i upadł na wznak, ale nie oderwał palca od spustu pistoletu maszynowego i kiedy Sabrina rzuciła się na niego szczupakiem, chwytając za lufę, nacisnął nań.

Grad pocisków zabębnił o ścianę i rozprysnął się po całej jaskini na podobieństwo obłąkanych ciem. Szejk Dorani zawył, trafiony w obojczyk zbłąkaną kulą, a Sabrina wyteżając wszystkie siły, starała się odgiąć w przeciwną stronę pistolet ściskany przez strażnika.

Palcami drugiej ręki wpiła się w twarz mężczyzny i rozorała ją do krwi paznokciami, ale zdążył zamknąć oczy, unikając w ten sposób najgorszego z obrażeń. Poderwał nogę i zaprawił dziewczynę kolanem w krocze: straciła oddech i stęknęła. Członkowie załogi Air Force One przyglądali się temu bezradnie, nie decydując się na interwencję, dopóki Jugosłowianin trzymał pistolet. W końcu strażnik olbrzymim wysiłkiem wpakował Sabrinie łokieć w twarz i podźwignął się na nogi z dziewczyną wciąż uczeponą pistoletu.

Partyzant przyłożył jej znowu bestialsko, wyrwał pistolet z jej kurczowo zaciśniętych dłoni i zawył z bólu i zdziwienia, bo w tym samym momencie na jego plecach wylądował z impetem Feisal.

Mężczyzna i chłopiec padli spleceni w uścisku na skalne podłoże i pistolet maszynowy znowu zająknął się i zakrztusił. Ale tym, który wstał, choć z rękoma i przodem koszuli zbroczonymi krwią, był Feisal. Jugosłowianin leżał na plecach z rozerwaną pociskami twarzą, gardłem i piersią, a jego jedno niewidzące oko wpatrywało się w krystaliczne narośla na stropie grotu.

Sabrina otoczyła ramionami łkającego dzieciaka i pocałowała go w oba policzki. Potem przekazała go doktorowi Hamady'emu i kazała uklęknąć Fairmanowi. Wlazała mu na plecy i zaciskając zęby, zaczęła się piąć po skalnej ścianie, bo bomba nadal nie została rozbrojona...

Strzelanina dotarła do uszu Jaggera i Dunkelsa, którzy nadzorowali w tym czasie operację oczyszczania grotu głównej. Większość partyzantów odjechała już do tajnych górskich baz. Jagger zaklął, porwał pistolet maszynowy i kazał Dunkelsowi pilnować podejścia do mostu, a sam pognął sprawdzić, co się stało.

Cooligan i McCafferty leżeli w wejściu do jaskini, zastanawiając się właśnie nad następnym ruchem, kiedy dobiegł ich huk strzałów. Cooligan wyciągnął natychmiast błędny wniosek.

– Zrobił to ten sukinsyn – jęknął zdławionym głosem i chciał się już zerwać z ziemi, by pobiec w kierunku tunelu prowadzącego na most. McCafferty schwycił go za ramię i przytrzymał w pozycji „padnij” wyjaśniając, że nie jest prawdopodobne, aby dubler dokonał masakry przy użyciu broni maszynowej, skoro w tym celu wystarczyło mu tylko zdetonować bombę.

Dwaj agenci przemknęli się pod osłoną głazów do tunelu i tylko pechowi należy przypisać, że Dunkels obejrzał się akurat w momencie, kiedy od łożyska pistoletu McCafferty'ego odbił się

promień światła...

Sabrina długo i z namaszczeniem przyglądała się bombie. Detonator tkwił zaklinowany pewnie w skalnej szczelinie, a przewody, zatopione w galaretowatej masie różowego plastyku, mogły się znajdować w delikatnej równowadze, tak by uniemożliwić ich demontaż. Nie miała odwagi ryzykować przypadkowego detonowania materiału wybuchowego, spróbowała więc przetrzeć żółty kabel odchodzący od bomby o ostrą krawędź skały. Pochyliła właśnie głowę nad tym zadaniem, kiedy miękkie włoski za jej lewym uchem połaskotała lufa pistoletu Jaggera i usłyszała polecenie:

– Zostaw ten drut.

Zamarła i kabel wysunął się jej z dłoni. Dubler zerwał jej z pleców pistolet maszynowy i wymownym gestem kazał wracać do środka.

O ścianę, tuż obok niego, roztrzaskała się kolejna seria pocisków i teraz zamarł sam Jagger. Odwrócił się jak pchnięty sprężyną i zobaczył Siegfrieda Dunkelsa, wytaczającego się chwiejnym krokiem z tunelu na most i ściskającego kurczowo dłońmi rozpruty brzuch. Powoli, prawie jak w balecie, złożył się w pół i przewiesił przez barierkę mostu. Próbował się jeszcze wyprostować, ale przeszkodziła mu w tym śmierć; głowa mu opadła i już martwy runął w przepaść.

McCafferty przeskoczył trupa strażnika położonego tą samą serią, która dosięgła Dunkelsa, i stanął wreszcie oko w oko ze swoim drugim wcieleniem – ze sobą! – oddzielony od niego dwudziestoma stopami chybotliwego mostu.

Mac uniósł pistolet maszynowy i w ostatniej chwili powstrzymał ruch palca naciskającego już na spust, dostrzegłszy w przyćmionym świetle drugiej jaskini, że dubler zasłania się żywą tarczą w osobie Sabriny Carver.

– Cofnij się, McCafferty – wrzasnął Jagger – albo już po niej. Ty też,

Cooligan.

Mac machnięciem ręki zawrócił Cooligana i sam się wycofał, ani na moment nie spuszczając dublera z oka. Jagger wyczuł szóstym zmysłem, że nie ma szans i zagrał swoją szaloną kartę. Strach przed Rosjanami, przed Karilianem, przed tym, co mogą mu zrobić, jeśli nie wypełni należycie ich rozkazów, rządził jego życiem do końca. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd detonator.

– Trzy minuty – wycedził i wdusił przycisk mechanizmu zegarowego. – Trzy minuty i wszyscy jesteście martwi.

Pchnął Sabrinę przed sobą w kierunku mostu i zobaczył, jak McCafferty z Cooliganem wycofują się dalej w głąb tunelu. Gdy znalazł się z zakładniczką po drugiej stronie, Sabrina odwróciła się do niego z wściekłością i krzyknęła:

– Nie możesz, nie wolno ci zabić tych ludzi. Nic ci nie zawinili. Co z ciebie za zwierzę, panie Bezimienny?

Dubler stracił panowanie nad sobą i wyrznął ją otwartą dłonią w twarz. Przyjęła cios w policzek i upadła na ziemię, uderzając głową o kamień.

– Nazywam się Cody Jagger, słyszysz? – wrzasnął do leżącego bez zmysłów ciała Sabrinę. – Słyszysz, McCafferty? Jestem Cody Jagger i zamierzam zabić ciebie i wszystkich, którzy tu są!

Odpowiedzią Maka była seria z pistoletu maszynowego, na którą Jagger zareagował odskokiem w mrok zalegający nad mostem, wychodząc z tego bez szwanku. Wywarczał szpetne przekleństwo zorientowawszy się, że detonator wypadł mu z ręki i leży o metr od głowy Sabrinę. Z tarczy mechanizmu zegarowego można było odczytać, że do wybuchu bomby pozostały jeszcze dwie minuty.

Jagger zaczął pełznąć w kierunku detonatora, ale McCafferty widział go teraz wyraźnie.

– Mam cię na muszce, Jagger – krzyknął. – Rzuć broń.

Cody zerwał się z ziemi i oddał następną salwę, nie zdejmując palca ze spustu, dopóki mechanizm iglicowy nie zaszczekał o pustą komorę.

Wskazówka mechanizmu zegarowego przeskoczyła z tyknięciem na następną kreskę podziałki; do wybuchu pozostała minuta.

Jagger odrzucił od siebie bezużyteczną broń i zerwał z pleców pistolet odebrany Sabrinie. Nie zdążył już nacisnąć spustu: McCafferty przestrzelił mu w dwóch miejscach rękę i pistolet potoczył się ze stukotem po moście.

Mac zbliżył się, zerknął na tykające pudełeczko zdalnego detonatora i przeniósł wzrok z powrotem na twarz Jaggera zlizującego krew z dłoni... swoją własną twarz wykrzywioną z nienawiści.

– McCafferty, ty sukinsynu, powinienem cię zatłuc jeszcze w Bahrajnie, tylko Rosjanie chcieli ciebie żywego.

– Rosjanie? – krzyknął Mac. – Pracowałeś dla...

W tej właśnie sekundzie Sabrina jęknęła i poruszyła się a McCafferty na mgnienie oka oderwał oczy od Jaggera, aby poszukać wzrokiem jej twarzy. Jagger jednym susem dopadł do Amerykanina, celując nogą w krocze.

Na elektronicznym zegarze pozostało jeszcze trzydzieści dwie, trzydzieści jeden, trzydzieści sekund.

Mac przyjął kopniaka na udo i odchylił się do tyłu przed ciosem Jaggera, który chwyciwszy zranioną ręką za jego pistolet, próbował pięścią zdrowej rąbnąć go w twarz. Nie zdołał jednak utrzymać pistoletu w przestrzelonej dłoni. Krew lała się z niej strumieniem i palce odmówiły posłuszeństwa. Usiłował osłonić się jedną ręką, ale Mac zwał się już z nim i strzaskał mu kość policzkową kolbą pistoletu.

Głowa odskoczyła Cody'emu do tyłu, wargi zsunęły się

odstaniając zęby, a oczy zaszyły mgłą. Mac rąbnął go kolbą jeszcze raz i Jagger zatoczył się na barierkę. Pękła pod jego ciężarem. Zamierający w dole wrzask dublera urwał się w momencie, gdy jego ciało nadziało się na ostrza skał sterczących z koryta rzeki.

Sabrina krzyknęła, gdy Mac odwrócił się twarzą do niej. Jej umysł usiłował gorączkowo rozszyfrować stojącego przed nią mężczyznę. Kim był? Kto zwyciężył w tej walce? Złapała się rękami za pulsującą bólem głowę, potem próbowała sięgnąć po pistolet.

– To ja, głupia flądrowa – krzyknął McCafferty.

Wypuściła z ręki pistolet i w ciszy, jaka na chwilę zaległa, usłyszeli bezlitosne tykanie zegara. Rzucili się do niego oboje, ale ona miała bliżej.

Gdy wyłączyła detonator i odłączała przewody od baterii, na tarczy zegara pozostały do wybuchu dwie sekundy.

– Nie powiem, żebyś był ostatnim człowiekiem na świecie, którego spodziewałem się zobaczyć, Philpott – oznajmił uprzejmie Smith – ale daję słowo, nie przyszło mi nawet do głowy, że spadniesz nagle z nieba w tak mało dystyngowany sposób.

Smith zdjął but z dłoni Philpotta i kopniakiem posłał pistolet w morze.

– Wstawaj – zakomenderował. Philpott próbował to uczynić, ale upadł z powrotem na piasek, krzywiąc się z bólu.

– Chyba coś sobie zrobiłem w stopę – jęknął przeproszająco.

– Nic ci nie jest – powiedział Smith. – Podróż też musiałeś mieć dosyć niewygodną. Podejrzewam, że jechałeś na dachu autobusu.

– Coś w tym rodzaju – przyznał Philpott.

Smithowi zabłyśły oczy i uśmiechnął się.

– A więc jesteś sam. Jak to dobrze... oczywiście dla mnie. Jeśli potrafisz sadowić się wygodnie na piasku, to radziłbym ci skorzystać z tej umiejętności. Nie będziesz musiał długo czekać, a ja, ze swej

strony, mogę ci obiecać, że to, co zobaczysz, pochłonie cię bez reszty.

Philpott jęknął i legł na wznak łapiąc się rękami za głowę.

– Co robiłeś – spytał – kiedy tak obcesowo na ciebie wpadłem?

Smith położył palec na ustach.

– Cierpliwości – powiedział – a wszystko się wyjaśni.

– Wyjął z kieszeni kurtki małe, płaskie, metalowe pudełeczko.

Philpott wzdygnął się z przerażenia.

– Nie, Smith – jęknął błagalnie – na miłość boską, nie rób tego. To niewinni ludzie. Dostaniesz okup. Nie zasłużyli na śmierć.

Smith uśmiechnął się, zonglując zręcznie pudełeczkiem.

– Tak jak myślałem – mruknął pod nosem – wiesz o wiele za dużo, by wyszło ci to na dobre. Ale w tym przypadku, Philpott, jesteś w błędzie. To pudełko – tu wskazał na przedmiot trzymany w ręku – nie jest detonatorem materiału wybuchowego założonego w jaskini.

Wyciągnął z tej samej kieszeni drugie, na oko identyczne pudełeczko.

– To jest detonator.

Philpott gapił się na niego zdumiony.

– Dwa detonatory do tego samego? A raczej trzy?

– Trzy? – powtórzył za nim Smith. – O czym ty mówisz?

Teraz przyszła kolej na chytry uśmieszek Philpotta.

– A więc jest coś, o czym nie wiesz, panie Smith. Twój pieszczonek sobowtór ma zupełnie takie samo – powiedział pokazując na detonator bomby.

Smith sprawiał wrażenie przestraszonego i poruszonego.

– Jak dobrze, żeś to odkrył, panie Philpott – mruknął.

– A więc nasz pułkownik McCafferty – którego właściwe nazwisko, nawiasem mówiąc, brzmi Cody Jagger – też ma swoje plany względem zakładników?

Milczał przez jakąś minutę, potem zwrócił puste, szare oczy na

szefa UNACO.

– Ewentualność zlikwidowania zakładników rozważałbym tylko w przypadku skrajnego zagrożenia, Philpott. Sądzę, że wiesz o tym. Z drugiej strony Jagger... Jagger to istna bestia. Wychodzi na to, że nie wolno mi tracić więcej czasu.

Wrzucił detonator czasowy z powrotem do kieszeni i nacisnął przycisk drugiego urządzenia.

– Patrz! – rozkazał wskazując dramatycznym gestem na morze.

Philpott pobiegł wzrokiem za jego ręką. Z Saucer Island uniosła się w pożodze ognistych iskier rakiet, wlokąc za sobą w nocne niebo warkocz komety.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Brygadier Tomlin podszedł sztywno do trójnoga ustawionego w reflektorni latarni morskiej i po raz setny wtłoczył oczodoły w okular teleskopu.

– To zaczyna być niepoważne – warknął. – Normalnie nic się nie dzieje.

– Dopiero niecała godzina po wyznaczonym terminie – zaznaczyła rozsądnie Sonia Kolchinsky – a Smith nie gwarantował, że wejdzie do akcji punktualnie. Tak czy inaczej, całym tym sprzętem, jaki tu zgromadziliśmy, możemy go jedynie przepłoszyć. Nie wie przecież, że jesteśmy tu tylko po to, żeby popatrzeć.

Tomlin wyprostował się.

– Ułatwianie życia łobuzom w rodzaju Smitha – zwrócił się do niej opryskliwie – nie należy do moich obowiązków, pszepani.

Miała już sformułować odpowiednio ciętą odpowiedź, kiedy latarnik zwrócił ich uwagę na raketę, której startu z wyspy, zbyt pochłonięci przewiercaniem się nawzajem wzrokiem, oboje nie zauważyli.

– A niech to jasna cholera! – ryknął Tomlin. – A więc tak to sobie wykombinował.

Porwał ze stołu krótkofalówkę i rzucił do mikrofonu:

– Wszystkie jednostki, powtarzam, wszystkie jednostki. Śledzić tę raketę. Nie stracić jej z oczu. Uważać, gdzie spadnie i zabezpieczyć. Naprzód!

Smith obserwujący widowisko przez potężną lornetkę zachichotał na widok odpływających w gorączkowym pośpiechu stateczków patrolowych.

– Wojsko, jakże to łatwe do przewidzenia – mruknął. – Zgodzisz się ze mną, panie Philpott?

– Jak rozumiem, ten mały pokaz ogni sztucznych nie ma nic wspólnego z przejęciem okupu – zauważył Philpott.

Smith pokiwał głową i zatuttuttał.

– I tu się mylisz, mój drogi kolego. Prawda, ma on poniekąd służyć odwróceniu uwagi, ale przede wszystkim odgrywa ważną, powiedziałbym, krytyczną rolę w moim planie przechwycenia diamentów.

Sonia Kolchinsky też nie straciła głowy.

– Płyniemy na wyspę, brygadierze – oświadczyła stanowczo.

– Nie, nie płyniemy, panno Kolchinsky – odparł równie stanowczo Tomlin.

– Posłał pan za tą rzymską świecą więcej jednostek, niż to potrzebne – zachnęła się Sonia. – Bierzemy kuter dowodzenia – zdaje się, że nazywa go pan statkiem flagowym – i płyniemy na wyspę.

– No i po co, modlić się?

– Głównie po to, że ja tak chcę. Nie muszę panu chyba przypominać, brygadierze, że pozostaje pan pod rozkazami UNACO. Za nic nie uwierzę, że ta rakietka została w jakiś magiczny sposób tak nakierowana, żeby zabrać po drodze nasz worek z diamentami i przetransportować go do aktualnej meliny Smitha. Zbadamy sprawę na miejscu.

Tomlin wydał teatralne westchnienie.

– Jak pani sobie życzy, pszepani – mruknął niechętnie.

Gdy kuter zwolnił, by zatrzymać się przy wysepce pod szubienicą, Tomlin pokazał na miejsce, gdzie przedtem sterczał słup i wykrzyknął:

– O! A nie mówiłem? Nie ma go!

Sonia zmarszczyła czoło, potem zerknęła w wodę, na powierzchni

której igrały światła potężnych reflektorów kutra.

– Nieprawda, brygadierze – krzyknęła – on wciąż tu jest.

Zanim Tomlin zdążył jej w tym przeszkodzić, wspięła się na dziób kutra i zeskoczyła na wyspę.

– Tam są miny! – wrzasnął za nią Tomlin. – Niech pani uważa, na miłość boską!

Sonia odwróciła się i pomachała mu ręką.

– Niech pan się nie wygłupia, przecież to jasne, że tu nie ma żadnych min – odkrzyknęła. Wybiegła truchtem na środek skalnej płyty i znalazła rurę wyrzutni, z której wystrzelona została rakietka. W połowie drogi do otworu leżał odcinek osmalonego kabla. Obejrzała go sobie z zainteresowaniem. Potem wróciła na skraj wysepki i poszukała słupa, który, jak przed chwilą powiedziała Tomlinowi, faktycznie wciąż się tam znajdował, tylko że teraz spoczywał w pozycji horyzontalnej, równoległe do powierzchni morza, a skierowana ku dołowi poprzeczka zanurzona była w wodzie.

Tomlin poszedł za jej wzrokiem.

– Na Jowisza – wymamrotał z niedowierzaniem – torba też tam jeszcze jest. Mam ją wyłowić, pszepani?

– Bardzo proszę, brygadierze – odparła Sonia.

Ale gdy tylko jeden z marynarzy wychylił się z bosakiem przez burłę, żeby wyciągnąć z wody skórzany worek, jakiś ciemny, widmowy kształt rozciął powierzchnię morza za rufą kutra. Jego nos przeszył sześciocalowy, metalowy pierścień, który zgodnie z żądaniem Smitha przymocowano do obejmki zamykającej worek od góry, i ciemny cień odpłynął, a wraz z nim pięćdziesiąt milionów dolarów w szlifowanych diamentach.

Oczy wyszły niemal Tomlinowi z orbit.

– Co... co to, do stu tysięcy sparszywiałych piorunów, było? – wykrztusił.

Prawie jak we śnie, i na wpiół do siebie, Sonia Kolchinsky mrukneła:

– Boże Wszchemogący, czy musiaeś je oddać Smithowi?

– Co to było? – nie ustępował Tomlin, a jego ciemnobrązowa twarz przybrała w jaskrawym świetle reflektorów barwę purpury.

Sonia wzięła się w garść.

– Co to było, brygadierze? Oczywiście, że delfin. A pan co, u licha, myślał... że łódź podwodna?

McCafferty obmacał guza na głowie Sabriny i zawyrokował bezdusznie:

– Wydaje mi się, że będziesz żyła.

– Fajnie, dzięki – odparła. – A więc możemy ruszać?

McCafferty skłonił się, podprowadził ją do helikoptera „Kamow” i zaprosił do zajęcia ciasnego miejsca w kabinie.

– Karetka czeka, milady – zażartował.

Zebrali wszystkich zakładników i odesłali ich pod eskortą Cooligana na pas startowy Kosgo, zlokalizowany na ich prośbę przez jugosłowiańskie lotnictwo wojskowe. Mac wysunął sugestię, by członkowie załogi Air Force One odszukali swój samolot i przygotowali go do startu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze i Smith albo zostanie pojmany, albo przynajmniej przeszkodzi się mu w przejściu diamentów, grupa Philpotta dołączy do nich później i razem udadzą się do Genewy.

– Tak czy owak, Bert, dopilnuję, żebyś był na bieżąco informowany o sytuacji – obiecał Cooliganowi i mały konwój opuścił parking przed jaskinią zakładników, by zjechać na dno doliny.

– Dokąd, kapitanie? – zapytała Sabrina, gdy wystartowali.

– Na wybrzeże – odparł zwięźle McCafferty. – Tam ma się odbyć przejście okupu. – Wzbili się z warkotem w rozgwieżdżone niebo i

Mac położył kamowa w ciasny skręt, by zawrócić i skierować go nosem prosto na Adriatyk...

– Że co? – powtórzył omdlewającym głosem Philpott.

– Delfin – powiedział Smith. – To właśnie robiłem, pociągając przed chwilą za linę. Spowodowało to otwarcie jednej ze ścian klatki delfina i jednocześnie stanowiło dla niego sygnał do wypłynięcia. Musiał płynąć zaledwie trzy do czterech minut, kierując się na ultradźwiękowy nadajnik kierunkowy wbudowany w słup tego, co nazwaliście szubienicą, a czego wasza liczna armada nie kwapiła się zbadać w obawie, że on sam, albo nawet cała wyspa, są zaminowane.

– A to, oczywiście, nie miało miejsca – uzupełniał sucho Philpott.

– A to, oczywiście, nie miało miejsca – przytaknął Smith. Wyjaśnił następnie ze szczegółami, jak doszło do zakupienia samicy delfina i jak trenowano ją w delfinariu w Ameryce, dopóki nie nauczyła się chwycić kółek na nos z zawiązanymi oczami.

– Zadaniem rakiety było uruchomienie urządzenia połączonego z kablem, które wyrwało hak mocujący linę odciągową słupa i nachyliło szubienicę do poziomu morza – dodał Smith.

Philpott wysłuchał go w milczeniu, po czym wciągnął w płuca pokazny haust powietrza i wypuścił go w sfrustrowanym westchnieniu.

– Przyznaję to z przykrością, panie Smith – powiedział – ale, jeśli pominąć rzeczywiste cele i metody ich osiągnięcia, to nie można nie podziwiać twojego stylu.

– No cóż, dziękuję Philpott – rozpromienił się Smith i skłonił kpiąco dyrektorowi UNACO. Spojrzał znowu na morze, kiedy Philpott zauważył:

– Twoja utalentowana ssacza dama wróciła do swojego tatusia. – Powierzchnia morza ponownie zawrzała jeszcze wścieklej musującym rzędem bąbelków.

Smith znowu podniósł z ziemi linę i wszedł na jakieś dziesięć metrów w morze. Pociągnął za linę i klatka z delfinem zaczęła się stopniowo wynurzać z fal.

– Dobra robota, mój aniołku! – huknął z aprobatą, poklepując delfina po pysku i jednym płynnym gestem ściągając z niego torbę z okupem. – Może już nigdy ciebie nie zobaczę, ale wierz mi, zaskarbiłaś sobie moją dozgonną wdzięczność.

Odwrócił się i pobrnął przez wodę w kierunku brzegu, z irchowym workiem na ramieniu.

– Zostawię cię teraz, Philpott – oznajmił – ale niech mi będzie wolno dodać jedno słowo ostrzeżenia: gdyby przyszło ci do głowy, że zdołasz mi jeszcze przeszkodzić w ucieczce, to pamiętaj, iż w moim posiadaniu znajduje się nadal to drugie elektroniczne urządzenie. To.

Wyciągnął z kieszeni kurtki metalowe pudełeczko i Philpott nie miał żadnych wątpliwości, że jest to detonator bomby, która może pozbawić życia arabskich i amerykańskich zakładników... pod warunkiem, oczywiście, że nie zamordował ich już Jagger.

Nie odzywając się Philpott patrzył pochmurnie za odbijającą od plaży dingi. Zarył obie dłonie głęboko w piach, nabrał pełne garście podeszłego wodą żwiru i cisnął nim za Smithem, jak gdyby poprzez okazanie swego zdecydowanie złego humoru był w stanie go zatrzymać.

Kamow przemknął nad linią brzegową i znalazł się nad naszyjnikami małych wysepek. Widzieli z góry krzątanicę na pokładach trzech kutrów marynarki wojennej, uganiających się gorączkowo w poszukiwaniu śladów dawno zdechłej rakiety, i dostrzegli Sonię spierającą się z wysokim, czerwonym na twarzy żołnierzem – chyba Anglikiem, pomyślała Sabrina – na jeszcze jednej łodzi kołyszącej się na fali w pobliżu wyspy, która nie była niczym więcej, jak skalną platformą.

– Być może Smith już się ulotnił – powiedziała Sabrina przekrzykując huk silnika helikoptera.

McCafferty skinął głową i dźgając w dół palcem wskazał na małą wysepkę.

– Może byśmy tak wylądowali i spróbowali się dowiedzieć, co jest grane? – krzyknął przekładając jednocześnie swoje słowa na język migowy na wypadek, gdyby go nie dosłyszała.

– A jak ty myślisz? – wrzasnęła Sabrina przekrzykując ryk silnika. Mac zastanawiał się przez chwilę, potem potrząsnął głową. Zdecydował, że powinni wracać do Philpotta.

– Mógł wpaść na jakiś trop.

Opadli tak nisko, że niemal ocierali się o fale i po dotarciu do linii brzegowej McCafferty przystąpił do beznadziejnego patrolu, przelatując kamowem nad każdą rokującą jakieś nadzieje zatoczką, każdym przesmykiem i każdą wydumą.

Kilka takich przelotów nic nie dało, dopóki Sabrina nie dostrzegła ogniska sygnalizacyjnego.

Mac wydał tryumfalny okrzyk i wszedł w ciasny skręt.

– To on! – krzyknęła Sabrina, gdy pędzili z rykiem silnika nad plażą. – Wciąż dorzuca drew do ogniska, a obok leży kanister na benzynę. Musiał go zostawić Smith.

McCafferty naprowadził kamowa nad sprawiający najkorzystniejsze wrażenie spłachetek ubitego piasku w małej zatoczce i posadził helikopter w niewielkiej odległości od ogniska Philpotta. Wyskoczyli z Sabrina z kabiny i szybko się przekonali, że szef UNACO cierpi na skutek urażonej godności własnej i paskudnego skręcenia stopy w kostce. Sabrina ukoła jego zgryzoty podsumowaniem najświeższych wydarzeń i zimnym kompresem.

Kiedy Sabrina doszła do opisu zabicia Jaggera i zneutralizowania bomby, Philpott, wspierając się na McCaffertym, podźwignął się z

wysiłkiem na równe nogi. Zaklął soczyście i tracąc równowagę, o mało się nie przewrócił. Sabrina rzuciła się mu na pomoc, ale Mac zdołał utrzymać szefa w pozycji stojącej.

– No i na co tu jeszcze czekacie? – zapytał podniecony Philpott. – Gońcie Smitha! Jediną rzeczą, która powstrzymywała mnie przed ruszeniem za nim w pogoń osobiście, był ten cholerny zdalny detonator, no i ta przeklęta kostka. Nie mogłem, naturalnie, pozwolić sobie na ryzyko wystawiania na szwank waszego życia i zdrowia, chociaż widząc, że uciekłaś, domyśliłem się, że Mac zdołał jednak wyciągnąć coś z kapelusza. Ale teraz nie możemy sobie pozwolić na utratę choćby sekundy. Jest tam, w morzu, na tej cholernej dingi. Nie wiem, dokąd się kieruje, ale według mnie płynie na spotkanie z większą łodzią albo zamierza przybić z łupem do brzegu gdzieś dalej. Może tam mieć zamelinowany jakiś pojazd. Tak czy inaczej, przyjmujemy tę wersję. Za nim, do cholery! Sam potrafię o siebie zadbać.

Obiecawszy Philpottowi powiadomić Sonię przez radio o miejscu jego pobytu, McCafferty z Sabrina wskoczyli z powrotem do kabiny helikoptera. Niecałe dwadzieścia mil dalej Mac dostrzegł dingi Avon okrążającą wyspę Pat, by wpłynąć w Kanał Welibitski, zdradliwy pas wód przybrzeżnych najeżony wystającymi z wody skałami i innymi pułapkami na nieostrożnych żeglarzy.

Mac znowu położył helikopter w skręt i dał Sabrinie znak, żeby naładowała oba karabiny.

– Wykurz tego sukinsyna kulami z morza – wydarł się najgłośniej, jak mógł. – O okup później się będziemy martwić.

Jeszcze pięćset metrów dzieliło Smitha od linii brzegowej. Jedną ręką trzymał koło sterowe dingi, drugą położył swobodnie na worku z okupem. Na jego ustach błąkał się szczęśliwy, niemal obłąkany uśmiech, rozbryzgi wody smagały go po twarzy, a wiatr rozwiewał

włosy; ale Smith zaniechał już środków ostrożności. Wygrał, w co nie wątpił od samego początku! Był naprawdę niepokonany, nieuchwytny. Nikt nie był w stanie stawić mu czoła – nawet wielki Malcolm Philpott wspierany wszystkimi środkami UNACO!

– Zamierzam go zmusić do przybicia do brzegu albo wpakować na skały – krzyknął McCafferty. – Jak tylko podejść dostatecznie blisko, otwórz ogień. Rozwal go, jeśli zdołasz, ale przede wszystkim masz mu napędzić porządnego stracha.

Sabrina dygotała sprawdzając karabiny. Przypomniało jej się inne polowanie z helikoptera, kiedy sama była ofiarą. Nie wierzyła, by kiedykolwiek udało jej się wyrzucić z pamięci przerażenie i rozpacz, jakie odczuwała ścigana przez tego ogromnego, szybkiego ptaka, zwinniejszego i bardziej bezwzględniejszego od jakiegokolwiek ze skrzydlatych drapieżników stworzonych przez naturę. Niemal żał jej było Smitha; ale kiedy naprowadziła na niego celownik i opróżniła pół magazynka pocisków smugowych w zygzakującą łódeczkę, odżyła w niej nienawiść do tego człowieka i znowu stała się zimnym, wyrachowanym agentem do zadań specjalnych.

Gdy pierwsze pociski zaczęły wzbijać piętrzącą się po obu burtach dingi pianę, idiotyczny uśmiezek spełził z ust Smitha. Obejrzał się przez ramię i zobaczył kamowa. Z początku pomyślał, że to pewnie Dunkels i że tylko mu się wydawało, że ktoś do niego strzela, ale wtedy Sabrina ponownie otworzyła ogień i w świetle helikopterowego reflektora wypatrzył jej twarz, z grzywą kasztanowych włosów opadających na ramiona.

McCafferty zanurkował na dingi, przymknął gaz i przeleciał Smithowi tuż nad głową, przewracając Sabrinie cel. Smith otworzył przepustnicę i zmienił kurs. Helikopter przechylił się w skręcie i runął do następnego przelotu o włos nad ofiarą. Tym razem Smith zmuszony został do ostrego skręcenia steru w prawo i skierowania

łódki ku brzegowi. McCafferty dzikim okrzykiem obwieścił światu swój tryumf i wsiadł Smithowi na ogon.

– Wal w niego, dopóki płynie prosto – wrzasnął do Sabriny. Wzięła na cel skuloną postać, ale jakiś instynkt zjeżył krótkie włoski na karku Smitha i gdy Sabrina naciskała spust, on już markował zwrot w lewo i kładł łódkę w rozpaczliwy skręt w prawo.

Helikopter znowu rozminął się z dingi i Smith, korzystając z okazji, wrócił na kurs równoległy do wybrzeża. Mac po raz trzeci zawrócił kamowa i przemknął przed dziobem łodzi Smitha, wzbijając podmuchem wirnika fontanny i rozbryzgi wody. Smith zacisnął powieki, jeszcze bardziej wtłoczył głowę w ramiona, przeciągnął rękawem kurtki po twarzy i trzymał się twardo obranego kierunku, to przyśpieszając, to zwalniając, zygzakując i stosując uniki, sterując dingi po mistrzowsku, byle tylko pozbyć się tego przekłętego helikoptera, albo zmusić McCafferty'ego do fatalnego błędu.

Sabrina pokazała Makowi na migi, żeby zawisł nad łódką zrównując się z nią szybkością, bo wtedy Smith stanowiłby dla niej dobry, nieruchomy cel. Mac posłusznie zajął pozycję stacjonarną i Sabrina zasypała burtę dingi gradem pocisków, ale Smith, który dał nura na dno łodzi i sterował na ślepo, wstał stamtąd po chwili nawet nie draśnięty.

Mac utrzymywał dalej pozycję eskortową, której domagała się Sabrina, i natychmiast tego pożałował, bo Smith, przytrzymując koło sterowe jedną ręką i ściskając skórzaną torbę między kolanami, otworzył z biodra ogień z pistoletu automatycznego. McCafferty zdławił przepustnicę i zostając z tyłu, odbił z rykiem silnika w bok, słysząc wizg rykoszetów o podbrzusze helikoptera.

– Teraz go rozsierzdiłaś, mój kociaczu – powiedział do Sabriny, która odkrzyknęła:

– No i co!?

– Zostaw to mnie – zdecydował podnosząc głos do granic swoich możliwości. – Mam pewien pomysł, który nie może spalić na panewce. Kiedy ci powiem, otwórz znowu ogień.

Zaszedł kamowem dingi od prawej burty, potem dodał gazu i położył maszynę w ciasny skręt w otwarte morze, wrzeszcząc:

– Teraz!

Sabrina nacisnęła spust karabinu maszynowego i nie popuściła, dopóki broń nie zabełkotała samym rozgrzanym powietrzem.

Smith, zdezorientowany, skręcił gwałtownie kołem sterowym i wszedł ostrym wirażem na kurs ku brzegowi. Odgryzł się strzałem przez ramię, ale nie wymierzył dobrze i McCafferty, nie zmuszony do ratowania się pośpiesznym unikiem, zdołał zbliżyć się do dingi na tyle, że leciał teraz praktycznie nad nią, węzeł w węzeł z szybkością rozwijaną przez Smitha.

Ten, chociaż starał się, jak mógł, nie potrafił odskoczyć od kamowa, a Mac opuszczał maszynę coraz niżej, aż w końcu unosił się zaledwie kilka stóp nad głową Smitha. Opadał cal po calu dalej, a ciąg zstępujący od wirujących łopatek helikoptera przybierał stopniowo na gwałtowności.

Kaskady wody zaczęły bombardować łódź, nękając i oślepiając jej sternika. Nie mógł już użyć pistoletu, bo nie widział celu. Nie mógł już sterować dingi, bo nie widział, dokąd płynie.

Dzierżył kurczowo koło sterowe i kręcił nim to w tę, to w tamtą i za każdym razem, kiedy zszedł z kursu, w jakiś niewytłumaczalny sposób wracał nań z powrotem. Był doświadczonym żeglarzem, ale to było gorsze od najpotężniejszego tajfunu, jaki kiedykolwiek przeżył. Smith wyrzaskiwał swą furię falom i wichrowi – i przez cały czas, choć o tym nie wiedział, zbliżał się coraz bardziej do skalistego brzegu.

McCafferty spojrział przed siebie, z trudem przebijając wzrokiem

wodną mgiełkę, i zobaczył linię brzegową mającą w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów. Niewzruszenie utrzymywał na posterunku kamowa, podskakującego jak korek na własnym ciągu zstępującym odreagowującym od powierzchni morza. Wyrwał w górę i w bok w ostatnim możliwym momencie i wtedy Smith przejrzał – ale było już za późno. Skręcił rozpaczliwie koło sterowe, by uniknąć zderzenia ze skałą i zamiast tego wpadł na drewniany bal unoszący się na wodzie w odległości kilku stóp od brzegu.

Rozmiękle, przegniłe drewno zadziało jak pochylnia wyrzutni raketowej i dingi Smitha wzbiła się w powietrze. Obróciła się w locie jak strzała i zaryła w plaży. Smith wyleciał przez przednią szybę jak z katapulty i spadł na mokry piasek niczym szmaciana lalka. Przed oczyma trysnęły mu fajerwerki sztucznych ogni i z ulgą przyjął koniec tej tortury. McCafferty rozrzucił szeroko ręce i Sabrina zrozumiała jego przesłanie: na plaży Smitha nie ma miejsca na wylądowanie helikopterem. Dźgającym ruchem palca wskazała postać rozciągniętą na piasku i Mac pokiwał energicznie głową. Sabrina sprawdziła, czy ma pełny magazynek w pistolecie maszynowym, przewiesiła go sobie przez ramię i wygramoliła się z kabiny kamowa. Natrafiła stopami na płozy, zeskoczyła lekko na ziemię i wesołym machnięciem ręki odprawiła Maka na poszukiwanie innego miejsca na lądowanie.

Pochyliła się nad ciałem Smitha: zaczynał już przychodzić do siebie. Sabrina podniosła z ziemi worek z okupem i podłożyła mu go przekornie pod głowę w charakterze poduszki. Potem obejrzała roztrzaskaną dingi Avon, odnalazła pistolet Smitha, rozładowała go i odrzuciła od siebie magazynek. Latarnia, którą ze sobą zabrał, nadal działała, postawiła ją więc na kamieniu i włączyła.

Smith otworzył oczy i ujrzał jej bladą twarz obramowaną nieruchomą teraz aureolą włosów podświetlonych poświatą księżyca

w pełni i światłem rzucanym przez czerwoną, metalową lampę. Jego wzrok padł na pistolet, z którego doń mierzyła. Klęczała jakieś cztery stopy od niego, i kiedy podźwignął się z ziemi i wsparł na łokciach, odprężyła się i przysiadła na piętach.

– Gra skończona, panie Smith – oznajmiła lakonicznie. – Szkoda. Na swój zwariowany, perwersyjny sposób, jest pan facetem całkiem do rzeczy.

Jego głowa kiwała się na boki jak łeb kobry, kiedy rozglądał się po plaży za torbą z diamentami. Sabrina uśmiechnęła się.

– A może nie jest pan wcale taki sprytny, co? – zauważyła.

– Co z nimi zrobiłaś? – spytał Smith. – Odwiozłaś je Philpottowi? Nigdy w to nie uwierzę, Sabrino... każdy, tylko nie ty. Twoje ciało podkreślone diamentami wyglądałoby tak... rozkosznie.

Sabrina wybuchnęła ironicznym chichotem.

– Proszę pana – powiedziała – ukradłam więcej diamentów, niż pan zjadł potrawek z homara. Co takiego specjalnego akurat w tych?

– Są moje – odparł Smith – prawem podjęcia wyzwania, zaplanowania, znakomitej realizacji. Są moje i pragnę ich... ale podzielę się nimi z tobą. Pół na pół?

Potrząsnęła głową.

– Nie byłoby w tym żadnej przyjemności – mruknęła pod nosem.
– Zdobywałam ostrogi kradnąc diamenty, a nie przyjmując je w prezencie. Poza tym, gdzie bym je upłynniła? Nie mam takich kontaktów jak pan, a szef byłby bardzo niezadowolony.

Smith usiadł na piasku, otrząsając się z ostatnich skutków swojej golgoty.

– No to chodź ze mną – zaproponował. – Nie muszę cię chyba przekonywać, że stworzylibyśmy wspaniały zespół. Podzielę się z tobą wszystkim, Sabrino... tak wiele posiadam. Wielkie domy, châteaux, ranczo, wyspę w Mikronezji...

– Tylko jedną?

Smith uśmiechnął się.

– Wiem, że teraz szydzisz sobie ze mnie, ale spróbuj tylko użyć tego swojego bystrego mózgu i pomyśl. Jesteś wciąż młoda i uderzająco piękna. Chcesz trwonić majątek uciekając przed policją kilkunastu krajów albo ryzykować życiem gwoli satysfakcji Malcolma Philpotta? Wiesz, dziwna z ciebie dziewczyna; bardzo dziwna. Z jednej strony swojej egzystencji jesteś całkiem przyzwoicie amoralna i podziwiam cię głęboko za twoje wybitne dokonania we wcieleniu złodziejki diamentów. A przy tym masz w sobie tę groteskową, purytańską skazę, która wyraźnie sprawia, że dążysz do zabierania innym ludziom przyjemności, jaką sama czerpiesz z przestępczej działalności. To niezrozumiała dla mnie mieszanka; i wcale nie jestem pewien, czy potrafiłbym do niej łatwo przywyknąć.

– I dlatego właśnie – odparła wesoło Sabrina – powiedziałam panu, że to się nam nigdy nie uda. A poza tym, co ja właściwie o panu wiem, panie Smith? Co wie o panu ktokolwiek – choćby pan sam? Kim pan jest, skąd pochodzi, jak naprawdę wygląda? Och tak, znam twarz, którą teraz pan nosi, ale jest to twarz inna od tej, jaką miał pan, kiedy ostatnio się spotkaliśmy. Nie sądzę – a mówię to po chwili zastanowienia – abym kiedykolwiek potrafiła „przywyknąć”, jak pan to ujął, do kogoś tak beznadziejnie anonimowego, jak pan, panie Smith. Może pan sobie być królem zbrodni, ale nie jest pan osobą w powszechnym rozumieniu tego słowa. Jest pan czymś w rodzaju... kalejdoskopu. Kolorowe wzorki nudzą mnie, chłopcze. Lubię zimne, roziskrzane ognie – w wielkich ilościach.

Smith mierzył ją wzrokiem, uśmiechając się sardonicznie.

– Szkoda. Ale powiedz mi w końcu, co zrobiłaś z workiem, w którym znajdował się okup?

Pokazała palcem na miejsce za jego plecami.

– Metalowy pierścień, którego zamocowania do torby tak stanowczo pan się od nas domagał, spoczywa w tej chwili w odległości mniej więcej półtora cala od grzbietu pańskiej prawej dłoni.

Smith spuścił momentalnie wzrok.

– Zachwycające, mój kociaczk. Jesteś prawdziwie kapryśna. Podoba mi się to.

Skinęła na niego lufą pistoletu.

– Tylko na tyle się do nich zbliżysz, serdeńko. Jak tylko zjawi się tu McCafferty, wrócisz pod celę, a kamyki, przykro mi to mówić, do Amsterdamskiej Giełdy Diamentów. Prawdę mówiąc, to słyszę już silnik Maka.

Smith przekrzywił głowę nadstawiając ucha i zauważył, że Sabrina ma prawdopodobnie rację. Potem trysnął bezcelową paplaniną, wypytując ją o sprawy nie związane z tematem, wychwalając ją, wychwalając Philpotta, McCafferty'ego, UNACO, restaurację hotelu Savoy... i kiedy podejrzenie, że usiłuje w ten sposób odwrócić jej uwagę, stwardniało już do pewności, do brzegu przybiła jakaś łódź i za Sabrina stanął mężczyzna w czarnym, przemoczonej garniturze, z wielką latarką w jednym ręku i z pistoletem w drugim.

– Ty – odezwał się mężczyzna w gardłowym angielskim – ty, dziewczyna. Ty. Wstać.

Sabrina wyprostowała plecy i obróciła się na kolanach, by spojrzeć w lufę pistoletu jego i jeszcze siedmiu innych. Milczący krąg dobrze ubranych i anonimowych ludzi dawał aż za dobrze do zrozumienia, że jeśli stawi im opór, zginie.

Podniosła się z ociąganiem z ziemi i cisnęła swój pistolet maszynowy w krzaki.

– Dobrze – powiedział mężczyzna i zwrócił się do Smitha: – Ty... do łodzi.

– Mój przyjacielu – rozczulił się Smith – nie wiem kim jesteście, ale zjawiliście się we właściwym momencie. Chcę wam...

Zatoczył się w tył, zdzielony pięścią w usta przez przywódcę. Krew pociekła mu z rozciętej wargi, wybałuszył oczy, w których pojawił się strach.

– Do łodzi. Nie czas na rozmowy.

Smith trochę ochłonął.

– Oczywiście, oczywiście – przystał łagodnie. – W pełni rozumiem, o co wam chodzi. – Skłonił się tryumfalnie Sabine. – No, moja słodka – zaszcebiotał – wychodzi na to, że mimo wszystko to wy przegraliście, a ja wygrałem. Wielka szkoda, że nie przyjęłaś mojej propozycji. Była, ma się rozumieć, niepowtarzalna.

– Do końca życia sobie tego nie daruję – powiedziała oschle Sabrina, chociaż w środku gotowała się z wściekłości i frustracji. Jak mogła być taka tępa i pomylić warkot motorówki z hukiem helikoptera McCafferty'ego? A nawiasem mówiąc, gdzie, u diabła, przepadł Mac?

Smith zgiął się w ukłonie, potem jego oczy znowu błysnęły, kiedy dwóch ludzi schwyciło go pod ręce i powlokło do łodzi: Protestował głośno, ale podnieśli go w górę razem z workiem z okupem, który wciąż ścisnął kurczowo w rękę, i przerzucili bez ceregieli przez burtę.

Silnik łodzi zaskoczył, morze zakotłowało się za jej rufą i zerwał się wiatr, a poprzez cały ten rwetes do uszu Sabriny dolatywał to pokrzykujący, to błagalny, to znów rozkazujący głos Smitha.

Gdy łódź ze swym pasażerem i milczącą załogą odbiła od brzegu, wyleciał z niej czarny obiekt, który zatoczył w powietrzu pełen gracji łuk i wylądował u jej stóp.

Podniosła go za metalowy pierścień i otworzyła irchową torbę.

Przed oczyma dziewczyny iskrzyło się ciepło pięćdziesiąt milionów dolarów w szlifowanych diamentach.

Philpott zmajstrował sobie prowizoryczną kulę i dorzucał teraz skwapliwie do ogniska bardziej, z uwagi na komfort, jaki zapewniało wobec chłodnego nocnego powietrza, niż mając na względzie poprawienie jego parametrów ognia sygnalizującego. Zajęcie to pochłaniało Philpotta bez reszty, ale jego czujne uszy wychwyciły ciche kroki za plecami. Zmysły mu się wyostrzyły i rozejrzał się za pistoletem, który zostawił mu McCafferty. Leżał przy ognisku, gdzie sam go zostawił, używszy przedtem w charakterze pogrzebacza.

– Broń nie będzie panu potrzebna, panie Philpott – rozległ się cichy, złowieszczy głos Myszkina. – Przykro mi widzieć, że jest pan ranny. Żywię nadzieję, że to nic poważnego.

Philpott odwrócił się, by powitać swego gościa; za jego głową tańczyły wesoło płomienie.

– Nic poważniejszego, generale – odparł. – Czemu zawdzięczam przyjemność cieszenia się pańskim towarzystwem?

Wargi Myszkina zacisnęły się w uśmiech.

– Jedynie temu, że zapragnąłem złożyć panu moje gratulacje, panie Philpott. Wygrał pan co najmniej połowę swojej bitwy.

– Wygrałem? O czym pan mówi? – spytał Philpott.

Usta Myszkina rozluźniły się już.

– Wkrótce dowie się pan wszystkiego. Jestem tego pewien. Na razie wystarczy powiedzieć, że w posiadaniu pańskiej czarującej agentki, panny Carver, znajdują się pieniądze z okupu. W stanie nienaruszonym. Bez żadnych potrąceń na poczet kosztów.

Philpott gapił się na niego z rozdziawionymi ustami.

– A Smith?

Myszkin wzruszył ramionami i rozłożył przepaszająco ręce.

– Przykro mi, ale to jest właśnie ta połowa pańskiej bitwy, którą pan przegrał. Pan Smith został, nazwijmy to, usunięty na jakiś czas ze sceny. Gdyby pojmały go pańskie siły, wsadziłyby go pan z

powrotem do więzienia, a to, mój drogi Philpocie, równałoby się karygodnemu marnowaniu nadzwyczajnego kryminalnego umysłu.

Philpott zdobył się na cyniczny chichot.

– Chce pan przez to powiedzieć, że on znajduje się w waszych rękach, generale, i oczywiście chcecie sobie zapewnić jego milczenie w kwestii waszej niejasnej roli w całej tej aferze.

Myszkin ponownie wzruszył ramionami i zauważył, że Smith nie wychylił się prawdopodobnie przez dłuższy czas.

– Potem... kto wie?

– No właśnie, kto? – wpadł mu w słowo Philpott. – I proszę mi powiedzieć, kiedy zdarzyły się wszystkie te cuda, Myszkin?

Człowiek KGB spojrzawszy w skupieniu na zegarek i powiedział:

– Sądzę, że przekona się pan wkrótce o rzetelności moich informacji, panie Philpott.

Dyrektor przekrzywił głowę.

– Przyjemnie widzieć pana działającego w imieniu lojalnego i prawnego państwa członkowskiego UNACO, generale.

Myszkin pozwolił sobie znowu na służalczy uśmiešek.

– Spodziewałem się, że spojrzysz pan na to od tej strony, panie Philpott. Czy poczęstuje się pan cygarem?

– Owszem.

Myszkin wydobyl z kieszeni elegancki skórkowy futerał na cygara, opatrzony wykaligrafowaną złotymi literami inskrypcją: „Z wyrazami sympatii i uznania: Warren G. Wheeler”. Philpott poczęstował się cygarem marki Hawana-Hawana, przypalił je i z rozkoszą wciągnął dym w płuca.

– Czy to nie pański transport? – zapytał nagle Myszkin, wskazując palcem na linię horyzontu. Philpott spojrzawszy w tamtym kierunku i dostrzegł mrugające światła pozycyjne helikoptera.

– Tak – przyznał – Mac prowadzi tu jeden z naszych kutrów, żebym

miał wygodniejszą podróż.

Odwrócił się ze słowami:

– No, muszę przyznać, generale, że jestem pod wielkim wrażeniem...

Ale przerwał w pół zdania, bo Myszkin rozpląnął się w mroku nocy...

Philpott siedział przy stoliku w kabinie pasażerskiej Air Force One, opierając skrzyżowaną w kostce nogę na miękkiej poduszce fotela. Pokraśniał na całej twarzy, gdy doktor Hamady powiedział:

– Naturalnie, mogę się wypowiadać tylko w imieniu suwerennego państwa Arabii Saudyjskiej, ale uważam za wielce prawdopodobne, choćby tylko przez wzgląd na pamięć po naszym zmarłym i nieodżałowanym koledze, Hawleyu Hemmingswayu, że powinniśmy uważać naszą umowę naftową za noszącą wszelkie znamiona sukcesu. Co pan na to, Wasza Ekscelencjo? – zwrócił się do szejka Arbeida.

Irakijczyk chrząknął potakująco. To samo uczynił Libijczyk, szejk Dorani. Bahrajńczyk, szejk Zeidan, uśmiechnął się ponuro, a Feisal entuzjastycznie pokiwał głową.

– Jestem pewien, że rząd amerykański będzie wam bardzo zobowiązany, panowie – rozpromienił się Philpott.

– Powinien być również zobowiązany panu oraz, oczywiście, UNACO i jej agentom – podchwycił Zeidan. – Gdyby nie wy, nie wyszlibyśmy z tego cała i przypadłby okup, choć niewiele on tu znaczy.

– No, nie powiedziałbym – mruknął Philpott.

Zeidan nachylił się do ucha Philpotta i szepnął:

– Czy naszej wdzięczności nie należałoby czasem rozszerzyć na jeszcze jeden kierunek?

– Co ma pan na myśli? – odszepnął Philpott.

Zeidan uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Niech pan sobie nie wyobraża – ciągnął – że wierzę, iż pan Smith potrafiłby zmontować operację na tę skalę bez, nazwijmy to, życzliwej pomocy. Sama jego obecność w Jugosławii, jego dostęp do ludzi, uzbrojenia, maszyn, byłyby niemożliwe, o ile...

– O ile?

– O ile nie korzystałby z pomocy... wielkiego brata. Wielkiego czerwonego brata. Tak czy inaczej, gdzie podział się Smith? U was go nie ma. Czy jeszcze go zobaczymy, panie Philpott?

– Podejrzewam, Wasza Ekscelencjo – odparł pochmurnie Philpott – że zobaczymy. – I puścił do szejka Zeidana szelmowskie oko.

Sabrina Carver podeszła do stolika z czajnikiem szkockiej i nadzieją na interesujący wieczór z McCaffertym czekający ją w Genewie.

– A więc jeszcze raz, Wasza Ekscelencjo – zwróciła się do szejka Arbeida – to miała być herbata z mlekiem i z cukrem, czy kawa ze śmietanką i bez cukru, czy herbata ze śmietaną i...

Pierwszy steward starszy sierżant Pete Wynanski jęknął, odwracając głowę.

– Z tej damy – zwierzył się półgłosem McCafferty'emu – nic już nie będzie.